



Jak Stalin pokonał Hitlera
Czyli co próbuje ukryć przed
Rosjanami Władimir Putin

Kochanki nazistów
Kim były kobiety, które
sypiały ze zbrodniarzami

Morderstwo mecenasa
Kulisy brutalnego zabójstwa,
które wstrząsnęło Krakowem

NR 6(88)/2020 CZERWIEC 2020

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY

MIESIĘCZNIK LIŚCICKIEGO



ISSN 2293-9615

DO RZECZY HISTORIA

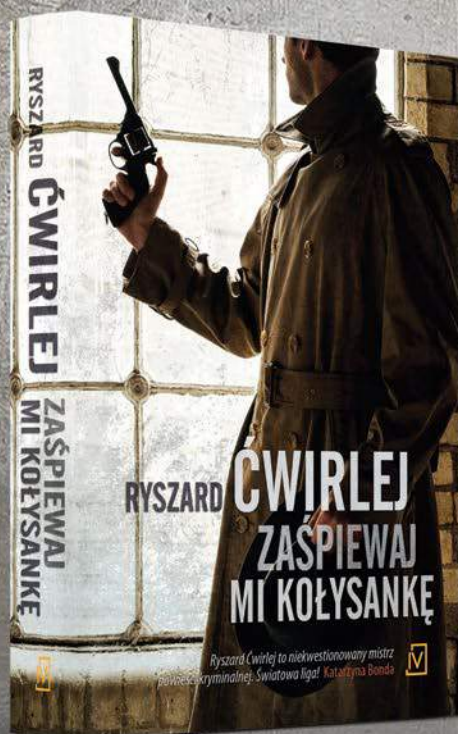
Nr indeksu 296 031



Zdrajcy czy ofiary?

POLACY W WEHRMACHCIE

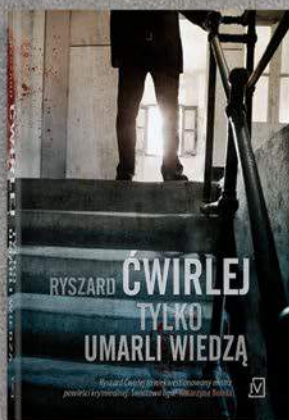
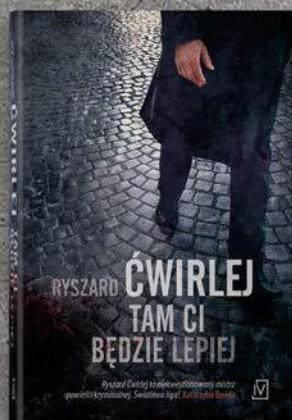
BESTSELLEROWA SERIA



KRYMINAŁY W NAJLEPSZYM WYDANIU

RYSZARD ĆWIRLEJ
TO NIEKWESTIONOWANY MISTRZ.
ŚWIATOWA LIGA!

KATARZYNA BONDA



**CZWA
RTA
STRO
NA**
KRYMINAŁY

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Piotr Włoczyk

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedzielko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Blanka Aleksowska, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515**Nr indeksu 296031****PRENUMERATA:****Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Lwów, sierpień 1920 r.

Oddział ochotników lwowskich, tzw. Szwadron Śmierci, podczas wojny z bolszewicką Rosją



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Ofiary Adolfa Hitlera

W trakcie drugiej wojny światowej w Wehrmachcie służyło 450 tys. polskich żołnierzy. Zostali powołani do niemieckiej armii na Pomorzu i Śląsku. Ziemiach wcielonych do Rzeszy, których ludność władze okupacyjne postanowiły zniemczyć. W efekcie Polacy w mundurach ze swastyką na piersiach trafili na wszystkie fronty – do Afryki, Sowietów, Francji, Włoch i Skandynawii.

Jak traktować służbę Polaków w Wehrmachcie? Dla komunistów sprawa była jasna – Polacy ci byli zdrajcami i kolaborantami. Szczególnie jeżeli walczyli przeciwko Armii Czerwonej. Podobny pogląd pojawia się co pewien czas w III RP. Jest wykorzystywany do brudnych gier politycznych. Fakt służby w Wehrmachcie ma rzekomo kompromitować nie tylko samych żołnierzy, lecz także ich potomków.

Jest to oczywiście bzdura i pokaz zdumiewającej wręcz ignorancji. Polacy z Pomorza i ze Śląska nie zaciągali się bowiem do niemieckiego wojska na ochotnika. Byli do niego wcielani pod przymusem. Dla tych młodych, patriotycznie nastawionych chłopców pobór do wrogiej armii był wielkim życiowym dramatem. Ich rodziny – szczególnie na Pomorzu – często padły wcześniej ofiarą niemieckich represji.

Wielu poborowych stało jednak przed następującym wyborem – albo przyjęcie folkslisty i służba w armii, albo obóz koncentracyjny w Stutthofie lub Auschwitz. A więc pewna śmierć.

Polakom w Wehrmachcie nie ufano. W części oddziałów traktowano ich przyzwyczajenie i po koleżeńsku, ale w części jak żołnierzy drugiej kategorii. Spotykali się z pogardą i niechęcią ze strony kolegów. Mimo że Niemcy starali się ich indoktrynować i zamienić w przykładowych folksdojców, oni trwali przy swojej polskości.

Miarą ich patriotyzmu jest to, że na froncie zachodnim przechodzili na drugą stronę. A w obozach jenieckich masowo zgłaszali się do oddziałów Andersa i Maczka. W 1945 r. aż jedna trzecia żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wcześniej służyła w Wehrmachcie. Przyjmowano ich z otwartymi ramionami.

Niestety, tysiącom Polaków wcielonych do niemieckiej armii nie było dane przejść do swoich. Polegli bowiem na froncie – walcząc za cudzą sprawę. Był to wielki wojenny i ludzki dramat. Jedną z zapomnianych kart martyrologii narodu polskiego. Ci chłopcy z Pomorza i ze Śląska – powtórzmy to jeszcze raz – nie byli zdrajcami. Byli ofiarami. ©

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR ZYCHOWICZ

W obcych mundurach

.10 PROF. RYSZARD KACZMAREK

Poborowi z folkslisty

.14 PIOTR ZYCHOWICZ

Z Wehrmachtu do Andersa

.18 MACIEJ ROSALAK

Polacy od kajzera

/ CZASY I LUDZIE

.22 JAKUB OSTROMĘCKI

Czas apokalipsy w Wietnamie

.28 TOMASZ STAŃCZYK

Morderstwo krakowskiego mecenasa

.31 MIKOŁAJ IWANOW

Zawłaszczone zwycięstwo

.34 SŁAWOMIR KOPER

Tajemnice Etrusków

.38 JAMES WILLEY

Piekielna rodzinka Hitlera

.42 MAREK GAŁĘŻOWSKI

Powstanie przeciw Prusakom

.46 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Rosyjski generał – wróg Sowietów

.50 MARIAN ZACHARSKI

W sieci Abwehry

.54 PIOTR SEMKA

Brunatne gniazda

.56 TOMASZ KORNAŚ

Nagonka na Józefa Mackiewicza

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Pojedynek rewolweru z pistoletem

/ CO CZYTAĆ

.59 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Gustaw Morcinek: pisarz roztomily

/ FELIETONY



.66 JACEK BARTOSIAK

Ekspansja Moskwy

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Sukces mimo woli

.69 PIOTR SEMKA
**Jak obcy
zgubili Rosję**

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
**O bohatera
trwania i życia**

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
**Fatum nad
Mickiewiczem**



**/ BATALIE
I WODZOWIE**

.74 MACIEJ ROSALAK
**Sobieski:
Wielki finał
ekstraklasy**



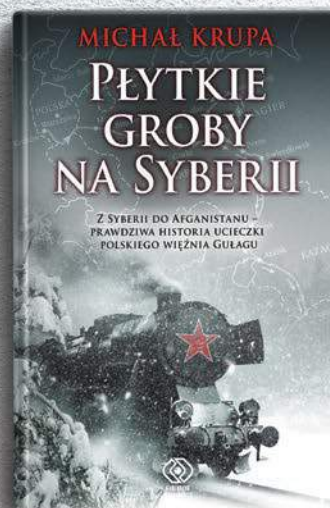
/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI

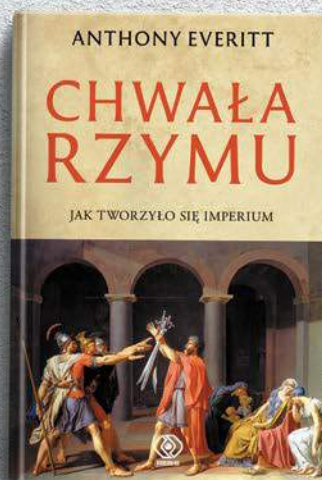
**Brygada
Karpacka**



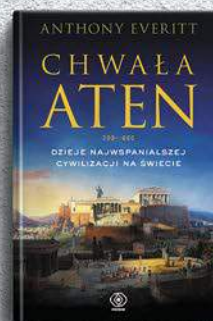
TOBRUK - MIASTO W GRUŻACH,
PORT Z ZATOPIONYMI WRAKAMI
CHRZEŚLIWY STATYK, MIASTO BEZ
ŻYWIELI DUSZY, OTOCZONE PEŁNĄ PUSTYNIA
I DOOKOŁA TUD-TUŻ NIEPRZYJACIEL.
L... SIEMIEC TO JEDNA STRONA.



Z Syberii do Afganistanu – prawdziwa
historia ucieczki polskiego więźnia GUŁagu.



POLECAMY
RÓWNIEŻ



Pasjonująca opowieść o tym, jak z małej osady
nad Tybrem Rzym przekształcił się
w imperium, które zmieniło oblicze świata!

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

Druga wojna / Chłopcy z Pomorza na froncie wschodnim

Niemieccy żołnierze na
froncie wschodnim

FOT. US NATIONAL ARCHIVES

W obcych mundurach



Piotr Zychowicz

W szeregach Wehrmachtu walczyło 450 tys. Polaków. Oto dramatyczne opowieści kilku z nich

Przędzaliśmy się ostrożnie. Kiedy znaleźliśmy się około kilkunastu metrów od sowieckich okopów, zostaliśmy ostrzelani z broni automatycznej. Pociski wybuchły w powietrzu. Były to pociski ekrazytowe, mogące rozwalić głowę.

W pewnej chwili zobaczyłem upadającego Kwapiścha. Lewa strona jego twarzy była poszarpana i zalana krwią. Położyliśmy go na płachcie namiotowej i tak szybko, jak tylko to było możliwe, dobiegliśmy do naszej linii obronnej, gdzie sanitariusz prowizorycznie go opatrzył.

Sowieci atakowali ławą. Pierwsza fala została skoszona przez niemieckie karabiny maszynowe i moździerz. Podobnie stało się z drugą i trzecią. O świcie obudziła mnie niesamowita kanonada. Sowieci tym razem walili chyba dłużej niż piętnaście minut. Jakiś pocisk rozwalił się niedaleko mnie, ale zostałem tylko przywalony kupą śmieci. Pocułem, że w prawym podudziu coś mnie uwiera.

Tymczasem piechota przeciwnika rozpoczęła swój marsz ku śmierci. Obok mnie strzelał ciężki karabin maszynowy. Jego celowniczy był niebywale skuteczny.

W pewnej chwili przykleknął i zaczął krzyczeć: – Ja tego nie wytrzymam!

Odniosłem wrażenie, że człowiek zwariował.

Kilkanaście minut potem na nasz odcinek frontowy nadleciały sztuki, kolejno trzy eskadry, każda licząca sześć samolotów, i pikując z charakterystycznym wy-ciem, zrzucały bomby. Kiedy odleciała ostatnia eskadra, nastąpiła niesamowita cisza.

Ponieważ coraz bardziej bolała mnie noga, powiedziałem koledze, że muszę iść do punktu sanitarnego. Kiedy zdjąłem but i zakrwawioną skarpetę, zobaczyłem wystający, czarny, porowaty odłamek, który oparł się o kość podudzia, a dwa pozostałe tkwiły głębiej. Usunięcie ich trwało kilkanaście minut.

To fragment wspomnień Joachima Cerafickiego z krwawej bitwy z bolszewikami, która rozegrała się na Kaukazie w lutym 1943 r. Ceraficki – młody chłopak z Pomorza – walczył w szeregach specjalnego Batalionu 560. Wehrmachtu.

Do niemieckiego wojska został wcielony po tym, gdy jego rodzina – tak jak

większość Polaków z Pomorza – została przymusowo przypisana do trzeciej grupy folkslisty. W decyzji tej chodziło o zniesienie tego, włączonego do III Rzeszy, terytorium, ale również o pozyskanie nowego rekruta do robiącej bokami armii.

Posiedzenie komisji poborowej odbyło się w dawnym gimnazjum – wspominał Ceraficki. – Najpierw wywołano dwóch młodych chłopców. Obydwaj mieli polskie nazwiska, wymawiane przez Niemców poprawnie. Natomiast moje nazwisko zabrzmiało fatalnie. Ponieważ jednak imię się zgadzało, w końcu i nazwisko wymówili poprawnie i nawet mnie przeprosili. Wszyscy przesłuchani przez komisję mieli polskie nazwiska, oprócz jednego, który nazywał się Szulc, ale też był Polakiem.

Do Wehrmachtu musiał zgłosić się 20 maja 1942 r. – skierowano go na szkolenie łącznościowca w Marburgu nad Laną. W koszarach zastał wielu rodaków, którzy na salach i korytarzach rozmawiali zupełnie swobodnie w ojczystym języku. Niemców to nie dziwiło, bo przez jednostkę przeszło wcześniej wielu poborowych ze Śląska i z Pomorza.

Raz doszło nawet do zabawnego incydentu. Ceraficki przez roztargnienie zasalutował spotkanemu oficerowi zgodnie z polskim zwyczajem – dwoma palcami przystawionymi do daszka czapki. Gdyby był to oficer SS, kto wie, jak skończyłaby się ta pomyłka. Na szczęście był to przyzwyczajony pułkownik Wehrmachtu, który tylko się uśmiechnął i odwzajemnił pozdrowienie.

Niestety Joachim Ceraficki otrzymał fatalny przydział – front wschodni. Była zima 1943 r., armia marszałka Friedricha Paulusa zamarzała w okrążeniu pod Stalingradem. Wehrmacht w walce z bolszewikami i surową rosyjską zimą ponosił kolosalne straty.

Ropa w zbiorniku paliła się już dwie doby – wspominał – baliśmy w miękkiej mazi sięgającej do połowy łydeka. Był to teren jakby poprzecinany miedziami. Od czasu do czasu słyszałem świst dużego pocisku, który wbijał się w błoto i... nie wybuchał. Był to dźwięk podobny do chłapania dłoni w ciasto drożdżowe. Po kilku godzinach marszu w niekończącym się błocie marzyłem, żeby znaleźć kawałek suchego miejsca i na parę minut położyć się, zapalić papierosa. Przestałem przy dwóch żołnierzach, z których jeden

w randze podoficera wrzeszczał na drugiego, leżącego obok karabinu maszynowego, żeby wstał i dołączył do maszerującego pułku. Strofowany żołnierz jęczał, że nie jest w stanie dalej iść nawet pod groźbą utraty życia.

Ceraficki bił się z bolszewikami bardzo dzielnie. Ratował kolegów spod nieprzyjacielskich kul, brał udział w dwóch walkach wręcz (za trzy dawano Żelazny Krzyż). Zachowywał się w sposób rycerski – pomagając ludności cywilnej i opatrując rannego wroga.

Z frontu wschodniego wyrwał się dzięki ranie nogi. Żle opatrzona zaczęła

Ledwo zjedliśmy śniadanie – wspominał – usłyszeliśmy gwałtowną kanonadę. Zobaczyłem szybko cofający się niemiecki czołg z odwróconą łufą, który jadąc, strzelał. Podniosłem alarm i zaczęliśmy uciekać zboczami na zachód. Sowietci ostrzeliwali nas z armat. Żadna strzelanina nie doprowadzała mnie do psychicznego załamania, natomiast panicznie bałem się wpaść w ręce Sowietów.

Bolszewicy schwytanych niemieckich żołnierzy rozstrzeliwali na miejscu albo kierowali do potwornych obozów, w których warunki były gorsze niż w łagrach. Na szczęście Polakowi udało się uniknąć tego strasznego losu. Mimo że był na terytorium Polski i mógłby się łatwo ukryć, bał się zdezerterować. Niemcy wyciągali bowiem surowe konsekwencje wobec rodzin dezertorów.

Dopiero gdy Armia Czerwona zaczęła zajmować jego rodzinne Pomorze, a co za tym idzie – jego rodzice znaleźli się poza zasięgiem gestapo, odłączył się od oddziału. Zrzucił mundur, przeczekał przejście frontu i przedostał się do domu.

Jak po latach traktował swoją walkę w obcym mundurze? Nie uważał, żeby była powodem do dumy, ale nie miał się też czego wstydić. Został w końcu wcielony do wojska wbrew swojej woli. A walczył nie w imię panowania III Rzeszy nad światem, ale dla swoich kolegów z szeregów. I po to, żeby przetrwać.

Gdy na okopy sypał się grad pocisków i biegła w ich stronę ława Sowietarzy z bagnetami osadzonymi na karabinach, nie liczyło się to, czy ktoś jest Niemcem, Polakiem, Alzatzczykiem, Austriakiem czy Ślązakiem. Trzeba było bić bolszewika albo samemu zginąć.

Czytelnicy mogą się dziwić, że ja, przymusowy żołnierz armii niemieckiej – pisał Ceraficki – wspominam członków naszego oddziału jako kolegów, a nawet przyjaciół. Łączyła nas jednak obawa przed śmiercią. Wiedzieliśmy, że szansą wyjścia z opresji była koleżeńska solidarność.

Przeciw Sowietom

Czesław Knopp podpisał folkslistę, gdyż jego i jego bliskim grożono obozem koncentracyjnym w Stuthofie. Wkrótce po świeżo upieczonego „Niemca” zgłosił się Wehrmacht. Dla młodego polskiego patrioty służba we wrogim mundurze była dramatem. Gdy wraz z innymi



Niemiecka książeczka wojskowa i Krzyż Żelazny

FOT. ARCHIWUM

ropieć i Ceraficki został ewakuowany samolotem do lazaretu na tyłach. Na rekonwalescencję trafił do Kijowa, gdzie miał romans z piękną rudowłosą Ukrainką.

Rozmawiając w szpitalu z rannym oficerem SS, ze zgrozą dowiedział się o masowym rozstrzeliwaniu Żydów. A rozmawiając z Ukraińcami i Rosjanami – o olbrzymim zawodzie, który spotkał ich ze strony Niemców. Ludzie żyjący pod sowieckim jarzmem mieli nadzieję, że Niemcy przyniosą im wyzwolenie. A przynieśli nową okupację.

Ukraiński fryzjer pracujący w szpitalu – pisał Ceraficki – powiedział do mnie kiedyś: „Myślimy na was czekali, a wy coście z nami zrobili?”

W lutym 1944 r. Ceraficki znowu znalazł się na froncie wschodnim. Tym razem na Wołyniu, na terenie przedwojennej Polski. Wehrmacht był już w pełnym odwrocie.

■ pomorskimi poborowymi odjeżdżał pociągiem do koszar, zaczęli śpiewać na cały głos hymn Polski.

Wszyscy stanęli na baczność i setki młodych głosów śpiewały to, co czuli – wspominał. – Obstawę SA i SS doprowadziło to do wściekłości. Wyciągnęli pistolety i straszili, że będą strzelać.

– Zamknijcie pyski – wrzeszczeli, ale bez skutku.

Nas to już nie wzruszało. Byliśmy pod komendą wojska.

Knopp trafił do wojsk pancernych i został odkomenderowany na front wschodni. Gdy mijał Kijów, przypomniał mu się Bolesław Chrobry, który wyszczerbił miecz na bramie miasta. Knopp podążał więc śladem polskiego króla, ale niestety nie pod polskim, ale pod obcym sztandarem ze swastyką.

Trafił do Zagłębia Donieckiego, gdzie ścierały się niemieckie i sowieckie siły pancerne. O żadnym markowaniu walki nie mogło być mowy. Knopp szybko przekonał się bowiem, do czego zdolni są bolszewicy.

Zauważyłem za stodołą ciała dwóch niemieckich żołnierzy – pisał – w bestialski sposób pokaleczone. Rozebrani do naga mieli porozcinane brzuchy, z których wypływały jelita. Języki i genitalia obcięte, a na dodatek pokryci byli ludzkimi ekskrementami. Widząc takie pogwałcenie ludzkiego ciała, pomyślałem, że chyba nigdy nie zdecyduję się przejść na rosyjską stronę.

W trakcie walk mróz sięgał –40 st. C. W efekcie czołg Knoppa odmówił posłuszeństwa. Załoga musiała go zniszczyć i uciekać na piechotę. Żołnierze przez 300 km (!) brnęli w śniegu sięgającym do pasa. Dniem i nocą. Była to prawdziwa mordęga, Knopp omal nie zamarznął na śmierć. Udało się mu jednak przebić do niemieckich linii.

W kwietniu 1943 r. Niemcy ogłosili, że znaleźli w Katyniu groby polskich oficerów zgładzonych przez bolszewików. Knopp przeczytał o tym w gazecie polowej Wehrmachtu. Wzmocniło to morale Polaków wcielonych do Wehrmachtu i chęć do walki przeciwko Sowietom.

Nie bili się oczywiście dla Hitlera – którego nienawidzili – ale o to, by nie dopuścić bolszewików do własnej ojczyzny. O to, by ich matki, żony i siostry nie wpadły w łapy żołdatów Armii Czerwonej. Knopp rozmawiał dużo z cywilami, którzy opowiadali mu, jakim koszmarem było życie pod rządami bolszewików.

Młody czołgista latem 1943 r. trafił pod Kursk, gdzie wziął udział w największej bitwie pancernej w historii świata.

Przed nami na horyzoncie pojawił się sowiecki czołg T-34 – wspominał. – Dowódca dał rozkaz obsłuzie



działa: „Odległość 25 metrów, pocisk przeciwpancerny, ogień!”. Pocisk trafił. Po drugim T-34 zaczął się palić. Dwóch członków załogi wyskoczyło, reszta została.

Dowódca kazał mi wjechać do pierwszego ogrodu i stanąć blisko płotu. Drugi czołg stanął obok. Dowódca zaczął obserwować przedpole. Nasz dał rozkaz załadować pocisk przeciwpancerny i ustawić na 1000 metrów. Po chwili zza domów pokazały się szybko jadące czołgi.

– Widzisz ich? – zapytał celowniczego.

– Widzę.

– Ognia!

Pierwszy zatrzymał się trafiony. Zaraz i drugi stanął po strzale naszych sąsiadów. Załadowano drugi raz i znowu strzelił. Kolumna jednak nie zatrzymała się, mimo że stracili już siedem czołgów. Pędzili naprzód, ale zaczęli też strzelać do nas. Wtedy dostałem rozkaz:

– Uciekaj!

Zawróciłem w ogrodzie, obalając przy tym jakieś drzewko. Zaczepiłem o jakąś komórkę, przewróciłem ze dwa płoty. Nadusiłem gaz i na pełnych obrotach silnika zacząłem uciekać.

Bitwę pod Kurskiem w sierpniu 1943 r. Niemcy przegrali. Mimo że rozbili olbrzymią liczbę pojazdów wroga, bolszewicy rzucali do walki wciąż nowe rezerwy. Knopp za odwagę na polu bitwy otrzymał jednak srebrną, pancerną odznakę bojową. Największym szczęściem był jednak nie ten kawałek metalu, ale to, że przeżył. W niektórych oddziałach straty sięgały bowiem 90 proc.

Rok później jego jednostka została skierowana do Polski i Knopp modlił się, żeby nie rzucono go do walki przeciwko Powstaniu Warszawskiemu. Co innego prażyć do bolszewików, a co innego do swoich. „Prosiłem Boga, żeby nas tam nie posłano” – pisał.

Szczęście wreszcie uśmiechnęło się do młodego żołnierza w 1945 r. Knopp

został przerzucony na front włoski, gdzie przeciwko Niemcom walczyły jednostki Andersa. Wykorzystał pierwszą okazję, żeby odłączyć się od oddziału.

No więc gwizdać na tę wojnę – wspominał. – Moja ona nie była. Dostyć mnie wykorzystali przez te trzy lata. Czas zmienić stronę i choć późno, może się jeszcze na coś przydam. Usłyszałem jakieś głosy. Kilku amerykańskich żołnierzy szło ku mnie z wycelowanymi karabinami. Krzyknąłem wszystko, co znałem po angielsku: „I Polish, I Polish!”.

Czesław Knopp – jako doświadczony kierownik czołgu – długo w obozie jenieckim nie siedział. Został skierowany do polskiego wojska. Oczywiście do pancerniaków.

Do swoich!

Inny Pomorzanin Bolesław Dobrski został wcielony do Wehrmachtu w 1943 r. Trafił do pułku artylerii ciężkiej w Rendsburgu. W transporcie poborowych, którym jechał do Rzeszy, było ok. tysiąca młodych mężczyzn. Byli to niemal sami Polacy. Niemiecką młodzież już dawno powołano bowiem do wojska.

Gdzieś w dalszych wagonach śpiewano „Ułani, ulani” – wspominał – piosenka ta szybko została podchwyciona przez inne wagony i coraz to potężniej rozlegała się wśród mijanych pól. Prawie jednocześnie nasz wagon dołączył do śpiewu. I już w tej chwili, z całego pociągu, z kilkudziesięciu wagonów, a może i z tysiąca piersi, poszły piosenki wojskowe, harcerskie, przechodząc w coraz bardziej patriotyczny ton. „Nie rzucim ziemi”, „Jeszcze Polska” rozlegały się pośród mijanych wsi i stacji kolejowych nawet przy postojach. Można było zauważyć pewną konsternację i zdziwienie u ludności. Ostatecznie byliśmy już na ziemi niemieckiej.

Defilada niemieckich
żołnierzy w Gdańsku,
27 września 1939 r. FOT. NAC



nia przyszło im składać przysięgę. Był to bez wątpienia dla nich najbardziej tragiczny moment. Musieli bowiem przysięgać na wierność Adolfowi Hitlerowi.

W efekcie podczas ceremonii doszło do skandalu, gdy olbrzymia część żołnierzy w trakcie wypowiedzania tych słów albo mruzczała coś pod nosem, albo tylko ruszała ustami. Zamiast gromkiego skandowania słów przysięgi zgromadzeni oficerowie usłyszeli jakieś nieartykułowane ciche pomruki.

Dobrowski – w przeciwieństwie do Cerafickiego i Knoppa – dostał niezły przydział. Norwegia. Przez pierwsze tygodnie służby głównie zwiedzał miejscowe piwiarnie i wojskowy burdel Wehrmachtu, gdzie żołnierzom umilało czas kilkadziesiąt Francuzek.

Do jednostki przybywali tymczasem żołnierze wycofani z frontu wschodniego. Między innymi Feliks, przymusowy poborowy ze Śląska. Na wschód pojechał jako postawny, przystojny mężczyzna. A wrócił jako strzęp człowieka. Wyniszczony psychicznie i fizycznie. Podobny los spotkał tysiące Polaków. Tysiące innych zginęły lub zostały inwalidami na całe życie.

Latem 1944 r. również Dobrowski trafił na front. Na szczęście na zachodni. Miał bronić Renu przed nacierającymi aliancami. Znajdował się pod morderczym ostrzałem brytyjskiej artylerii, przebiegał się przez most, na którym eksplodowały śmiertelne pociski. Brał udział w patrolach na terytorium nieprzyjaciela.

Niemcy na froncie zachodnim nie ufali Polakom. I słusznie! O ile na wschodzie nikt normalny nie przeszedłby na stronę Armii Czerwonej, o tyle na zachodzie dezercje się mnożyły. Przymusowi rekruci z Pomorza i ze Śląska wiedzieli bowiem, że po drugiej stronie frontu biją się polskie wojska – oddziały generałów Andersa i Maczka. Próbowali więc oczywiście przebiegać się do swoich.

Dobrowski i jego polski kolega podczas marszu w pobliżu pozycji alianckich otrzymali więc zbrojonego „opiekuna”. Nagle rozległy

się jednak serie z broni maszynowej. Kolumna się rozbiegła. Dwaj Polacy skorzystali z okazji i zdezerterowali. Następnie bezpiecznie – co niestety nie zawsze się udawało – oddali się w ręce Amerykanów.

W alianckim obozie jenieckim, do którego trafili, siedziało już sporo Polaków. Wkrótce pojawił się w nim również oficer werbunkowy z Orzełkiem na czapce. Wygłosił do polskich żołnierzy Wehrmachtu przemówienie, oferując im możliwość przejścia pod polskie sztandary, zrzucenia obcych mundurów.

W szeregach naszych zrobiło się cichutko – wspominał Dobrowski. – Przysięgam, że żyły stanęły mi w oczach i gdybym miał wypowiedzieć choć jedno słowo, to nie przesłoby mi ono przez gardło. Mam też pewność, że wszyscy z nas czuli to samo.

Bolesław Dobrowski swoje pasjonujące przeżycia spisał i opublikował w wydanej w Londynie książce „Byłem żołnierzem Wehrmachtu”. Zaletą tej pracy jest to, że autor przedstawił w niej nie tylko losy własne, lecz także swoich kolegów. Innych Polaków siłą wcielonych do

Wehrmachtu i podobnych niemieckich formacji.

Jednym z nich był Władek. Żołnierz pochodzący z Polesia, który w kampanii 1939 r. walczył w grupie wojsk gen. Kleeberga. Potem wrócił do domu i został siłą wcielony do Armii Czerwonej. Pod Stalingradem dostał się do niemieckiej niewoli, w której zgłosił się do niepodległościowych, antybolszewickich rosyjskich oddziałów gen. Andrieja Własowa.

Znowu dostał się do niewoli – tym razem amerykańskiej. W obozie zerwał rosyjskie naszywki z munduru i dołączył do siedzących w nim Ślązaków. Razem z nimi poszedł do armii Andersa, w której szeregach zdążył jeszcze trafić na front. W trakcie jednej wojny Władek walczył więc w czterech armiach – Wojsku Polskim, Armii Czerwonej, armii Własowa i Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Ależ to materiał na film!



Wywiad / Z prof. Ryszardem Kaczmarem



rozmawia Piotr Włoczyk

Poborowi z folkslisty

PIOTR WŁOCZYK: Polskie Państwo Podziemne szacowało pod koniec wojny, że po stronie niemieckiej walczyło ok. 450 tys. Polaków. Na ile dokładne były te szacunki?

PROF. RYSZARD KACZMAREK: W mojej książce podaję taką samą liczbę. Delegatura Rządu na Kraj opierała się na szacunkach z jesieni 1944 r. Podawano wówczas, że ok. 220–250 tys. polskich żołnierzy w Wehrmachcie pochodziło z Pomorza, a ok. 200 tys. ze Śląska. Mówimy tu jedynie o żołnierzach z Niemieckiej Listy Narodowościowej (niem. Deutsche Volksliste – DVL) kat. 3, która w tym kontekście najbardziej nas interesuje. Jeżeli dodamy do tego DVL kat. 1 i 2, czyli obywateli

przedwojennej Polski pochodzenia niemieckiego, to dochodzimy już do blisko pół miliona żołnierzy. Te informacje pochodziły z niemieckiej administracji. Dostęp do nich, ponieważ nie była to ścisła tajemnica wojskowa, zapewne nie był taki trudny.

Pół miliona wydaje się ogromną liczbą, skoro we wrześniu 1939 r. Polska wystawiła ok. 1 mln żołnierzy.

Media często mówią w tym kontekście o „półmilionowej armii Polaków u Hitlera”. To jednak skrót myślowy, który nie oddaje rzeczywistości. Nie było żadnej „półmilionowej armii”. Po prostu tylu

polskich żołnierzy przewinęło się w sumie przez Wehrmacht przez całą wojnę. Pamiętajmy też, że z Polaków nigdy nie tworzono całych jednostek, lecz byli oni rozproszeni wśród Niemców.

I wreszcie ta liczba nie oznacza żołnierzy, którzy walczyli „w polu”, tylko jest to ogólna liczba Polaków powołanych przez Niemców.

Ilu spośród nich zginęło?

To bardzo trudne pytanie. Gdyby przyjąć tu średnie straty w Wehrmachcie, to trzeba by mówić o jednej czwartej zabitych. Inaczej ten problem przedstawiają jednak badania strat w pojedynczych



Niemiecka piechota na froncie wschodnim FOT. NAC



pod koniec wojny przestali po prostu rygorystycznie przestrzegać narzuconych przez ich dowództwo limitów, jeżeli chodzi o dopuszczalny procent Polaków w oddziałach.

Kto konkretnie mógł trafić do Wehrmachtu? Dlaczego tak wielu żołnierzy wcielono na Śląsku i Pomorzu, ale już w Wielkopolsce,

również włączonej przecież do III Rzeszy, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej?

Podstawą była wspomniana już DVL. Niemieccy urzędnicy przyznawali odpowiednią kategorię na podstawie wypełnionej ankiety. DVL została wprowadzona w marcu 1941 r. Zanim jednak ankiety spłynęły do urzędów i przydzielono odpowiednie kategorie, mieliśmy już jesień 1941 r. A jak już wiemy, do tego czasu część Polaków z Górnego Śląska i Pomorza została wciągnięta do Wehrmachtu.

Na jakiej podstawie?

Najkrócej można powiedzieć, że do Wehrmachtu trafiali ci mężczyźni z zachodnich terenów Polski włączonych do Niemiec, którzy otrzymali obywatelstwo niemieckie. Konwencje międzynarodowe – szczególnie konwencja haska IV – stanowiły jasno, że nie wolno wciągać do armii żołnierzy-obywateli innego państwa, jeżeli nie został z nim podpisany traktat pokojowy. Ci, którzy otrzymali niemieckie obywatelstwo, byli traktowani jak reszta obywateli III Rzeszy i podlegali powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej. Skąd jednak mieli to obywatelstwo, skoro byli Polakami?

W 1939 r., przed wprowadzeniem DVL, Niemcy uznali, że część ludności na tzw. ziemiach wcielonych – głównie mówimy o Pomorzu i o polskim Śląsku – to ludzie, których na podstawie teorii rasowej można traktować jako przynależnych do tzw. niemieckiej wspólnoty narodowej (niem. Deutsche Volksgemeinschaft). Efektem tego było nadanie im obywatelstwa. Następnie coraz bardziej poszerzano grupę ludności, której wydawano obywatelstwo III Rzeszy. Zupełnie innymi kategoriami były „jedenka” i „dwójka” z DVL – otrzymywali je

Od inwazji na Kretę (maj 1941 r.) byli obecni wszędzie tam, gdzie walczył Wehrmacht.

Gdzie było ich najwięcej?

Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie. Polacy wciągani pod przymusem do Wehrmachtu nie tworzyli zwartych oddziałów, więc nie ma danych, które pokazywałyby, gdzie było ich najwięcej. Początkowo nie kierowano ich na front wschodni. W niemieckim dowództwie obawiano się przechodzenia na stronę sowiecką, co było po prostu komiczne. Wyśmiewało to zresztą polski ruch oporu. Jednak już od bitwy pod Moskwą, gdy Niemcy napotkali pierwszy mocniejszy opór ze strony Sowietów, zaczęto powoli kierować Polaków na front wschodni.

Walka z ZSRS pochłaniała najwięcej sił Wehrmachtu. Czy nie powinniśmy więc zakładać, że to właśnie tam służyło najwięcej Polaków w mundurach niemieckiej armii?

Naprawdę tego nie wiemy. Na zachodzie na drugą stronę frontu – do Polskich Sił Zbrojnych – przeszło 81 tys. Polaków z Wehrmachtu. Trudno powiedzieć, jak to się ma do całkowitej liczby Polaków na froncie zachodnim. Wiadomo, że na wschodzie 6 tys. Polaków z Wehrmachtu dołączyło do dywizji Kościuszkowskiej, ale ta liczba niewiele nam mówi.

Pamiętajmy też o przemieszczeniach jednostek, które przerzucano przecież z jednego frontu na drugi. Na pewno w 1944 r. bardzo wielu Polaków służyło na froncie zachodnim. Mamy relacje mówiące o tym, że na Wale Atlantyckim dość powszechnie mówiono w niektórych jednostkach po polsku – Niemcy

miejscowościach na Śląsku i – rzadziej – na Pomorzu, gdzie udało się policzyć zabitych co do jednego. Wynikałoby z tego, że straty wśród polskich żołnierzy były niższe. To jest zrozumiałe – ich służba była krótsza, bo zaczynała się dopiero od 1941 r., jeszcze wtedy przy niskich liczbach poboru. Poza tym początkowo nie kierowano ich na front wschodni, gdzie straty były najwyższe. Na podstawie tych wycinkowych danych możemy szacować, że wśród Polaków wcielonych do Wehrmachtu zginęło ok. 10–15 proc. żołnierzy.

Polacy z Wehrmachtu walczyli na każdym froncie?

■ głównie przedstawiciele mniejszości niemieckiej w II RP.

Te osoby nie interesują nas jednak zbytnio w kontekście „Polaków w Wehrmachcie”.

Generalnie tak, choć musimy pamiętać, że to jednak byli obywatele przedwojennej RP. W dyskusji o Polakach wcielanych do Wehrmachtu oczywiście najbardziej interesuje nas „trójka”, czyli ludność rodzima, która odzwierciedla całą skomplikowaną historię Śląska. Ci ludzie otrzymywali obywatelstwo niemieckie, jednak spotykali się z rozlicznymi ograniczeniami. Byli ludnością drugiej kategorii, ciężko było im awansować w pracy, a w wojsku stopnie oficerskie leżały co do zasady poza ich zasięgiem. „Trójka” oznaczała, że podlegali powszechnemu obowiązowi służby wojskowej. Wszystkie te cztery grupy DVL nazywano zbiorowo „folksdojcami”, włącznie z 4. grupą, która niemieckiego obywatelstwa nie otrzymała. Nie należy ich jednak utożsamiać z folksdojcami z Generalnego Gubernatorstwa, których było bardzo niewiele i którzy rzeczywiście byli pochodzenia niemieckiego. To ważne rozróżnienie.

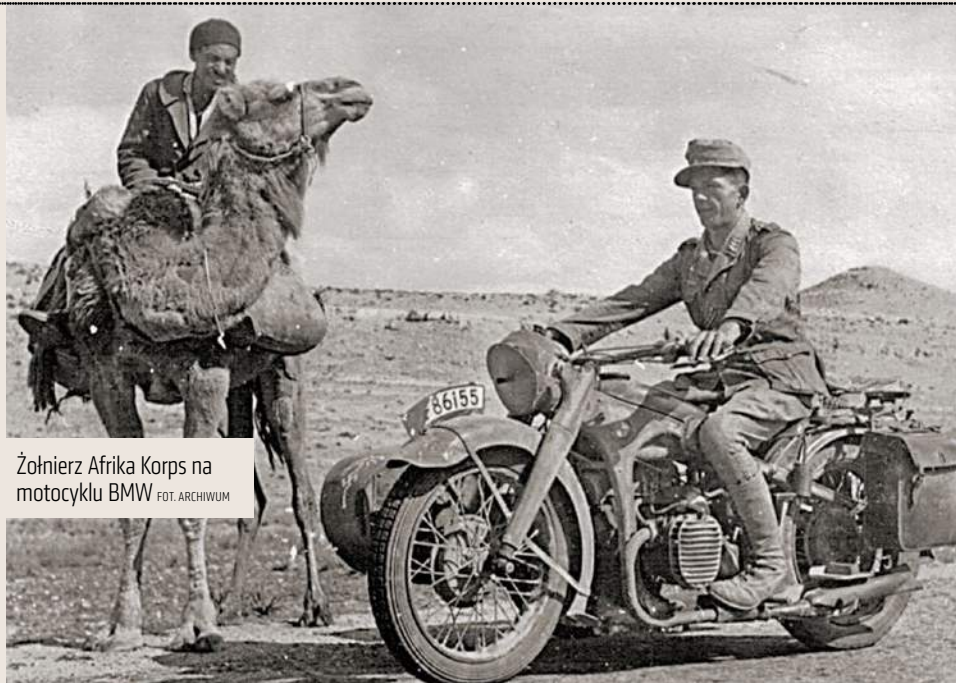
Dla ludzi żyjących w GG folksdojcz siłą rzeczy kojarzył się z miłośnikiem Hitlera albo co najmniej ze zwykłym kolaborantem.

Na Śląsku i Pomorzu wyglądało to inaczej. Tam gauleiterzy Fritz Bracht i Albert Forster prowadzili „liberalną” politykę w stosunku do ludności rodzimej. Po prostu masowo rozdawali „trójkę”. Zupełnie inaczej postępował w Wielkopolsce gauleiter Arthur Greiser, który do końca wojny prowadził bardzo restrykcyjną politykę narodowościową. W ten sposób na Śląsku prawie 90 proc. ludności zostało wpisanych na folkslistę. Tylko nielicznych to ominęło.

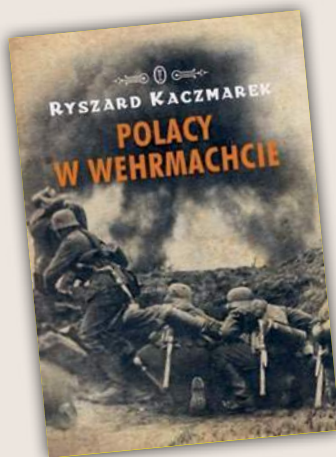
W jaki sposób Niemcy wykorzystywali Polaków w Wehrmachcie?

Pierwsza duża grupa Polaków została wysłana do Afrika Korps. I tam też doszło po raz pierwszy do dezercji na większą skalę – prawie 3 tys. Polaków rzuciło wtedy niemieckie mundury.

Tak naprawdę służba wojskowa Ślązaków i Pomorzan niewiele się różniła od służby niemieckich żołnierzy. Przykładowo normalny okres szkoleniowy do złożenia przysięgi trwał u Niemców miesiąc, ale dla Polaków wydłużono go do ośmiu



Żołnierz Afrika Korps na motocyklu BMW FOT. ARCHIWUM



tygodni. Chodziło o dodatkowe szkolenie językowe, ponieważ Polacy wciągani do Wehrmachtu zazwyczaj słabo znali ten język.

Początkowo nie kierowano Polaków do lotnictwa ani do sił pancernych. To się jednak zmieniło od 1943 r., od klęski pod Stalingradem. Potem brano ich wszędzie tam, gdzie byli potrzebni, ale większość z nich służyła oczywiście w piechocie. Awanse dla żołnierzy z 3. grupy DVL były ograniczone do stopnia podoficera. Awanse oficerskie były absolutną rzadkością.

Można by podejrzewać, że skoro ci żołnierze byli jednak obywatelami drugiej kategorii, to dowództwo niezbyt szanowało ich życie...

Ponieważ nie formowano polskich jednostek, nie było nawet możliwości, by Niemcy traktowali Polaków jako

„mięso armatnie”. Polacy byli przemierzani z Niemcami. Dopuszczalny procent Polaków zmieniał się wraz z pogarszaniem się sytuacji na froncie. Początkowo wytyczne mówiły, żeby liczba żołnierzy wcielonych z polskich terenów nie przekraczała w kompanii 3 proc. W 1944 r., gdy powołania wśród ludności polskiej były już masowe, zwiększono ten współczynnik do 10 proc. Wciąż jednak były to oddziały niemieckie z niewielkim tylko odsetkiem Polaków.

Ich sytuacja zależała od konkretnego oddziału. Mamy sporo relacji o złym traktowaniu Polaków przez niektórych dowódców. Jednym z częstych powodów był problem z językiem niemieckim. Generalnie jednak relacje zbierane na szczeblu naczelnego dowództwa były raczej pozytywne wobec Polaków aż do czasu masowych dezercji po inwazji w Normandii. Wcześniej oceniano ich raczej jako dobrych, zdyscyplinowanych żołnierzy.

Dobrzy, zdyscyplinowani żołnierze? Czy to się trochę nie kłóci z wizerunkiem Polaków wciąganych siłą do Wehrmachtu, którzy tylko czekali, żeby przejść na drugą stronę?

To oczywiście były ofiary nazistowskiego reżimu, ponieważ ci mężczyźni zostali wcieleni do wojska w ogromnej większości wbrew swojej woli. Oni nie szli tam na ochotnika. Wszyscy chcieli jednak przeżyć. Przeżyć można było, tylko będąc lojalnym towarzyszem broni kolegów z oddziału. Inaczej nie można było liczyć na pomoc z ich strony w sytuacji zagrożenia.

nia w walce. I to stąd się wzięły komentarze dowództwa o tym, że Polacy byli dobrymi żołnierzami. Tutaj nie chodziło o jakąś bohaterską walkę za III Rzeszę.

Jak często spotykał się pan w dokumentach z przypadkami heroizmu, czyli odmową dołączenia do Wehrmachtu?

To były jednostkowe przypadki. Słazacy i Pomorzanie bali się odpowiedzialności zbiorowej – tego, że ich rodziny zostaną ukarane za odmowę załączenia niemieckiego munduru. Jeden z najbardziej spektakularnych przypadków, niewyjaśniony zresztą do końca, dotyczył Romualda Hawrankiego, młodego chłopaka z Katowic, który został wezwany na przeszkolenie do Strasburga. Hawranke był synem nauczyciela języka niemieckiego, który z Pomorza przeniósł się do pracy na polski Górny Śląsk. Po przeszkoleniu wojskowym, podczas ceremonii składania przysięgi, wystąpił przed szereg i zadeklarował, że jest Polakiem. Zajął się nim gestapo – przewieziono go ze Strasburga z powrotem do Katowic. Kiedy pisałem „Polaków w Wehrmachcie”, nie znałem jeszcze jego dalszych losów. Dopiero później ustaliłem, co się stało z Hawrankiem. Otóż ostatecznie trafił on jednak do Wehrmachtu.

W jakich okolicznościach?

To wciąż tajemnica. Znalazłem w niemieckim archiwum dokument stwierdzający, że ten młody chłopak zginął w 1944 r. na froncie zachodnim. Być może istotną informacją w tym kontekście jest to, że jego ojciec, oficer rezerwy WP, który mimo podeszłego wieku poszedł na ochotnika w 1939 r. do wojska, dostał się do niewoli sowieckiej i zginął w Katyniu. Lista katyńska została ogłoszona również na Śląsku, więc Romuald na pewno dowiedział się, gdzie zginął jego ojciec...

Co możemy powiedzieć o postawach, które prezentowali Polacy wcieleni do Wehrmachtu?

To była ogromna grupa ludzi, więc widać tam było wszystkie postawy. Pamiętajmy o wieku tych żołnierzy – zazwyczaj byli to młodzi ludzie ok. 20 lat. Przez kilka lat obracali się w środowisku niemieckim, byli pozbawieni łączności z polskimi rodzinami i ze znajomymi. To wpływało na ich stopniowe aklimatyzowanie się w kręgu niemieckich kolegów. Kiedy wcielano ich do Wehrmachtu,

wówczas to już nie była zwycięska armia. Cały czas wycofywała się, jej straty były coraz wyższe. Z listów, które wysyłali do bliskich, widać wyraźnie, że większość chciała po prostu jak najszybciej wrócić do domu. Ta postawa, zdominowana chęcią przetrwania, była moim zdaniem dominująca.

Jak wiadomo, pod koniec wojny Polacy z Wehrmachtu masowo zrzucali niemieckie mundury. Jak to wyglądało w praktyce?

Polskie Siły Zbrojne bardzo skrupulatnie liczyły dezertersów – na froncie zachodnim było ich aż 81 tys. Jednak w zdecydowanej większości przypadków to nie były dezercje, o których zazwyczaj myślimy, czyli klasyczne przejście przez front. To były dezercje

z obozów jenieckich. Zresztą nawet dezercja z obozu jenieckiego też nie była tak prosta. Otoczenie było przecież niemieckie. Wyrażenie chęci dołączenia do PSZ kończyło się niekiedy linczem...

Stosunkowo rzadko zdarzały się ucieczki na drugą stronę frontu, ponieważ żołnierze obawiali się o los swoich bliskich, którzy pozostali w Rzeszy. I dlatego w PSZ dostawali fałszywe tożsamości. W ten sposób starano się ich zabezpieczyć, by w razie pojmania przez Niemców ich rodziny nie miały problemów.

Na froncie wschodnim Polacy służący w Wehrmachcie generalnie bali się uciekać, ponieważ wiedzieli, co się działo z Niemcami w niewoli sowieckiej. Taka ucieczka była raczej aktem desperacji lub po prostu wynikała z przebywania już w niewoli.

Jak ta kwestia była rozgrywana w PRL?

To nie był problem, który był tajemnicą zaraz po zakończeniu wojny. To zjawisko było na tyle masowe, że sięgał rzeczy sporo o tym pisano na Pomorzu i Górnym Śląsku. Wystarczy przejrzyć prasę lokalną z lat 1945–1949. Dla nowych władz problemem była nie tyle służba w Wehrmachcie, ile jej przyczyna – folkslista. To, że formalnie rzecz biorąc, ludzie ci stali się obywatelami niemieckimi. Aby na powrót zostać obywatelami

polskimi, musieli oni przejść tzw. procesy rehabilitacyjne. To był duży problem społeczny, który jednak ostatecznie został rozwiązany do końca lat 40. W komunistycznej Polsce nie dochodziło do masowego represjonowania tylko za służbę w Wehrmachcie. Po prostu skala zjawiska była zbyt duża. Za to większość tych młodych mężczyzn przeżyła cały dramat rozliczania za okres folkslisty.

Jak to wyglądało w późniejszym okresie?

Już od lat 50. przestało się o tym w ogóle pisać i kwestia służby Polaków w Wehrmachcie zniknęła. Cenzura zadbała, by „wyczyścić” ten temat. Co najwyżej pojawiały się o tym niewielkie wzmianki w utworach literackich czy na ekranie, choćby Gustlik. Ci, których to bezpośrednio dotknęło, raczej się tym

nie chwaliłi. Służba w Wehrmachcie stała się tematem tabu, o którym wspominało się tylko po cichu w gronie najbliższych. Przez te lata narosło z tego powodu wokół „Polaków w Wehrmachcie” mnóstwo mitów. Dopiero w ostatnich latach wiele o tym pisano i mówiono. Mam wrażenie, że Polacy mają już dość dużą świadomość tego, że to było przymusowe wcielenie do obcej armii, a odmowa służby groziła represjami nie tylko w stosunku do tych ludzi, lecz także ich rodzin...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Ryszard Kaczmarek

– jest historykiem z Uniwersytetu Śląskiego, autorem książek „Powstania śląskie 1919–1920–1921”, „Polacy w armii kajzera” oraz „Polacy w Wehrmachcie” (Wydawnictwo Literackie).

Front zachodni / Powrót do swoich

Z Wehrmachtu do Andersa

Niemieccy żołnierze wzięci do niewoli przez armię amerykańską FOT. WORLDWARPHOTOS.INFO



Piotr Zychowicz

/ Żołnierze z Pomorza i ze Śląska masowo dezercerowali i zaciągali się do Wojska Polskiego. Co trzeci żołnierz armii Andersa przeszedł przez Wehrmacht

W trakcie kampanii włoskiej doszło do następującej rozmowy między gen. Władysławem Andersem a jednym z brytyjskich generałów.

– Przykro mi, że poniósł pan tak wysokie straty – miał powiedzieć Anglik.

– Tak, to wielka tragedia – odparł Polak. – Na szczęście mam skąd wziąć nowych żołnierzy i uzupełnić luki w szeregach.

– Skąd? – zdumiał się aliancki oficer.

– Jak to skąd? Z armii feldmarszałka Alberta Kesselringa.

Anegdota ta dobrze oddaje realia frontu zachodniego. Tysiące żołnierzy Wehrmachtu z Pomorza i ze Śląska dostały się do niewoli alianckiej. A następnie – w obozach jenieckich – zgłosiły chęć wstąpienia do polskich sił zbrojnych. Chcieli walczyć dalej, ale tym razem przeciwko Niemcom i z Orzełkami na czapkach.

Generał Anders przyjmował ich bardzo chętnie. Byli to bowiem żołnierze doświadczeni i znakomicie wyszkoleni. Początki były jednak trudne. Alianci z tradycyjną dla Anglosasów ignorancją wykazywali bowiem całkowity brak zrozumienia dla problemu przymusowej służby Polaków w Wehrmachcie. Jacy Kaszubi? Jacy Ślązacy? Dla nas to są Szkopy i mają siedzieć za drutami – upierali się Amerykanie i Anglicy.

W efekcie pierwsza polska placówka wojskowa, której zadaniem było namierzanie i wyciąganie z alianckich obozów Polaków, miała spore kłopoty. Powstała ona w sierpniu 1943 r. w Algierze. Najwięcej Polaków, którzy poddawali się Brytyjczykom i Amerykanom, pochodziło bowiem wówczas z Afriki Korps.

Szefem tej algierskiej placówki był kpt. Tadeusz Gluza – stryj redaktora naczelnego „Karty” Zbigniewa Gluzy. Oficer ten z wielkim poświęceniem starał

się wyciągać rodaków z obozów. Zachowanie Anglosasów było zaś skandaliczne. Nie można było od nich wyegzekwować nawet oddzielenia polskich jeńców od jeńców niemieckich! Było to zaś konieczne ze względu na ich bezpieczeństwo.

Gdy Niemcy dowiedzieli się, że chcą przystąpić do polskiej armii, zaczęli ich maltretować i terroryzować. Groziło, że prześlą ich dane do Niemiec i na ich rodziny spadną straszliwe represje. A potem zaczął się regularny lincz.

3 czerwca 1943 roku – pisał płk Andrzej Liebich z Ministerstwa Obrony – nastąpiło zrywanie orzełków niemieckich z mundurów i czapek Polaków. Potem była komenda „Marsch” i zaczęło się bicie Polaków. Większość ratowała się ucieczką ku bramie. W bramie stał Unteroffizier Ernst Goepfert i ciężką pałką bił każdego z Polaków przechodzących przez bramę.

Jeszcze bardziej drastyczne sceny rozegrały się w innej części obozu, który znajdował się w Oued Zarga w Tunezji:

Zaczęło się bicie. Będący w tym rejonie wartownik angielski w ogóle nie reagował na to wszystko, co widział. Gdy Polacy biegli gankiem około 400 metrów do głównej bramy, Niemcy rzucali w nich kamieniami i wszystkim, co było pod ręką, między innymi puszkami z piaskiem i palącą się benzyną, które otrzymywali dla gotowania strawy.

W efekcie tylko część Polaków zgłosiła się do Wojska Polskiego. Większość

została zastraszona przez niemieckich „kolegów” i została w obozie. Zgłoszenie się do polskiej armii wymagało od jeńców nie tylko patriotyzmu, lecz także nie lada odwagi i charakteru.

Dopiero po miesiącach żmudnych tłumaczeń polskim władzom udało się przekonać Anglosasów, że w obopólnym interesie leży zwalnianie Polaków z niewoli. Szczególnie ciężko szło to z Amerykanami, którzy obawiali się, że Niemcy oskarżą ich o łamanie międzynarodowych konwencji zabraniających rekrutować jeńców.

Weterani mówią

Po lądowaniu na kontynencie – we Włoszech i Francji – rekrutacja w obozach jenieckich szła już znacznie sprawniej. Szczególnie że i rekrutów było coraz więcej. Polscy żołnierze Wehrmachtu masowo przechodzili na stronę aliantów i wyrażali gotowość do walki przeciwko III Rzeszy.

Kierowano ich do Szkocji, gdzie otrzymywali polskie mundury i po krótkim szkoleniu byli kierowani jako uzupełnienie do oddziałów gen. Władysława Andersa lub gen. Stanisława Maczka. Zmieniano im tylko nazwiska. W przeciwnym razie, gdyby dostali się do niewoli niemieckiej, zostaliby bowiem z miejsca powieszeni jako zdrajcy.

Wiele ciekawych relacji żołnierzy ze Śląska znalazło się w książce Jacka Kutzniera i Aleksandra Rutkiewicza „Polacy z Wehrmachtu w polskiej 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka”. Dobrze oddaje ona realia służby i dylematy polskich żołnierzy, którzy bili się w niemieckiej armii.

Jednym z bohaterów książki był Franciszek Przewoźnik z Chybia w powiecie cieszyńskim. W 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej, a jesienią 1942 r. – razem z dużą grupą Polaków – został wcielony do Wehrmachtu. Trafił na front wschodni – nad Dniepr. Warunki były przerażające, a straty jeszcze bardziej.

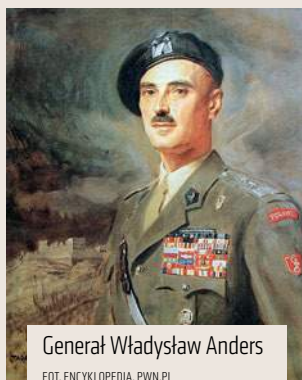
Oddziały niemieckie topniały w oczach. Sowiecki ostrzał, mróz, choroby, wszy. Oto codzienność młodego żołnierza. Przewoźnika przy życiu podtrzymywała miłość do matki, która załamana była, gdyby jej ukochany syn poległ na froncie, oraz żarliwa religijność. W okopach codziennie odmawiał Różaniec. „Franuś, nie bądź głupi, nie

daj się zabić” – brzmiała jego wojenna maksyma.

Nieoczekiwanie Przewoźnik został sanitariuszem i dokonywał cudów bohaterstwa, wyciągając ciężko rannych kolegów z przedpola. Spod ognia bolszewików. Podczas jednej z takich akcji ratunkowych został ranny w nogę.

Parę razy się zastanawiałem, jak to możliwe, że człowiek potrafi więcej wytrzymać niż zwierzę. To było piekło – wspominał. – Wnoszą nas do dużej izby. W ruinach cerkwi. Na środku stał duży stół obity blachą. Mnie wrzucili pierwszego. Przy stole stał lekarz w fartuchu całym zakrwawionym, z rękami zakasany. Jego twarz była prawie fioletowa, a w oddechu było na pewno dwa promile alkoholu.

Jego pomocnik rozciął mi but, skarpetkę i spodnie. Widzę całą nogę oblepioną krwią. Podał wodę, nogę oblał jakąś szmatą. Kiedy lekarz nacisnął na kość, jęknąłem z bólu. Poleciał dać szynę. We dwójkę zdjęli mnie ze stołu. Widziałem przeprowadzane operacje. Obcinali ręce i nogi, które były nie do uratowania. Bez uspienia. Faceci rzyli niemożliwie.



General Władysław Anders

FOT. ENCYKLOPEDIA.PWN.PL

Po wyleczeniu z ran Przewoźnik trafił do Holandii, gdzie zdezerterował z Wehrmachtu i nawiązał kontakt z ruchem oporu. Gdy w 1944 r. przybyli alianci – zgłosił się do polskiego wojska. Trafił do Bredy, a stamtąd do Szkocji. Do Niemiec wrócił w polskim mundurze jako żołnierz polskich sił okupacyjnych.

O tym, jak wyglądała taka rekrutacja, mówi relacja Józefa Mandreli.

Do naszego baraku – wspominał – przyszły dwa oficerzy polskie. Pyta się jeden:

– Czy tu jest jakiś Polak?

Ja powiadam:

– Ja.

– Czy bym chciał ochotniczo iść do polskiego wojska?

Ja powiadam:

– Ja.

Mandrela w Wehrmachcie trafił na złą jednostkę. W koszarach był upokarzany.

Niemcy krzyczeli na niego: „Ty pierońska świni!” i „Polnischen Hund!”. Pomiatali nim, uważali go za żołnierza drugiej kategorii. Nie miał więc żadnych wahań – jego miejsce jest w Wojsku Polskim, wśród swoich.

Ludzkie losy układały się jednak różnie. Inny śląski żołnierz Jan Kabat z Knurowa był dręczony, ale nie w Wehrmachcie, tylko w niewoli brytyjskiej, do której dostał się w 1943 r. w Afryce Północnej.

Anglicy nie byli dobrzy dla jeńców – wspominał. – Człowiek dopiero się dla nich liczy od oficera. A reszta to jest szara masa: bić, kopać niesamowicie. Pociąg z jeńcami stanął pod mostem.

– Wysiadali!

Wagon wysiadł. A ludzi pełno na moście, na drogach.

– Spodnie zdjęć! Tyłki gołe tym ludziom pokazywać! A ci kamieniami po nas bili, pomarańczami, czym się dało.

– Spodnie wciągnąć! Do wagonu!

A Anglicy bili tymi pałami. Człowiek ducha był winien. No nie szedł do Wehrmachtu ochotniczo.

Z kolei Wojciech Zajęczkowski opowiadał, że byli żołnierze Wehrmachtu czasami sprawiali swoim nowym – polskim – przełożonym sporo kłopotu. Wielu z nich walczyło na froncie wschodnim i pałało do Sowietów nienawiścią. To, że bolszewicy byli sojusznikami Anglosasów, wzbudzało w nich oburzenie.

W efekcie, gdy grupa byłych wehrmachtowców przybyła do Londynu, doszło do sympatycznego incydentu. Zobaczyli oni bowiem na jednym z budynków rządowych portrety Churchill, Stalina i Roosevelta. A także brytyjską, amerykańską i sowiecką flagę wiszące obok siebie. Oczywiście portret Stalina i flagę sowiecką z miejsca zerwali.

Innym razem oddział Zajęczkowskiego maszerował przez Glasgow. Polski oficer kazał świeżo upieczonym polskim żołnierzom śpiewać polską piosenkę, której nikt oczywiście nie mógł znać.

Mnie to tak rozgniewało – pisał – i ja po niemiecku zacząłem śpiewać. W Glasgow przez miasto idziemy. Hehe. Jeden, dwa, trzy... i po niemiecku. Śpiewamy piosenkę „Westerwacht”. Jakżem krzyknął, jak to ryknęli, bo u nas było 85 procent z byłego wojska niemieckiego. Jak my rykli! Ten pułkownik Szydłowski przyleciał, zaczął [krzyżeć], a w końcu się opamiętał. A Szkoci i tak nie będą wiedzieć, że to po niemiecku.

W efekcie całej awantury Zajęczkowski dostał siedem dni paki... do odsiedzenia po wojnie.



Polak wcielony do Wehrmachtu rozmawia z żołnierzami 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka

FOT. WIKIPEDIA

Byli żołnierze Wehrmachtu w polskich szeregach bili się bardzo dzielnie. Z odwagą i ofiarnością. Ponosili też wysokie straty. Świadczyć o tym może choćby relacja Waltera Raiwy, który wraz z kolegami z polskiej dywizji pancerniej znalazł się w kotle pod Falaise. Pod morderczym ostrzałem Niemców.

My byli okopani – opowiadał – a kolega:

– Muszę się wysrać.

– Pieroniel!

Nie ma go... Nie ma... Idę go obejrzyć. Gówno mu przy rzycki leżało. Dostał prosto tu w głowę. Od Niemców, od snajpera chyba. Jak my zdobywali, jak my w Falaise lądowali, to my na czołgi siadali i jechali. Potem my zeskokczyli i do ataku. Jedzie nasz pułkownik w Jeepie, cały skrwawiony. I przez to nazywamy się batalion czerwonych koszul.

A oto opowieść Karola Wierzoniga: Rysiek przylatuje i kładzie się pod Carriers – wspominał. – No i na mnie się położył. I tu pocisk pęka. Ryśkowi brzuch rozpruwa się i ręka. Trzeba mu było odciąć, żeby założyć opatrunek. Ten brzuch, te jelita, kał się rozlewał, krew się lała. Rysiek mówi:

– Co jest ze mną?

Mówię:

– Masz biodro zadrażnione. Rękę masz złamaną.

Pójdiesz do szpitala, odpoczniesz.

Prosiłem sanitariusza, żeby jak najszybciej na stół operacyjny go dali. A on tak popatrzył, ten sanitariusz, na mnie, wzrok opuścił...

Żołnierzom tym bez wątpienia należy się najwyższe uznanie i podziw.

90 tysięcy

Wojna na Zachodzie – choć daleko jej było do piekła frontu wschodniego – również była bardzo okrutna i bezwzględna. Polscy żołnierze, którzy dostawali się do niewoli, byli często rozstrzeliwani przez Niemców. I odwrotnie – zdarzało się, że Polacy rozstrzeliwali jeńców niemieckich. Szczególnie gdy byli to znienawidzeni esesmani. Obie strony popełniały więc niestety zbrodnie wojenne.

Pokałaliśmy do niewoli tych jeńców w lesie – opowiadał Wierzon. – Zajął się nimi jeden plutonowy. Ale nie powiem teraz... bo ten patrzy na mnie [chodzi o kamerę – przyp. P.Z.]. Są pewne rzeczy, które człowiek musi zostawić dla siebie.

Z kolei Ferdinand Kubicius wspominał:

Było tak, że się prowadziło jednego czy dwóch esesmanów i kapitan kazał ich odfajkować, to wiadomo... ja bym tego nie potrafił zrobić.

Polscy żołnierze Sił Zbrojnych na Zachodzie przyjmowali kolegów pochodzących z Wehrmachtu różnie. Jedni wykazywali wiele empatii i zrozumienia dla ich sytuacji. Zdawali sobie sprawę, że do niemieckiej armii zostali wcieleni przymusowo. Cenili ich za fachowość i koleżeństwo.

Inni niestety nie witali ich jednak w szeregach z otwartymi ramionami.

Większość szeregowych pochodzących z ziem wschodnich – wspominał Bolesław Dobrski – z braku znajomości sprawy, a może też z powodu uprzedzeń dzielnicowych, przyjmowała obecność ekswehrmachtowców wśród siebie z dużym uprzedzeniem i rezerwą. Sprawy te stawały się coraz bardziej wyraziste po demobilizacji. Zamiast we wspólnym nieszczęściu zbliżyć się do siebie, różnice dzielnicowe coraz wyraziściej występowały w ośrodkach polskich w Wielkiej Brytanii. W dużym nawet stopniu ukrywaliśmy fakt służby w Wehrmachcie. Było to jednak prawie niemożliwe, bo przecież pochodziliśmy ze wspólnych oddziałów i z miejsca okazywało się, skąd pochodzimy. Często było to dla nas ambarasujące. Zdarzały się i kłótnie, padały wyzwiska – niestety!

Dużo gorzej mieli oczywiście ci żołnierze, którzy po wojnie zdecydowali się wrócić do – okupowanej przez bolszewików – Polski. Dla komunistów byli podwójnie podejrzani. Raz, że służyli w Wehrmachcie, dwa, że służyli u Andersa. W efekcie weterani byli często nękani przez UB, mieli problemy ze znalezieniem pracy.

W swojej książce Bolesław Dobrski zamieścił opis ohydnej zbrodni wojennej, której dopuścił się jeden z żołnierzy armii Andersa na swoim rodaku ze Śląska. Stało się to podczas bitwy o Monte Cassin, gdy kilku polskich żołnierzy przez wiele godzin ostrzeliwało niemiecki bunkier. Wreszcie załoga bunkra uciekła. Poza jednym młodziutkim żołnierzem, który dobrowolnie poddał się Polakom.

Chłopak może osiemnastoletni stał z rękoma ponad głową, złany potem i uśmiechnięty, ze szkaplerzem na szyi zwisającym na piersi.

– Nie strzylajta panowie, nie strzylajta – powtórzył. – Ja je Gustlik, Polok, ze Śląska.

– A coś tu robisz? – padło pytanie.

– Ja toć podawał municję do bunkra, aż do ostatniej krzynki, a jak zabrakło, toście mogli tu podejść – objaśniał sytuację, uśmiechając się jakoś przyjaźnie, niepewny, co dalej robić.

– A, to takis ty Polak – wrzasnął dowódca patrolu, pociągając za cyngiel automatycznego pistoletu i kilka kul przeszło pierś Gustlika. Ostatnim tchem jeszcze padło słowo, jak ostatnia modłitwa:

– Ma...

Prawa ręka chciała jeszcze dotknąć szkaplerza danego przez matkę, ale ani słowo, ani ręka nie osiągnęła celu. Tylko kilka strużek krwi spłynęło po piersi przez szkaplerz leżącego już w skurczach przedśmiertnych Gustlika. Może tylko matce, o tysiąc mil w oddali zabiło mocniej serce.

– Skurr... – wyrwało się jednemu spośród patrolu patrzącego na swego dowódcę.

Był to w istocie skurwysyn pierwszej wody. Za tę wyjątkowo odrażającą zbrodnię wojenną popełnioną na dziecku ten polski żołnierz powinien być z miejsca stanąć przed sądem polowym. Na szczęście takie tragedie należały do rzadkości.

Polski rząd na emigracji stał na stanowisku, że Polacy wcieleni do Wehrmachtu nie byli kolaborantami ani zdrajcami. Do obcego wojska zostali wcieleni siłą, przy pogwałceniu prawa międzynarodowego. Tych młodych ludzi nie można było więc potępiać – przeciwnie, należało otoczyć ich opieką. Wielu z nich miało bowiem za sobą traumatyczne przeżycia.

Według prof. Ryszarda Kaczmarka w sumie w polskiej armii na Zachodzie znalazło się 89 631 tys. byłych żołnierzy Wehrmachtu. Oznacza to, że co trzeci żołnierz tych formacji przeszedł przez niemieckie wojsko.

Niektórzy z nich wybierali niezwykle brawurowy sposób na zmianę stron. Na przykład Józef Wiśniewski z Bydgoszczy porwał samochód dowódcy swojej dywizji w Wehrmachcie

i przejechał nim przez linię frontu! W środku była zaś teczka generała z mapami sztabowymi z naniesionymi pozycjami niemieckimi.

Zdumionym żołnierzom alianckim Wiśniewski okazał polską książeczkę wojskową z 1939 r., którą zabrał na front i ukrywał w trakcie pobytu w niemieckim wojsku. Teraz wrócił do swoich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wydawnictwo Znak Horyzont poleca:



Premiera 3 czerwca

Polskie dzieci, którym wydarto dzieciństwo, pamiętają wojnę inaczej niż dorośli. Lektura ich wspomnień porusza, budzi sprzeciw wobec sowieckiego zbydlęcenia i podziw dla heroizmu małych Polaków.



Premiera 1 lipca

Ucieczka przed bandami UPA mordującymi Polaków na Wołyniu, uratowanie żydowskiego dziecka, uniknięcie transportu do Auschwitz, wyjazd na Ziemię Odzyskane i małżeństwo z Żołnierzem Wyklętym. Życie Zofii Hołub to historia XX-wiecznej Polski w pigułce.

Już w sprzedaży:



Już w sprzedaży

Wika Filipowicz ze swadą opowiada o tym, co gościło na królewskich stołach. Przedstawia kulinarne obyczaje władców. Kuchenne ewolucje i rewolucje. Od średniowiecza po dziś dzień.



Już w sprzedaży

To kolejna książka wybitnych badaczy, których książki zainspirowały George'a R.R. Martina do stworzenia fascynującego świata Pieśni lodu i ognia. Prawdziwa gratka dla fanów jego twórczości oraz miłośników historii średniowiecza.

HORYZONT.
znak

Polacy z Wielkopolski, Pomorza, ze Śląska, z Warmii i Mazur znajdowali się od 1815 do 1918 r. pod władzą króla pruskiego, będącego zarazem od 1871 r. cesarzem II Rzeszy Niemieckiej. Nasi młodzi rodacy musieli służyć w niemieckiej armii i podobnie jak niemieccy poborowi poddawani byli ostremu pruskiemu drylowi, który przyuczał do posłusznego wykonywania rozkazów, bezbłędnej musztry, pedantycznej dbałości o broń, mundur i oporządzenie. Były to elementy całego wyszkolenia bojowego najlepszego żołnierza w Europie, najlepiej przy tym dowodzonego. Pruska szkoła dowódców wymagała od nich osobistego męstwa i umiejętności prowadzenia walki, dawania przykładu podwładnym, ale przede wszystkim – wytyczania im celów, które rzeczywiście mogli osiągnąć, licząc się zawsze z siłami i ze środkami. Wszystko z pragmatyzmem podporządkowane było zwycięstwu.

Z tego m.in. wynikał zakaz mówienia po polsku. W swej świetnej książce „Polacy w armii kajzera” prof. Ryszard Kaczmarek wskazuje oczywiście na niemieckie poczucie wyższości niejednego z dowódców, ale zarazem stwierdza, że wielu polskich poborowych, zwłaszcza z chłopskich domów, kompletnie nie potrafiło porozumiewać się po niemiecku. Wspomniany zakaz – obok poniżenia młodych Polaków – dobrze jednak służył obu stronom zarówno podczas służby, jak i w warunkach bojowych, kiedy od obopólnego zrozumienia mogło zależeć życie. Zresztą podczas wojny rozmowy i śpiewy po polsku rozbrzmiewały w miarę swobodnie.

Polonofobii nie stanowiło też przyuczanie wiejskich chłopców do utrzymywania porządku i czystości w otoczeniu oraz do higieny osobistej. Do form zwracania uwagi, zwłaszcza w wykonaniu kaprali i sierżantów, można, rzecz jasna, mieć zastrzeżenia, ale zwykle były one zapewne objawem powszechnego w każdej armii prostactwa. Różnica w traktowaniu Niemców i Polaków była bardziej widoczna przy formowaniu oddziałów oraz awansach ludzi różnej narodowości. Otóż całe formacje, zwłaszcza na początku wojny, tworzone w dużym stopniu terytorialnie – z poborowych owych „małych ojczyzn” – „heimatów”, jak mówią Niemcy. Dlatego na front trafiały



Niemieccy żołnierze w Belgii, 1914 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

1914–1918 / Nasi rodacy w armii II Rzeszy

Polacy od kajzera



Maciej Rosalak

Oddziały poznańskie z dużą liczbą Polaków Niemcy nazywali „Katschmarkenregimenten” – „pułkami Kaczmarków”

kompanie, bataliony, a nawet pułki z dużą liczbą Polaków.

Jak stwierdza jednak prof. Ryszard Kaczmarek: „Nie istnieją osobne »polskie« pułki, dywizje czy brygady,

jak to było w armiach rosyjskiej i austriackiej. Polacy w armii kajzera służyli jako żołnierze, podoficerowie, rzadko oficerowie, w mieszanych pod względem etnicznym jednostkach, które są częścią

An die Bevölkerung des
Bezirks des V. Armee-corps!

Seine Majestät der Kaiser hat das Reichsgebiet in Kriegs-
zustand erklärt. Für diese Maßregel sind lediglich Gründe der
raison und gleichmäßigen Durchführung der Mobilisierung maß-
gebend und nicht etwa die Befürchtung, daß die Bevölkerung die
vaterländische Haltung werde vermissen lassen. Die Schnelligkeit
und Sicherheit unseres Aufmarsches erfordert einheitliche und ziel-
bewußte Leitung der gesamten vollziehenden Gewalt. Wenn durch
die Fortführung des Kriegszustandes die Gesele gefährdet werden,
so ist die Beförderung des Kriegszustandes die Gesele gefährdet werden.

Obwieszczenie dowódcy
V Korpusu armii
w Poznaniu o stanie wojny
i mobilizacji FOT. DOMENA PUBLICZNA

V. Armee-corps aufrechterhalten und es vor den Augen unseres
Kaisers und den Blicken der Nation in Ehren bestehen.

Posen, den 21. Juli 1914
Der kommandierende General
des V. Armee-corps.

oddziałów niemieckich walczących prawie na wszystkich frontach pierwszej wojny światowej, ale nie sposób ich nazwać polskimi. Nie mają polskich dystynkcji, specjalnych odznak na mundurach, co więcej, zabrania się im używania języka polskiego...”

Kanonenfutter

Profesor pisze również: „Na obszarze zaboru pruskiego już od wojny lat 1870–1871 z Francją pojawiło się pojęcie »pułków polskich«, czyli tak naprawdę z przewagą Polaków w ich składzie, ponieważ nie istniały jednolite polskie regimenty. Ale pod względem etnicznym (a także języka, którym posługiwali się rekruci) przeważali w nich Polacy, szczególnie w pułkach poznańskich. Zwano je Katschmarkenregimenten. Nazwa ta utrzymała się i podczas pierwszej wojny światowej w Poznaniu była w powszechnym użyciu. Wspomina o niej między innymi Arkady Fiedler – kiedy w 1915 r. gwałtownie przybywało dezertów, to tych uchylających się od służby i leżących w szpitalach na prawdziwe i wyimaginowane choroby nazywano właśnie Kaczmarkami”.

Ci „Kaczmarkowie” na przełomie lat 1918 i 1919 nieźle dali się we znaki Niemcom. Za jeden z czynników, które wpłynęły na sukces powstańców wielkopolskich, gen. Józef Dowbor-Muśnicki uznał „doskonale wyćwiczonego starego żołnierza z armii niemieckiej jako inżyniera”.

Kiedy w 1914 r. Niemcy ruszali na wojnę, mogli liczyć na dostateczne siły i środki, zwłaszcza po błyskotliwym rozgromieniu dwóch armii rosyjskich w Prusach Wschodnich. W ciągu całej wojny zmobilizowali 11 mln żołnierzy, a ich karabiny, ckm-y, działa lżejszego i cięższego kalibru czy samoloty nie ustępowały francuskiemu, brytyjskiemu i rosyjskiemu. Wyścigu technologii też nie przegrywali. Ale po przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych Ameryki ich szanse na ostateczne zwycięstwo zmalały do zera. Po niepowodzeniu wielkiej ofensywy letniej w 1918 r. armia niemiecka załamała się jesienią po wielkim francusko-amerykańskim kontruderzeniu.

Do listopada 1918 r. Niemcy stracili łącznie – poległych i zmarłych, również

na skutek chorób zakaźnych – 1 773 700 żołnierzy. Listy strat nie podają narodowości. Liczenie polsko brzmiących nazwisk bywa zawodne: na pewno nie wszyscy o takich nazwiskach poczuli się do polskości, a z kolei nie wszyscy o typowo germańskich nazwiskach byli Niemcami. W okresie międzywojennym przyjmowano szacunkowo, że podczas pierwszej wojny światowej Niemcy zmobilizowali 780–800 tys. Polaków, a życie straciło ok. 110 tys., czyli co siódmy z nich. Natomiast pamiętajmy, że Polakiem był co 14. ze zmobilizowanych żołnierzy II Rzeszy. „Nadumieralność” Polaków wynika zapewne z tego, że poważnie byli kierowani – jako „kanonenfutter” (mięso armatnie) – do oddziałów walczących bezpośrednio na froncie. Dodajmy, że bezpowrotne straty polskie podczas tamtej wojny – we wszystkich armiach zaborczych i takich oddziałach polskich jak Legiony czy Armia Hallera – ocenia się łącznie na 400 tys.

Dramatyczne przeżycia frontowe potęgowało u Polaków to, że musieli walczyć na śmierć i życie z rodakami wcielonymi do wojsk przeciwnika. Na froncie zachodnim już na początku grudnia 1914 r. Polacy – żołnierze kajtera – musieli bić się pod Arras z polskimi ochotnikami Legii Cudzoziemskiej zwanymi bajończykami. Pod koniec grudnia tegoż roku front wschodni zatrzymał się na linii rzek Bzury i Rawki, gdzie – szczególnie pod Sochaczewem i Bolimowem – dochodziło do krwawych ataków i kontrataków. Świadek tych wydarzeń zapisał też taką scenę: „– Urra! Urra! Jezus Maria! –

krzyknęli sybiracy, gramoląc się z okopów. – Herr Jesus! Gott mit uns! Vorwärts! – odpowiedzieli grzmiąco Niemcy, a tu i ówdzie w ich, zarówno, jak i w rosyjskich szeregach ozwało się dobitne: – Bij psiakrew! To Mazury w pikielhaubach i Mazury w »papachach« zagrzewali jedni drugich do tem cięższego natarcia”.

Frontowy żołnierz, ciężko poraniony podczas trzeciej bitwy pod Ypres w 1917 r. Erich Maria Remarque pisał („Na Zachodzie bez zmian”), że nowi rekruci, którymi chciano zastąpić poległych, byli tak źle wyszkoleni, iż ginęli już w pierwszych walkach, do których ich wysłano. Lufy niemieckich dział do tego stopnia wyślizgały tysiące wystrzelonych pocisków, że stały się niecelne, a pociski spadały na własne pozycje. Lata w okopach, śmierć, rany i choroby towarzyszy broni, głód w niemieckich domach za frontem, a szczególnie wzrastające poczucie beznadziejności dalszej

wojny jesienią 1918 r. odebrały karnym dotychczas żołnierzom niemieckim motywację do dalszych bojów. Remarque wspomina życzliwie polskich kolegów. Właśnie pod koniec wojny ginie jego przyjaciel Kaczyński, którego autor uznaje za ideał żołnierskiego koleżeństwa – „kameradschaftu”. Wzrusza scena z wojskowego szpitala, gdy niemieccy koledzy zaskakująco delikatnie zachowują się podczas odwiedzin żony rannego Lewandowskiego, gdy oboje pragną się pokochać.

Z armii pruskiej do polskiej...

Pod koniec wojny wielkopolskie dążenia niepodległościowe zamieniły się w żądania, i to tak kateryczne jak Wojciecha Korfanteo w parlamencie zaborcy. Polacy opuszczali szeregi obcej armii. Czynili tak prości żołnierze, ale i oficerowie. Szykowali się zresztą do tego od pokoleń „najdłuższej wojny w Europie”. Wielu należało do niepodległościowej konspiracji, opierającej się na działalności Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” czy kółek Towarzystwa Tomasza Zana. Od 1917 r. działała w Wielkopolsce



■ Polska Organizacja Wojskowa (POW), skupiająca dziesiątki oficerów wyszkolonych przez Prusaków.

W armii pruskiej wielka kariera wojskowa tradycyjnie i niejako automatycznie otwierała się przed kastą junkierską – posiadaczy ziemskich, będących od paru wieków podporą pruskiego tronu.

Utworzenie cesarstwa sporo tu zmieniło, na stanowiska dowódcze trafiali Niemcy z całej Rzeszy, ale sztab generalny jak był, tak pozostał zdominowany przez pruską arystokrację. Natomiast Polaków trzeba długo szukać wśród oficerów wyższych, o generałach nie wspominając – i to zwłaszcza różniło armię niemiecką od austriackiej i rosyjskiej.

Dlatego gdy trwało i rozwijało się powstanie wielkopolskie, już w styczniu trzeba było obsadzić stanowiska dowódcze większych oddziałów wyższymi oficerami z innych zaborów, zwłaszcza zaś z byłego I Korpusu Polskiego utworzonego w 1917 r. na terenie Rosji. Stanowisko głównodowodzącego objął właśnie gen. Dowbor-Muśnicki, a szefa sztabu – rtm. Władysław Anders. Generał Dowbor podkreślał m.in.: „jednolitość składu formacji: żołnierze wszyscy tylko poznańscy Polacy, oficerowie także, z nielicznymi wyjątkami (na ogólną liczbę 1150 oficerów tylko 181 z byłego I Korpusu i armii rosyjskiej, 18 z armii austriackiej, a 939 z byłej armii niemieckiej)”.

Zastanówmy się, co ta ostatnia liczba oznacza. Otóż – choć Polacy zostawali w armii niemieckiej oficerami – to jednak ze stosunku wszystkich zmobilizowanych Polaków (przyjmijmy 700 tys. tych, którzy przeżyli wojnę) do oficerów, którzy w godzinie próby przyznali się do polskości, wynika, że zaledwie jeden oficer przypadał na 7 tys. żołnierzy! Przy tym byli to – z małymi wyjątkami – dowódcy pododdziałów: plutonów i kompanii, zwykle w randze podporuczników i poruczników. Ze świecą trzeba by szukać dowódców batalionów: kapitanów czy majorów. W randze podpułkownika armii niemieckiej odszukałem wśród oficerów wojsk powstańczych tylko jednego – Kazimierza Grudzielskiego (1856–1921).



Generał Józef Dowbor-Muśnicki, dowódca Wojsk Wielkopolskich

FOT. NAC



Podporucznik Bohdan Hulewicz

FOT. PAN



Szturm na Prezydium Policji w Poznaniu i śmierć Franciszka Ratajczaka – mal. Leon Prauziński

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Służył on w armii niemieckiej od 40 lat. W 1880 r. dosłużył się stopnia podporucznika, a w 1914 r. – jako dobiegający sześćdziesiątki podpułkownik – organizował straż nad granicą belgijską. Trzy lata później przeniesiono go w stan spoczynku, który przerwał, ruszając do powstania wielkopolskiego w powiecie wrzesińskim. Dowodził jednym z wojskowych okręgów powstańczych, a w połowie stycznia doprowadził do wyzwolenia południowo-wschodniej Wielkopolski. W marcu zorganizował 2. Dywizję Strzelców Wielkopolskich, zasłużoną w bojach z Ukraińską Halicką Armią. Zmarł jako polski generał. W ujednoliconym Wojsku Polskim dywizja ta stała się 15. Wielkopolską Dywizją Piechoty, która podczas wyprawy kijowskiej zdobyła Berdyczów, a w samym Kijowie – mosty i przyczółek po wschodniej stronie Dniepru. Pośrednio więc dzięki Grudzielskiemu polski (i to wielkopolski) żołnierz stanął na Zadnieprzu po raz pierwszy od XVII w.!

Pierwszy dowódca powstania – inżynier górnictwa Stanisław Taczak (1874–1960) – był kapitanem rezerwy, jedynym pruskim oficerem, który na własną prośbę został w 1916 r. skierowany do polskich Legionów (6 pp), a 17 listopada 1918 r. siedł w Warszawie na czele reprezentacji Wielkopolan pod hasłem: „Łączmy się!”. Na głównodowo-

dzącego powstania wysunął go 27 grudnia Korfanty, a Taczak błyskawicznie ogarnął spontaniczny zryw, organizując m.in. okręgi wojskowe. Na czele sztabu stanął kapitan z Legionów – Stanisław Łapiński (1891–1922), a sekcją wywiadu Dowództwa Głównego kierował kpt. Antoni Seyda (1858–1937).

Zainicjowanie powstania i skierowanie go na właściwe tory walki było głównie zasługą młodszych oficerów, którzy zorganizowali Sekcję Wojskową Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej: ppor. Bohdana Hulewicza (1888–1968), por. Bronisława Sikorskiego (1885–1937) oraz ppor. Mieczysława Palucha (1888–1942). Hulewicz i Paluch już 13 listopada opanowali Komitet Wykonawczy Rady Żołnierskiej, wcześniej złożony z Prusaków, a po wybuchu

zrywu wszyscy brali udział w walkach na ulicach Poznania, zdobywając kolejne dzielnice, gmachy publiczne oraz lotnisko ramię w ramię z innymi wyszkolonymi wojskowo oficerami, podoficerami i żołnierzami.

Sierżantem, ale z tytułem pilota, został mianowany w niemieckim lotnictwie Wiktor Pniewski (1891–1974), który brał udział w zdobyciu lotniska w podpoznańskiej Ławicy, został jego pierwszym komendantem, a 9 stycznia 1919 r. zorganizował odwetowy atak powietrzny na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą. Kapral Andrzej Kopa (1879–1956), jako dowódca kolumny amunicyjnej, został w 1915 r. awansowany na podporucznika, a przed wybuchem powstania „zorganizował” 250 karabinów z amunicją. Do walki ruszył z 800-osobowym, dobrze uzbrojonym oddziałem w Dopiewie.

Podoficer Antoni Wysocki (1884–1940) jako pierwszy 27 grudnia przyprowadził 100-osobowy oddział polskiej Straży Ludowej z Wildy dla obrony Bazaru przed niemieckimi grenadierami. W ataku na prezydium policji, skąd grenadierzy ostrzeliwali bazar, zginął tego dnia – jako pierwszy polski powstaniec – Franciszek Ratajczak, chłop z urodzenia (1887), górnik, żołnierz walczący w szeregach niemieckich na froncie zachodnim, czynny członek Sokoła.

POLAKOM CHOLERNIE BRAK DZIŚ POCZUCIA GODNOŚCI.



Jesteśmy tu od tysiąca lat. Stworzyliśmy państwo, do którego ze wszystkich stron świata, z zachodu, wschodu i południa, ciągnęli ludzie jak do ziemi obiecanej. A teraz byle łajza z Holandii czy Luksemburga pozwala sobie traktować nas jak małpy, które ledwo co zlażyły z drzewa?! Stawiać nas do pionu, pouczać, wychowywać obietnicami szklanych paciorków i straszaniem „sankcjami”?

I nasze tak zwane elity płaszcą się przed każdą taką łajzą z obrzydliwym służalstwem, prosząc, żeby Europa zechciała łaskawie jakoś przywołać do porządku tę polską hołotę, bo im się ona wyrwała spod kontroli i nie chce słuchać?

Czas, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na leżenie i rekonwalescencję, mija, kończą się światowe koniunktury, zaczynają prawdziwe schody, coraz bardziej strome. Trzeba ruszyć tyłek, przypomnieć sobie „czym tobie być, o czym tobie marzyć, śnić”.

O tym jest ta książka.



Patroni medialni



#ZgadamsięZziemkiewiczem

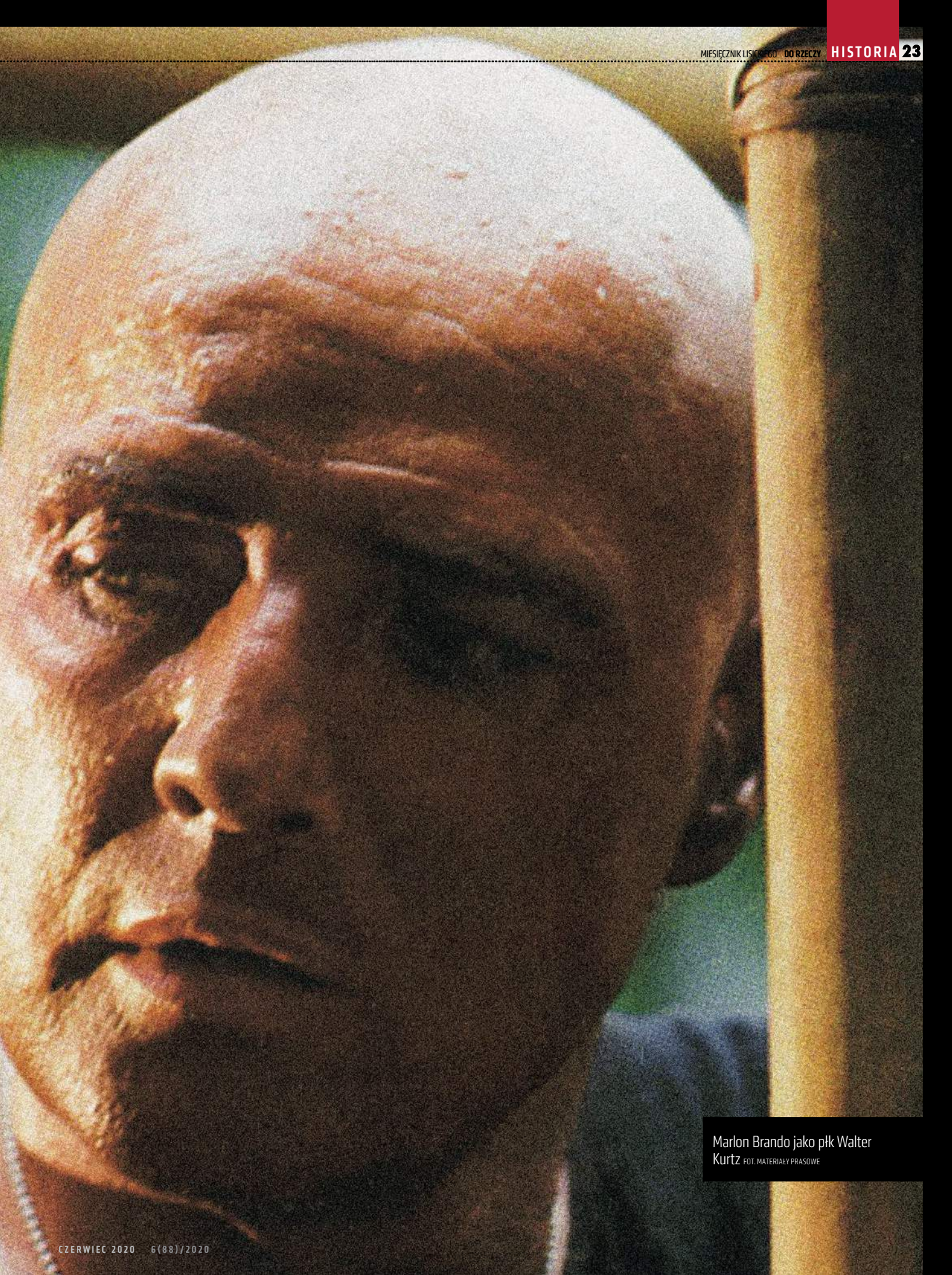
Amerykanie kontra komunizm / Hollywood nad Mekongiem

Czas apokalipsy w Wietnamie



Jakub Ostromecki

/ Coppola przeniósł „Jądro ciemności” Josepha Conrada do Wietnamu. I dostosował fabułę książki do amerykańskiej poprawności politycznej XX w.



Marlon Brando jako płk Walter
Kurtz FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To nie jest film o Wietnamie. To jest Wietnam! Sposób, w jaki go nakręciliśmy, przypominał działania Amerykanów w Wietnamie. Byliśmy w dżungli, było nas tam zbyt wielu, mieliśmy za dużo pieniędzy i za dużo dobrego sprzętu i powoli popadaliśmy w obłęd – wyraził się Francis Coppola o „Czasie apokalipsy”. Można przyznać rację reżyserowi tylko częściowo: w czasie kręcenia filmu na Filipinach prawdziwe były z pewnością insekty, upał, dolary, być może narkotyki. Wietnam Coppoli jest jednak w większości zmyślony, podobnie jak działania US Army, Wietkongu czy nawet Francuzów, którzy pojawiają się w rozszerzonej edycji filmu.

Główny wątek „Czasu apokalipsy” nie jest oczywiście pomysłem oryginalnym, lecz adaptacją powieści Conrada – „Jądro ciemności”. Pułkownik Sił Specjalnych USA (zielonych beretów) Walter Kurtz, żołnierz wielokrotnie odznaczony i „idący w generały”, znika gdzieś w dżungli po kambodżańskiej stronie granicy z Wietnamem Południowym. Zostaje samozwańczym i okrutnym królem tubylczych plemion. Kapitan Benjamin Willard, oficjalnie spadochroniarz, a w rzeczywistości oficer wykonujący tajne misje dla CIA, ma za zadanie odnaleźć szalonego pułkownika i go zabić.

Protoplaści Kurtza

Ta historia jest fikcyjna, ale sylwetka Kurtza przypomina w pewnym stopniu działania dwóch prawdziwych oficerów. Pierwszym z nich był Anthony Poshepny (Tony Poe). Ów były marines od lat 50. współpracował z CIA, w różnych częściach świata szkoląc wieśniaków i tubylców do walki z reżimami komunistycznymi. W czasie wojny indochińskiej trafił do sąsiedniego Laosu, gdzie osiadł wśród Hmongów. Jak twierdzi Joshua Kurlantzick, dziennikarz zajmujący się od lat Azją Południowowschodnią, Poshepny miał dość osobliwe podejście do kwestii walki partyzanckiej. Kazał swoim podkomendnym obcinać uszy zabitym wrogom. Trofea owe wysłał potem do ambasady amerykańskiej w Wientian jako dowód skuteczności swoich działań. Aby obniżyć morale komunistów, zrzucał

z samolotu nad ich pozycjami obcięte głowy ich towarzyszy.

Poshepny był jednak sfrustrowany amerykańską polityką w regionie i brakiem wystarczającego wsparcia dla Hmongów, choć z czysto wojskowego punktu widzenia „wojna szarpana” w wykonaniu dżunglowego watażki przynosiła pewne sukcesy. Tony Poe zaczął pić. Nie skończył jednak tak jak filmowy Kurtz. Wśród Hmongów znalazł żonę, z którą miał czworo dzieci. Po wielu latach spędzonych w Tajlandii przeniósł się w latach 90. z powrotem do USA. Coppola twierdził, że nie inspirował się Poshepnym. Chętnie za to mówił o Robercie Rheault. Był to żołnierz 5. grupy Sił Specjalnych, czyli tej samej jednostki, w której służył w filmie Kurtz. Również wielokrotnie odznaczony, jego kariera legła jednak w gruzach na skutek egzekucji wietnamskiego podwójnego agenta, który w świetle prawa był jeńcem wojennym.

Zanim Willard rozpoczął swoją drogę w górę rzeki, trafi na żołnierzy 1. Dywizji Kawalerii oczyszczających właśnie wybrzeże z komunistycznej partyzantki. Spotkanie Willarda z powietrznymi kawalerzystami przeszło do annałów kina. Z narracji Willarda dowiadujemy się, że chodzi o rozpoznawczy pododdział dywizji, czyli 1. Szwadron 9. Pułku Kawalerii, z którego w polskiej wersji językowej zrobiono dziwoląg o nazwie „pierwsza z dziewiątej”. Ów szwadron to według tradycyjnej terminologii przyjętej w USA pododdział o sile batalionu, nie kompanii. Na maszynach jednostki nie powinno być jednocześnie hasła: „Death from Above”, które jest mottem spadochroniarzy, lecz dużo mniej drażniące: „We can, We will”. Inaczej niż w filmie powietrzni kawalerzyści nie siadali w helikopterach na hełmach, by chronić swoje genitalia, lecz na fragmentach kamizelek kuloodpornych zwanych „kurzymi płytkami”.

Szwadronem dowodzi ppłk. Bill Kilgore. Jeden z bardziej rozpoznawalnych bohaterów kina wojennego, mający w pewnych kręgach niemal status ikony. Autor słynnych bon motów, takich jak: „Charlie nie surfuj!” czy „Kocham zapach napalmu o świcie [...] to pachnie jak zwycięstwo”. I on jest inspirowany prawdziwymi postaciami. Przede wszystkim pierwszym dowódcą szwadronu Johnem B. Stocktonem, który zaszczepił wśród żołnierzy przywiązanie do kawalerijskich tradycji i przekonanie o wyjątko-



wości jednostki. Z Kilgore'em łączyła go miłość do cygar i uwielbienie, jakim darzył go żołnierze. W 1969 r. Stockton od dawna nie dowodził już szwadronem. W 1965 r. został zdjęty ze stanowiska. Dowództwo dywizji uważało, że samowolnie rozporządzał nie swoimi pododdziałami.

Inną postacią – protoplastą Kilgore'a – jest gen. James Hollingsworth. Zuchwały zastępca dowódcy 1. Dywizji Piechoty, który sztorcował swoich podkomendnych za zabijanie zbyt małej ilości wrogów. Sam jednocześnie dawał przykład, jak należy to robić – kazał załodze swojego helikoptera lądować w ogniu walk i dołączać wtedy do zwykłych żołnierzy. Generał ma na koncie kilka ciekawych powiedzonek, np.: „Czuję się znakomicie, zabijając komuchów” czy „Musimy zabić ich wszystkich, zanim zwieją do Kambodży”. Wypowiedzi te bardzo szybko poszły w eter i tak trafił na nie Coppola.

Surfing Kawalerii Powietrznej

Kilgore zgadza się uderzyć na deltę fikcyjnej, południowowietnamskiej rzeki dopiero, gdy dowiaduje się, że można w jej rejonie... surfować. Nie zlikwidowano jeszcze wszystkich punktów oporu Wietkongu, w plażę co rusz łupią komunistyczne mózdzierzce, a Kilgore już wysyła swoich żołnierzy, aby sprawdzili, jak szaleje się na falach. To oczywi-



Scena z „Czasu apokalipsy”. Poniżej: Robert Duvall i Sam Bottoms na planie filmowym FOT. MATERIAŁY PRASOWE



ście w czasie prawdziwej operacji był absurd, ale nie znaczy to, że żołnierze US Army nie surfowali w Wietnamie i to pod ostrzałem wroga. Jednym z takich miejsc, bardzo podobnym zresztą do tego z „Czasu apokalipsy”, była baza Cua Viet w miejscu ujścia rzeki Song Thach Han. Służył w niej, urodzony w Kalifornii, Bruce Blandy. Wspominał, że „Cua Viet było pod ciągłym ostrzałem moździerzy rakiet i ciężkiej artylerii. Byłem akurat w wodzie, gdy uderzyła w nią spora seria i w górę wytrysnęła olbrzymia fontanna wody. Niesamowita rzecz. Surfowanie pomagało nam jednak przetrzymać wojnę [...] i dawało niesamowite uczucie spokoju”.

Inna plaża, gdzie można było spotkać surfujących żołnierzy, znajdowała się w Chu Lai. Aby dowództwo nie wpadło na jakiś głupi pomysł, deski surfingowe

zostały wpisane na stan wyposażenia jednostek jako „sprzęt ratowniczy”. Jak jednak tłumaczono się z namalowanych na owym sprzęcie pacyfek i hasła w stylu „Love and sex”, tego Blandy już nie zdradził.

Kulminacyjnym momentem filmu jest oczywiście scena ataku na umocnioną wieś zajmowaną przez Wietkong, w czasie której Kilgore puszcza z helikopterów uverture Wagnera – „Cwałowanie Walkirii”. Z racji hałasu tworzonego przez maszyny takie działanie w prawdziwej bitwie pozbawione jest oczywiście sensu i trzeba je traktować jako środek czysto artystyczny. Ową scenę kwitował krótko Loren McAnally, pilot hyeya służący w 1. Szwadronie w 1967 r.: „Na kilku ptaszkach były zamontowane głośniki, a na kilku syreny. Używaliśmy ich do ogłuszania i straszenia przeciwnika, ale

to nie zdawało egzaminu, a tylko zabierało miejsce i zwiększało wagę maszyny”. Coppola chciał oszołomić widza za pomocą obrazu i dźwięku, a nie odtwarzać taktykę kawalerii powietrznej w Wietnamie. 1. Szwadron nie zajmował się bowiem umocnionymi punktami oporu, ale raczej wyłuskiwaniem jednostek Wietkongu lub Armii Północnego Wietnamu kryjących się w dżungli. Miał brać na siebie pierwsze uderzenie przeciwnika do czasu przybycia reszty dywizji.

Gdyby jednak Kilgore istniał i rzeczywiście chciał zaatakować umocnioną wieś w delcie wielkiej rzeki, cała operacja wyglądałaby nieco inaczej. Siedzący we wsi Wietkong posiadał karabiny przeciwlotnicze, w głębi lasu zaś moździerze. W takiej sytuacji amerykański dowódca raczej nie ryzykowałby lądowania na plaży, lecz chcąc chronić helikoptery, wysadziłby desant w pewnym oddaleniu od wsi, w strefie lądowania wyrąbanej uprzednio w dżungli przez artylerię. Inna grupa maszyn starałaby się w tym czasie uciszyć moździerze. Akcja filmu rozgrywa się w 1969 r., a więc w ataku powinny uczestniczyć śmigłowce szturmowe Cobra, ale tych do filmu nie dało się wypożyczyć. Amerykańskiej artylerii w ogóle w filmie nie widzimy.

W bitwie Coppola dużo większym problemem od zaprezentowanej taktyki są wietnamscy komuniści. Z reguły bowiem, poza oczywiście ofensywą Tet, amerykańskie desanty kończyły się podobnie: przytępiany Wietkong starał



Martin Sheen w jednej ze scen filmu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ się nie podejmować walki z silniejszym przeciwnikiem, tylko wycofać się do dżungli lub rozpląnąć wśród cywili. Dlatego na domniemanych trasach ucieczki komunistów Amerykanie starali się wysadzać kolejne desanty, aby zlikwidować jak najwięcej wycofujących się partyzantów. Filmowy Wietkong czuje się zaś zbyt pewnie jak na realia owej wojny.

Coppola zapomniał bowiem o rzeczy podstawowej: wojnę toczyły ze sobą dwa państwa wietnamskie, a USA interweniowały po stronie jednego z nich, czyli Południa. Z kolei w Wietnamie Południowym stawały przeciw sobie z jednej strony wojska rządowe i ich amerykańscy sojusznicy, a z drugiej komunistyczna partyzantka wspierana przez armię Wietnamu Północnego. Scena ataku na wioskę wygląda bardziej jak atak na suwerenne terytorium z już okrzepniętymi strukturami władzy, czyli na Wietnam Północy. Tam jednak USA takich desantów nie dokonywały.

Zupełnie kuriozalny jest również obraz idylli panującej w owej filmowej wsi. I tu również Coppola zapomniał, czym był Wietkong. Gdyby czytał opracowania Douglasa Pike'a, wiedziałby, że była to organizacja, dla której idea walki klas była tak samo istotna jak walka z Amerykanami, co udowodniły walki o Hue, gdzie Wietkong wymordował kilka tysięcy „wrogów ludu”. Codzienną praktyką

Wietkongu było podkładanie bomb na targowiskach czy indywidualny terror wobec sołtysów wsi, które Wietkong uznał za sprzyjające rządowi, a także pracowników administracji, nauczycieli, księży i wszystkich uznanych za „zdrajców”. Wietnamscy kacykowie byli jednocześnie na tyle sprytni, aby promować siebie od strony czysto ideologicznej, politycznej, oficjalnie dystansując się od terroru. Wielu złapało się na ten narodowyzwoleńczy lep. Jednym z naiwnych okazał się Coppola.

Francuzi

W reedycji filmu znalazł się dość istotny wątek, który wypadł z pierwotnej wersji. Płynąc w górę rzeki, Willard napotyka zapomnianą ufortyfikowaną plantację zamieszkaną przez Francuzów, którzy po klęsce pod Dien Bien Phu zdecydowali się pozostać w swojej dawnej kolonii. Epizod ten, choć bardzo ciekawy i stawiający ważne pytania, jest niestety grubą nadinterpretacją i nie chodzi tu wcale o to, czy w 1969 r. można było spotkać w Wietnamie Południowym uzbrojonych i umundurowanych Francuzów. Jeden z weteranów tamtejszej wojny zarzucił Willardowi: „W 1945 r. Roosevelt nie chciał Francuzów w Indochinach, więc wymyślił Viet

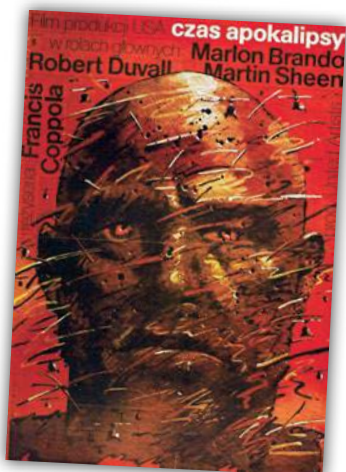
Minh. A teraz zajęliście nasze miejsce i to z wami walczą”. I dalej, chcąc pokazać, jak bardzo walka w obronie swoich plantacji różni się od walki w imię powstrzymania przeciwnej ideologii: „Wy, Amerykanie, walczycie o największe nic w historii”.

Willard jest w obliczu tych filipik całkowicie bezradny. Coppola, atakując amerykańską politykę ustami francuskich pionierów, zdawał się zapomnieć, że to USA finansowały większość francuskiego wysiłku wojennego w czasie ówczesnego etapu wojny. Coppola pomylił też Kochinchinę (dawna nazwa Wietnamu Południowego) z Algierią. Tam na przełomie lat 50. i 60. Francuzi walczyli rzeczywiście w obronie dużej grupy swoich rodaków-kolonistów i tych Arabów, którym podobały się rządy Paryża. Dla odmiany z analiz Charles'a Robequaina wynika, że w Kochinchinie Francuzi stanowili raptem 0,35 proc. populacji. W tej grupie liczącej nieco ponad 30 tys. osób 52 proc. stanowili wojskowi, 19 proc. urzędnicy, a raptem 3 proc. było rolnikami czy plantatorami.

Dla Francuzów zatem Wietnam nie był kolonią osiedleńczą, lecz źródłem zaopatrzenia. Przywódca plantatorów tłumaczy przegraną w wojnie za pomocą teorii o „nożu wbitym żołnierzom w plecy przez komunistów”. Coppola dezawuuje ów werbalny atak, robiąc z weterana rodzinnego autokratę, który krzykiem ucisza resztę współbiedniaków ośmielających się mieć inne niż on zdanie. Frustracja Francuza ma tymczasem mocne uzasadnienie. Sabotaż stosowany przez komunistycznych robotników opisano w pracach M. Kathryn Edwards pt. „Contesting Indochina: French Remembrance between Decolonization and Cold War” oraz Edwarda Rice'a Maximina – „Accommodation and Resistance: The French Left, Indochina and the Cold War”.

Francuscy żołnierze w Wietnamie rzeczywiście znajdowali w transportach płynących z kraju zniszczony sprzęt i wyposażenie medyczne. Generał Georges Revers oceniał, że 40 proc. dostaw docierało zniszczone. Dokerzy odmawiali pracy przy ładowaniu sprzętu wojskowego, a w Nicei komunistyczni manifestanci wrzucili do morza ładunek, który według nich miał być wyrzutnią rakiet. Coppola chciał zrobić z krewkiego Francuza osobę podobnego pokroju co bywalcy monachijskich piwiarni w latach 20. XX w. Jest to porównanie chybione.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Wkwietniu 1908 r. w „Czerwonym Sztandarze”, piśmie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, opublikowano listę agentów carskiej ochrony. Najbardziej bulwersujące było nazwisko Stanisława Brzozowskiego, znanego pisarza, krytyka literackiego i publicysty. Przez wiele lat toczono spory, czy rzeczywiście był donosicielem, a sprawa do dziś nie została rozstrzygnięta. Na liście znaleźli się także donosiciele, którzy ujawniali ochronie plany akcji bojowych PPS, konspiracyjne lokale i nazwiska „ludzi podziemnych”, skrytych za pseudonimami. Wśród agentów wymieniono zamieszkałą w Krakowie niespełna 30-letnią Janinę Borowską.

Pod Wawelem mieszkał wówczas także Józef Piłsudski. Miał poważne powody do niepokoju. Borowska bowiem kontaktowała się z Michałem Sulkiewiczem, jednym z najbardziej zaufanych jego współpracowników, członkiem ścisłego kierownictwa partii. Sulkiewicz wysyłał młodą kobietę do Królestwa Polskiego z „bibułą” – nielegalnymi wydawnictwami, brał też od Borowskiej jej paszporty, by dzięki nim mogły nielegalnie podróżować osoby związane z partią. Borowska musiała więc już nawet tylko dlatego wiele wiedzieć o działalności PPS, wymierzonej przeciw Rosji.

Lista agentów

Informacje z „Czerwonego Sztandaru” posłużyły w maju 1908 r. do opublikowania w ukazującej się w Krakowie socjalistycznej gazecie „Naprzód” artykułu zatytułowanego „Szpieg”. Autorem tekstu na pierwszej stronie był Emil Haecker, publicysta i działacz Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, działającej w Galicji. Tytułowym szpiegiem był Stanisław Brzozowski. Haecker wspominał jednak także o innych osobach z „czarnej listy”, wśród nich o Borowskiej.

Kobieta wytoczyła dziennikarzowi proces o zniesławienie, który odbył się w lutym 1909 r. Świadkiem obrony przed krakowskim sądem był Michał Bakaj, były sekretarz szefa warszawskiej ochrony, demaskator jej agentów. Zeznał, że poznaje Borowską i że widział ją w gabinecie swojego szefa w maju



Mieszkanie Włodzimierza Lewickiego w nocy z 3 na 4 czerwca 1909 r.

FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE”

1909–1910 / Dwa sensacyjne procesy

Morderstwo krakowskiego mecenasa



Tomasz Stańczyk

Janina Borowska wybroniła się przed zarzutem, że jest agentką ochrony i morderczynią. Czy naprawdę była niewinna?

i czerwcu 1905 r. Ona sama oczywiście zaprzeczała. Mówiła, że z jej paszportem różne osoby jeździły do Królestwa. Wiosną tamtego roku urodziła dziecko i przebywała z nim cały czas w Szpitalu św. Łazarza. Jednak jeden ze świadków zeznawał, że czasami tam jej nie było.

Pełnomocnik oskarżycielki, 37-letni Włodzimierz Lewicki, wzięty adwokat, przyprowadził na salę sądową kobietę uderzającą podobną do Borowskiej. Zrobiło to wielkie wrażenie na publiczności. Lewicki stwierdzał, że Bakaj mógł się pomylić co do tożsamości osoby. Jeśli

jednak nawet Bakaj widział w biurze ochrony kobietę uderzająco podobną do Borowskiej, to dlaczego akurat nazwisko „Borowska”, a nie jakieś inne, pojawiło się na liście opublikowanej przez „Czerwony Sztandar”?

Daszyński oskarża

Sąd nie uwierzył Bakajowi, mimo że wykluczał pomyłkę co do tożsamości Borowskiej. Na pierwsze pytanie główne: Czy oskarżony Emil Haecker winien jest, że posądził p. Borowską o szpiegostwo, przysięgli odpowiedzieli 11 głosami „tak”, jednym głosem „nie”. Na drugie pytanie dodatkowe: Czy Emil Haecker udowodnił prawdziwość swoich twierdzeń – odpowiedzieli przysięgli 11 głosami „nie”, jednym głosem „tak”. Sąd skazał red. Haeckera za oszczerstwo na miesiąc więzienia. Oskarżony po ogłoszeniu wyroku zawołał: „Zarzutów przeciw Borowskiej nie cofam, lecz je podtrzymuję. Borowska jest szpiegiem!”.

Dzień po wyroku Ignacy Daszyński, jeden z czołowych socjalistów, a zarazem wydawca pisma „Naprzód”, powtórzył w gazecie wszystkie oskarżenia pod adresem Borowskiej, pisząc, że jest świadomy, iż może z tego powodu stanąć przed sądem, tak jak Haecker. Nie wytoczyła mu wprawdzie procesu, ale odgrażała się, że go zastrzeli. Doszło to do oszu Daszyńskiego, więc kupił sobie rewolwer. Twierdził nawet, że to Lewicki namawiał Borowską do zabójstwa i obiecywał, że ją wybroni przed sądem.

W 1910 r. wyrok został uchylony, a sprawa miała być ponownie rozpatrywana. Nigdy do tego nie doszło. Historyk Ryszard Świętek, znawca służb specjalnych, twierdził w książce „Lodowa ściana”, że Borowska była agentką ochrony. Powoływał się na kartotekę Organizacji Bojowej PPS. O Borowskiej była tam informacja, że „dostarczała mało informacji, dostawała 50 rubli”, a także na opublikowaną w 1918 r. po upadku caratu książkę Walerego Agafonowa o ochronie.

Borowska, choć wygrała sprawę i doprowadziła do skazania Haeckera, czuła się jak obrzucona błotem. Miała wyrażać niezadowolenie, że mec. Lewicki dopuścił do roztrząsania jej drażliwych spraw osobistych. Mimo pomyślnego wyniku sprawy sądowej uznała, że proces był



Janina Borowska FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE”



Włodzimierz Lewicki FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE”

osobistym triumfem adwokata, a nie jej. Uważała, że Lewicki chce powiedzieć opinii publicznej: „Patrzcie, jaka była, a ja jednak wybroniłem!”. Były jednak relacje, że Borowska była wdzięczna mecenasowi za obronę i nazywała go „mistrzem”.

Śmierć w nocy

Lewickiego i jego klientkę połączył namiętny romans. Borowska mówiła później o wielkim uroku osobistym mecenasu i o tym, że nie ma takiej kobiety, która poznawszy go, nie chciała być mu

najbliższą ukochaną. Była jedną z takich kobiet. Liczyła, że razem przejdą przez życie.

Oboje byli w związkach małżeńskich i zamierzali się rozwieść. Jednak dla mecenasu Borowska była jedną z wielu kobiet w jego życiu. Owszem, snuli plany wspólnego życia, ale ze strony Lewickiego nie było to szczere. Borowska zaczęła podejrzewać, że adwokat przestał ją kochać i ma inną. „A oczywista, nie chciałam być kochanką”. „Ja mu jedyny zarzut stawiałam, że za uczucie dawał mi »kamuszek«, że chciał płacić za miłość” – mówiła później Borowska.

Mecenas zaczął unikać kochanki, gdyż miał jednocześnie inną, bogatą wdowę, hrabinę Irenę Tyszkiewiczową. Był od 1908 r. jej doradcą prawnym, a ona uważała się za jego narzeczoną. Żalił się Tyszkiewiczowej na Borowską, mówił, że zamęcza go swoją miłością, a on pozwala się maltretować, bo widzi w niej nie-szczęśliwą kobietę.

Borowska wiedziała, dzięki informacjom osób z otoczenia Lewickiego, że „chce założyć ognisko domowe, słowem, że zanoszi się na zmiany stałe”. Była upokorzona, urażona w swojej godności. Nie mogła się pogodzić, że adwokat się od niej odsunął. Śledziła go, nachodziła w prywatnym mieszkaniu i w kancelarii.

Lewicka miotała się zresztą między kochankiem a mężem, była w zdecydowanie złym stanie psychicznym. Do męża pisała: „Zrób co ze mną, bo ja już nie potrafię. Jestem tak bardzo zmęczona – myślę, czy nie najlepiej byłoby wynieść się w inne światy i zrobić ciebie wolnym”. Powiedziała mu o swoim romansie. Marian Borowski przebaczył jej, ale nie Lewickiemu. Powiedział żonie, że po procesie przeciw Haeckerowi zastrzeli adwokata w pojedynku albo bez niego. Tego jednak nie zdradziła Lewickiemu.

Do męża nie wróciła. Walczyła o Lewickiego. A jednocześnie żądała, by oddał listy, które do niego pisała. Nie kryła się z groźbami pod adresem adwokata. Prasa pisała, że Borowska „nawet wobec obcej osoby, którą spotyka na schodach mieszkania Lewickiego i o której wie tylko tyle, że ma do Lewickiego interes biurowy, nie powstrzymuje się od gróźb i skarg; mówi, że ją Lewicki kochał, lecz teraz porzuca dla innej, że Lewicki musi z jej ręki zginąć”. Adwokat był świadomy desperacji kochanki i pewno dotarły do niego jej pogroźki, skoro zaczął się z nią

■ spotykać przy świadkach i mając przy sobie nabity rewolwer.

Od 30 maja 1909 r. Lewicki spotykał się z Tyszkiewiczową codziennie. Skarżył się, że Lewicka zatrzuwa mu życie. W czerwcu miał wyjechać z hrabiną na Krym.

Borowska kolejny raz przyszła do Lewickiego. Nie chciał z nią już rozmawiać. Podarła jego fotografię. Dzień później w kancelarii adwokata była „milcząca i skupiona tak, że to zwróciło powszechną uwagę”. Lewicki przywitał ją, ale bardzo zimno. Nie zraziła się tym, siedziała w kancelarii dopóty, dopóki nie wyszedł z ostatnim klientem.

W nocy z 3 na 4 czerwca 1909 r. Borowska była w mieszkaniu Lewickiego przy ul. Sławkowskiej 28. Padł wówczas śmiertelny, jak się miało okazać, strzał. Kobieta twierdziła, że mecenas popełnił samobójstwo na jej oczach. Policja nie uwierzyła w to tłumaczenie. Borowska została aresztowana.

Prokuratura oskarżyła ją o to, że strzeliła do Lewickiego „w sposób zdradziecko-podstępny”. Borowska zeznawała natomiast, że adwokat strzelił do siebie niespodziewanie, potem był przytomny, rozmawiał z nią nawet, prosił o przebaczenie i o spalenie niektórych listów. Dlatego też sądząc, że kula jedynie drasnęła skroń mecenas, nie wzywała od razu pomocy. Potem jednak Lewicki wymiotował i wtedy zadzwoniła do chirurga, prof. Bronisława Kadera. Kazał jej wezwać pogotowie.

Proces rozpoczął się w styczniu 1910 r. Sprawozdawca sądowy tak opisywał Borowską: „Ona sama niepodobna do Borowskiej sprzed roku. Dziś to ruina człowieka, ruina kobiety, chodzący trup [...]. Pożółkła i wychudła, robi wrażenie wprost przykre już samym wyglądem. Pozostał jednak umysł jasny, trzeźwy i z niezwykłą przytomnością na sytuację patrzącą, pozostała energia i siła woli, niezwykła inteligencja i wymowa, to, co i w poprzednim jej procesie zdumiewało”.

Wyjaśnienia Borowskiej na sali sądowej w sprawie motywów samobójstwa



Janina Borowska z adwokatem Szalayem w czasie drugiego procesu FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE”

były mało wiarygodne. Nagłą decyzję o targnięciu się na swoje życie Lewicki miał podjąć, gdy Borowska powiedziała mu, co sądzi o jego podłym postępowaniu wobec niej i że sama zamierza się zabić. Odpowiedzią na to był nagły strzał Lewickiego we własną głowę. Miało to być „ekspicyjne samobójstwo”. Lewicki był jednak typem życiowego cynika i wątpliwe, by nagle tak doznał strasznych wyrzutów sumienia, żeby się zabić. A znajomi mecenas twierdzili stanowczo, że kochał życie (szczególnie zaś kobiety...) i był jak najdalszy od myśli o samobójstwie. W dniu poprzedzającym fatalną noc nic nie wskazywało, że Lewicki może targnąć się na swoje życie. Był w dobrym nastroju, planował zakup auta i wycieczkę do Wiednia.

Eksperyment balistyczny świadczył przeciwko oskarżonej. Wykazał, że Lewicki został postrzelony w pozycji leżącej, podczas gdy Borowska zeznawała, że strzeliła do siebie, siedząc. Prasa relacjonowała: „Dokonane próby strzałów i orzeczenia znawców stwierdzały, że położenie łuski naboju odpowiada strzałowi danemu w skroń człowieka leżącego na wznak i nieco ku ścianie zwróconego, uzasadniają wniosek, że strzał był dany we śnie”.

Lewickiego znaleziono zresztą w koszu nocnej, co mogło prowadzić do wniosku, że został zastrzelony przez kochankę – która weszła skrycie do mieszkania – we śnie (Borowska twierdziła natomiast, że była umówiona z adwokatem). Do tego przypuszczenia skłaniało też znalezienie sztucznej szczyłki w szklance. Trudno przypuszczać, że jeśli Lewicki, elegancki mężczyzna, umówił się z Borowską, rozmawiał z nią bez protezy.

Jednakże medycy sądowi nie wypowiedzieli się jednoznacznie. Uznali, że mogło być to zabójstwo albo samobójstwo. Stwierdzili też, że jakkolwiek kula przebiła dwa płaty czołowe mózgu, mógł być przez jakiś czas przytomny. Tak utrzymywała Borowska i dlatego nie wezwała natychmiast pomocy. Nie miało to zresztą

znaczenia. Rana była śmiertelna.

Przed sądem wystąpił jako świadek Marian Borowski, mąż oskarżonej. W specyficzny sposób bronił żony. O Lewickim mówił: „Był poetyczny, jakim ja nie byłem, był mistykiem, rzecz której ja nienawidziłem, był wyznawcą Buddy i Nirwany, rzecz, którą ja pogardzałem. I wpadła w rozpacz, gdy zobaczyła, że to oszustwo. Nadużył jej zaufania, okłamał ją, ona mu uwierzyła i pokochała go całym sercem, tak jak tylko moja żona potrafi”. Borowski twierdził, że „żona nie miała kochanków, tylko jeden raz miała – nie kochanka, ale miłość z Lewickim i ten to przypłacił życiem”. W oczach męża Borowska była więc ofiarą wielkiej nieszczęśliwej miłości i brutalnego zawodu, który jej sprawił Lewicki.

Ława przysięgłych jednomyślnie odpowiedziała negatywnie na pytanie, czy Borowska strzelała do Lewickiego z zamiarem pozbawienia go życia, w sposób „zdradziecko podstępny” (morderstwo). Natomiast na pytanie, czy strzeliła do mecenas, nie w zamiarze zabicia, „atoli w innym zamiarze nieprzyjaznym”, sześciu przysięgłych odpowiedziało twierdząc, sześciu zaś – przecząc. Czy można jednak strzelać z odległości 6 cm – co ustalili biegli – w głowę człowieka bez zamiaru zabicia go? Wobec werdyktu ławy przysięgłych sąd uniewinnił oskarżoną.

Borowska, mimo korzystnego dla niej rezultatu dwóch procesów, wyjechała z Krakowa. Ciężka na niej bowiem zła sława. Zbyt wiele osób wierzyło, że była jednak agentką ochrony i że mec. Lewicki nie popełnił samobójstwa – jak twierdziła. Nikt oprócz niej nie wiedział, jaka była prawda. Dalsze losy Janiny Borowskiej nie są znane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. GETTY IMAGES

Druga wojna światowa / Mit wielkiej wojny ojczyźnianej

Zawłaszczone zwycięstwo



Mikołaj Iwanow

Pokonanie Niemców miało świadczyć o potęgze bolszewizmu. Ale bez anglosaskiego sprzętu Armia Czerwona przegrałaby

Niektórzy rosyjscy publicyści od razu zasugerowali, że może to przesunięcie oznacza zapowiedź zmiany w oficjalnym traktowaniu Dnia Zwycięstwa, bo druga wojna światowa zakończyła się właśnie z podpisaniem kapitulacji Japonii, a nie III Rzeszy w maju. Władimir Putin jednak osobiście musiał zabrać głos i zapewnić, że pandemia nie ma żadnego wpływu na oficjalne traktowanie wielkiego zwycięstwa.

Gloryfikacja zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej stanowi w dzisiejszej Rosji swoistą namiastkę ideologii państwowej, która logicznie zastępuje skompromitowaną ideologię komunistyczną. W świadomości przeważającej większości społeczeństwa rosyjskiego „wielkie zwycięstwo” stanowi najbardziej znaczące wydarzenie w życiu ostatnich kilku pokoleń Rosjan, największy triumf narodu rosyjskiego. Zwycięstwo to jest bezkonkurencyjne jako najbardziej doniosła pamiątkowa data w życiu Rosjan w XX w., a może i w ostatnich 300 latach.

Dlatego każde wymienienie negatywnych stron zwycięstwa w tej wojnie, każdą czarną plamę na sztandarze tego zwycięstwa odbiera się w Rosji wyjątkowo wrogo. Historia sowieckiego zwycięstwa to temat zarezerwowany jedynie dla tych, którzy bezkrytycznie popierają oficjalną wersję wydarzeń. Natomiast

głos tych, którzy próbują rozpatrywać walkę z faszyzmem nie jako wielką wojnę ojczyźnianą, ale jako śmiertelną walkę między dwoma najpotężniejszymi totalitaryzmami XX stulecia, na razie albo jest mało słyszalny, albo jest mocno zagłuszany przez oficjalną i półoficjalną tubę propagandową.

Pomija się przy tym, że był to przede wszystkim triumf stalinizmu, który tym zwycięstwem pogrążył narody Związku Sowieckiego w wieloletnią kolejną zapaść ekonomiczną i duchową. Dopiero upadek komunizmu po prawie półwieczu od zwycięstwa pozwolił na odrodzenie normalności cywilizacyjnej, proces, który posuwa się naprzód bardzo boleśnie i z ogromnymi przeszkodami. A przywódcy Rosji oskarżają przeciwników politycznych (i w kraju, i za granicą) o próbę zniekształcenia pamięci historycznej o wojnie. Bronią koncepcji zwycięstwa, która bywa daleka od prawdy. Jest ona głęboko zakorzeniona w stalinizmie i polega na negacji lub przemilczaniu ogromnego i często decydującego wkładu sojuszników zachodnich, ruchu oporu w krajach podbitych przez III Rzeszę (jak w Polsce) we wspólne zwycięstwo.

Przez lata sowiecka propaganda świadomie kształtowała obraz spóźnionej i drugorzędnej pomocy zachodnich

9 maja tego roku w Moskwie miała się odbyć wielka uroczystość – świętowanie 75. rocznicy zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Na świętowanie (defilada zwycięstwa, uroczysta gala etc.) zaproszono prawie wszystkich przywódców państw dawnej koalicji antyhitlerowskiej, włącznie z Trumpem, Macronem, Johnsonem i innymi. Pandemia koronawirusa zniweczyła te wszystkie plany. Z nadania prezydenta Putina Duma Państwowa FR przeniosła uroczystość na 3 sierpnia – dzień kapitulacji Japonii. Posunięcie dość kontrowersyjne, wywołujące różne komentarze w Rosji i na świecie.



Władimir Putin z weteranami wojny ojczyźnianej FOT. EAST NEWS

sojuszników, a niektórzy najbardziej twardego zwolennicy Stalina wprost oskarżali i nadal oskarżają Zachód o druzgocące porażki Armii Czerwonej w pierwszych miesiącach wojny, kiedy nie było żadnej pomocy. W filmach, książkach propagandowych uparcie nazywano amerykańskie konserwy mięsne „drugim frontem”, który przywódcy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych uparcie odmawiali utworzyć w latach: 1941, 1942 i 1943. Otwarto go dopiero wtedy, kiedy Armia Czerwona już złamała grzbiet Wehrmachtowi. Tak wyglądało traktowanie pomocy z Zachodu wczoraj, tak, niestety, wygląda to z niewielkimi zmianami do dziś.

Niewygodne prawdy

Powiedzieć dziś w Rosji, że Związek Sowiecki na pewno przegrałby wojnę, gdyby nie pomoc Zachodu, jest równoznaczne ze zdradą świętej pamięci milionów poległych w walce z faszyzmem. Prawie nikt nie pamięta (czy nie chce pamiętać), że podobne na granicy kryminału słowa po raz pierwszy wypowiedział w okresie odwilży Chruszczowskiej w rozmowie z pisarzem Włodzimierzem Karpowem pierwszy marszałek Stalina – Gieorgij Żukow. „Związek Sowiecki – stwierdził – nie był w stanie kontynuować wojny bez pomocy amerykańskiej”.

Sytuacja na frontach na początku wojny była tak katastrofalna, że załamał się nawet sam Stalin. Aby zapobiec całkowitej katastrofie, trzeba było zmieniać prawie wszystkie priorytety zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej polityki ZSRS. Już w pierwszych dniach wojny, na tle druzgocących porażek sowieckich armii, zaczął nabierać kształtów sojusz wojskowo-polityczny z Wielką Brytanią,

jeszcze niedawno zaklętym wrogiem Związku Sowieckiego. Zmienił się wyraźnie klimat wzajemnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Pojawiły się całkiem realne perspektywy objęcia ZSRS ustawą lend-lease, przewidującą ogromną amerykańską pomoc materialną dla wojującego przeciwko III Rzeszy kraju.

Stalin również zrobił rzecz bezprecedensową – zwrócił się do Churchilla z propozycją wysłania na front wschodni 25–30 dywizji angielskich i objęcia całego dużego odcinka frontu sowiecko-niemieckiego na Ukrainie. Do tego można dodać, że uratowanie z więzień i obozów setek tysięcy polskich więźniów i jeńców wojennych było wynikiem fatalnej sytuacji na froncie. Gdyby nie zwycięstwa Wehrmachtu w pierwszych miesiącach wojny i groźba ostatecznej porażki oraz upadku państwa Stalina, nie byłoby żadnego układu Sikorski-Majski, amnestii dla Polaków i stworzenia armii pod dowództwem gen. Andersa w ZSRS. Paradoksalnie w ten dziwny sposób Polacy uzyskali możliwość przeżycia w tych straszliwych warunkach. Taka była prawda w historii polsko-sowieckich stosunków w latach 1941–1942, którą w dzisiejszej Rosji rozpatrują jako próbę zniekształcenia wielkiego zwycięstwa.

Inna niewygodna prawda historii zwycięstwa to ta, że od pierwszego do ostatniego dnia drugiej wojny światowej niemiecki Wehrmacht nigdy na froncie wschodnim nie miał przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował on również Armii Czerwonej pod względem liczby i dość często jakości wszystkich typów uzbrojenia. Wielkie niemieckie zwycięstwa lat 1941–1942 odniesiono głównie dzięki słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnemu dowodzeniu i pierwotnie braku motywacji do walki u milionów żołnierzy sowieckich. Jednak z każdą nową porażką Armii Czerwonej jej przewaga nad Wehrmachtem jedynie wzrastała. Przeważająca

większość obywateli sowieckich (nawet wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) powoli przekonała się, że faszyzm niemiecki stanowi dla nich o wiele gorsze zagrożenie niż stalinizm. Wojna z Niemcami rzeczywiście przekształciła się w wojnę ojczyźnianą.

Prawdą jest, że Armia Czerwonaniosła na sobie główny ciężar wojny z III Rzeszą, ponosząc przy tym olbrzymie straty. Jak twierdzą niektórzy badacze historii drugiej wojny światowej, „zasypianie przeciwnika ciałami własnych zabitych żołnierzy” było sposobem na prowadzenie wojny przez Związek Sowiecki. Według obliczeń znanego historyka rosyjskiego Borysa Sokołowa straty Armii Czerwonej na polach bitewnych drugiej wojny światowej wielokrotnie przewyższały straty armii niemieckiej. W 1941 r. straty Armii Czerwonej wobec strat Wehrmachtu układały się w stosunku: 18 do 1 w roku 1941, w 1942 r. – 13 do 1, w 1943 r. – 10 do 1, w 1944 – 8 do 1, a w 1945 r. – 4, 6 do 1.

Mistrzem w osiągnięciu zwycięstw bez względu na straty własne był marszałek Żukow, którego zwykli żołnierze nazywali „generał śmierć”. Jego przybycie na ten czy inny odcinek frontu dla zwykłych żołnierzy oznaczało, że wkrótce będzie natarcie, okupione szczerze ich krwią.

Historycy rosyjscy oceniają obecnie straty Związku Sowieckiego w wojnie z III Rzeszą na od 20 do 45 mln obywateli. W latach 1988–1993 grupa historyków wojskowości pod kierownictwem generała broni Grigorija Kriwoszeina ustaliła te straty na poziomie 27 mln. Jednak prawdziwych danych prawdopodobnie nie poznamy nigdy. Przyczyna – długoletnie fałszowanie historii w Związku Sowieckim, niszczenie danych archiwalnych, tworzenie fikcyjnych dokumentów itp.

Strumień pomocy

Pomoc amerykańska i brytyjska zaczęła napływać szerokim strumieniem już od początku 1942 r. i odegrała kluczowe znaczenie w zwycięstwach Armii Czerwonej w latach 1943–1945. Bez dostaw żywności Związek Sowiecki po prostu wymarłby z głodu. Po zajęciu przez Niemców terytorium Ukrainy, Białorusi, republik bałtyckich i zachodniej Rosji produkcja żywnościowa w kraju zmniejszyła się o dwie trzecie. W 1942 r. władze zmuszone były drastycznie zmniejszyć i tak

głodowe racje żywnościowe dla milionów pracowników. Głodowali również żołnierze na froncie. Znane są przypadki, kiedy jednostki Armii Czerwonej szły do ataku na pozycje niemieckie tylko dlatego, aby zdobyć na wrogu jedzenie i nie umrzeć z głodu. Ludzie umierali z głodu nie tylko w czasie blokady Leningradu, lecz także na Syberii i w Kaukazie, w Kazachstanie i innych regionach kraju. Amerykańska mąka, zboża, mięso konserwowe, proszek z jajek i inne produkty pozwoliły uniknąć katastrofy. Amerykańskie dostawy żywności wyniosły 4,478 mln ton. Powinno to wystarczyć do wyżywienia 10-milionowej armii w ciągu pięciu lat.

Początkowo ponad 40 proc. pomocy dla Związku Sowieckiego szło szlakiem północnym, wypróbowanym jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej. Do portów w Murmańsku i Archangielsku nad Morzem Barentsa dotarło 78 tak arcyważnych konwojów, liczących ponad 1,4 tys. statków handlowych z pomocą. Ta droga morska była najkrótsza, ale zarazem najbardziej niebezpieczna. Przepłynięciu konwojów towarzyszyły ciężkie walki z marynarką niemiecką. Kriegsmarine udało się zatopić 85 statków handlowych i 16 wojennych (w tym dwa krążowniki, sześć niszczycieli i osiem innych statków bojowych). Zginęło ponad 3 tys. brytyjskich marynarzy. Udział w konwojach brali również Polacy. W Murmańsku na cmentarzu wojskowym są 22 mogiły polskich marynarzy.

Od 1942 r. zaopatrzenie Armii Czerwonej kierowano również przez porty Dalekiego Wschodu i przez Iran.

Po utracie przemysłu europejskiej części kraju Związek Sowiecki prawie całkowicie stracił możliwość zaopa-

trzenia swej armii w niektóre podstawowe produkty przemysłowe i paliwa. Dotyczy to przede wszystkim paliwa samolotowego. Dwie trzecie tego rodzaju paliwa, wykorzystanego w czasie wojny, dostarczyli Amerykanie i Brytyjczycy z Bliskiego Wschodu. Ogółem Armia Czerwona otrzymała 2,586 mln ton paliwa samolotowego. Oprócz tego już w 1942 r. USA spieszenie dostarczyły ZSRS niezbędny sprzęt i wyposażenie do montażu zakładu do produkcji tego rodzaju paliwa na terytorium kraju. Dzięki temu sowiecka produkcja paliwa samolotowego wzrosła prawie 15-krotnie: ze 110 tys. ton w 1941 r. do 1,67 mln w 1944 r.

Związek Sowiecki, który jest najbogatszym w złoża surowców krajem świata, potrzebował prawie wszystkiego do prowadzenia wojny. Na przykład nie udało się ewakuować w głąb kraju zakładów produkujących kable i musieli je dostarczać Amerykanie. Dostawy lend-lease obejmowały również 11 075 wagonów kolejowych (10 razy więcej niż w tym okresie wyprodukowano w kraju), 1981 lokomotyw (2,4 razy więcej od produkcji krajowej), 622 tys. ton szyn kolejowych, niezbędnych dla odnowienia zniszczonej przez cofających się Niemców sieci kolejowej, 295 tys. ton materiałów wybuchowych, 404 tys. ton miedzi, 301 tys. ton aluminium, 470 tys. ton kobaltu i wielu, wielu innych surowców niezbędnych do funkcjonowania gospodarki czasu wojennego.

Czerwonoarmiści, którzy wkroczyli w 1944 r. na terytorium Polski i innych krajów europejskich, byli ubrani w mundury szyte z amerykańskiego materiału, z amerykańskimi guzikami, chodzili w amerykańskich i angielskich butach.

W ramach lend-lease ZSRS otrzymał: 106 tys. ton bawełny, 49 tys. ton skór, prawie 16 mln par obuwia wojskowego, 257 mln guzików wojskowych. Armia Czerwona jeździła prawie wyłącznie amerykańskimi samochodami. Z USA otrzymano 433 967 samochodów i 34 190 motocykli. Podczas wojny własna produkcja, mimo niesamowitego zmobilizowania gospodarki, sięgnęła zaledwie 260 tys. samochodów i 27 tys. motocykli. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zaopatrzyły Armię Czerwoną w 13 689 radiostacji, niezbędnych do prowadzenia operacji wojskowych, mnóstwo specjalistycznego wyposażenia przeprawowego do forswania rzek.

Dostawy uzbrojenia objęły:

- ponad 5 tys. dział,
- 151 633 pistoletów, karabinów i karabinów maszynowych,
- 22 tys. samolotów różnych typów,
- 10 tys. czołgów,
- ponad 500 statków handlowych i wojennych,
- 2,5 mln telefonów,
- 2,8 mln ton stali do produkcji czołgów.

O tym, jakie znaczenie miała ta pomoc dla Związku Sowieckiego, w dzisiejszej Rosji wspominają dość rzadko. Natomiast w godzinie próby sam Stalin w swym dramatycznym apelu do Brytyjczyków w sierpniu 1941 r. stwierdzał: „Związek Sowiecki znajduje się przed zagrożeniem śmiertelnym. Pytanie: W jaki sposób znaleźć wyjście z tej dramatycznej sytuacji? Trzeba już w tym roku stworzyć drugi front gdzieś na Bałkanach lub we Francji, który byłby zdolny odciągnąć z frontu wschodniego 30–40 niemieckich dywizji, jednocześnie trzeba do początku października dostarczyć Związkowi Sowieckiemu 30 tys. ton aluminium i co miesiąc dostarczać pomoc minimum 400 samolotów i 500 czołgów. Bez tej pomocy Związek Sowiecki albo poniesie porażkę, albo zostanie osłabiony do tego stopnia, że nie będzie w stanie przez dłuższy czas aktywnie pomagać swym sojusznikom w walce z hitleryzmem”.

Stalin ponownie podkreślił istotne znaczenie pomocy amerykańsko-angielskiej w 1943 r. podczas konferencji w Teheranie, na uroczystym przyjęciu w ambasadzie sowieckiej: „Stany Zjednoczone to kraj maszyn. Bez tych maszyn, które my otrzymujemy w ramach lend-lease, przegralibyśmy tę wojnę”.



Sowieccy żołnierze w Berlinie, 1945 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sarkofag etruskiego małżeństwa, VI w. p.n.e., w zbiorach Narodowego Muzeum Etruskiego w Rzymie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Starożytność / Skąd przybyli, dlaczego ulegli Rzymowi

Tajemnice Etrusków



Sławomir Koper

/ Przed powstaniem Imperium Rzymskiego w północnej Italii istniała tajemnicza, prastara cywilizacja Etrusków

Etruskami nazywali ich Rzymianie, oni sami określali się mianem Rasenna (Rasna). Grecy znali ich jako Tyrreńczyków, stąd też wzięła się nazwa morza opływającego brzegi Toskanii. Nie ma drugiego europejskiego ludu, który wzbudzałyby podobne spory wśród historyków, gdyż problemem jest ich: pochodzenie, język, historia i obyczaje. Poza tym wszystkie relacje na temat Etrusków pochodzą od obcych kronikarzy, głównie Greków i Rzymian. Nie darzyli oni ich specjalną sympatią, ale nigdy nie odnaleziono tekstu opisującego dzieje czy kulturę Tyrreńczyków z ich własnego punktu widzenia. Inna sprawa, że nawet gdyby taki tekst się pojawił, nie potrafiłoby go odczytać.

Nazwa obecnej Toskanii pochodzi właśnie od Etrusków (Etrusci, Tusci). W szczytowym momencie ekspansji zakładali także miasta w Lombardii, Lacjum, Umbrii i Kampanii. Chociaż byli twórcami pierwszej wielkiej cywilizacji w Italii, to do dziś nie wiadomo, skąd pochodzili. Część badaczy, opierając się na relacjach antycznych kronikarzy z Herodotem na czele, uważa, że byli przybyszami z Azji Mniejszej. Faktycznie, pod koniec XIX w. na wyspie Lemnos u wybrzeży Turcji odkryto stellę grobową z inskrypcją w języku zbliżonym do etruskiego. Pochodziła z VI w. p.n.e., co dało początek teorii, że część ludu, wędrując z Azji Mniejszej do Italii, osiadła na Lemnos.

Równie popularna stała się jednak hipoteza, którą jako pierwszy sformułował w I w. p.n.e. grecki historyk Dionizjusz z Halikarnasu. Uznał, że skoro język etruski nie jest podobny do żadnego innego języka (nie znał oczywiście stelli z Lemnos), to lud ten musiał być pochodzenia miejscowego. Wprawdzie Dionizjusz był w czasach antycznych odosobniony w swoich poglądach, ale z czasem coraz większa liczba badaczy przychyliła się do jego teorii.

Do dziś sprawa nie została ostatecznie rozstrzygnięta, choć interesujące światło na pochodzenie Tyrreńczyków

rzuciły badania genetyczne przeprowadzone w 2013 r. Wynik był jednoznaczny, moment rozejścia się genomu mieszkańców Anatolii i Etrusków nastąpił ok. 5 tys. lat temu. To wyklucza teorię o migracji ludu z Azji Mniejszej, zatem faktycznie byli autochtonami, ewentualnie przybyli do Italii z innego miejsca.

Język etruski nie jest pochodzenia indoeuropejskiego i do dziś pozostaje tajemnicą. Do naszych czasów zachowały się głównie napisy grobowe, a chociaż udało się ustalić znaczenie ok. 200 słów, dotyczą one głównie spraw związanych z pogrzebami lub pokrewieństwem. Nawet liczebniki nie do końca są pewne, chociaż wiadomo, że Etruskowie używali systemu dwunastkowego. Badacze wciąż czekają na dłuższy tekst dwujęzyczny, wiadomo, że takie inskrypcje istniały, język etruski zanikł bowiem dopiero w I w. p.n.e., a Rzymianie, publikując zarządzenia po łacinie, często załączali ich tłumaczenie.

Uczyli Rzymian

Dziejopisarze znad Tybru zrobili wiele, by zafałszować wczesną historię Rzymu, nie chcieli bowiem przyznać, że powstał jako etruskie miasto. Dlatego w oficjalnej historii pierwszych dwóch stuleci Rzymu

PAŃSTWO ETRUSKÓW

brakowało elementarnej logiki. Dopiero dołączenie do całej układanki Etrusków spowodowało, że możliwe stało się wyjaśnienie wielu zagadek. Legendarny założyciel miasta, Romulus, w najlepszym razie był naczelnikiem wioski powstałej na Wzgórzu Palatyńskim. Musiał mieć duże problemy z jej zasiedleniem, skoro ogłosił, że będzie ona stanowić azyl dla wszystkich wyjętych spod prawa. Różnego rodzaju mętów społecznych nigdy ani nigdzie nie brakowało i osada Romulusa szybko się zaludniła. Dotkliwym problemem stał się jednak brak przedstawicieli płci pięknej, żadna bowiem rozsądna niewiasta nie zamierzała się wiązać z bandziorami z Palatynu.

Jak wiadomo, Romulus wpadł na pomysł porwania Sabinek, co udało się mu zrealizować. Dla wyjaśnienia: Sabinowie mieli zamieszkiwać na Kwirynale, odległość między oboma wzgórzami można dziś pokonać pieszo (!) w kilkanaście minut. Zatem słynna bitwa o Sabinki musiała przypominać wioskową burdę wywołaną przez nachalnych zalotników. Gdy Romulus i jego kamracy okładali się cepami z Sabinami, Etruskowie już budowali swoje miasta.

Nigdy jednak nie stworzyli jednolitego organizmu politycznego, każde miasto wraz z najbliższą okolicą stanowiło oddzielne państwo. Czasami zachodziła jednak potrzeba ujednolicenia działań, dlatego w połowie VI w. p.n.e. powołano ligę 12 najważniejszych miast etruskich (nazywano ją oficjalnie Związkiem 12 Ludów). Co pewien czas przedstawiciele miast zbierali się w sanktuarium związkowym w Volsini, a podczas tych spotkań omawiano najważniejsze sprawy i wybierano naczelnika zwanego zilath mechl. Było to szczególnie ważne w czasach kolonizacji Italii i konfliktów z osadnikami greckimi.

Etruskowie przestali się bowiem ograniczać wyłącznie do Toskanii i skierowali ekspansję na północ. To właśnie oni założyli: Mantuę, Parmę, Bolonię czy Rawennę, powołali tam kolejny związek 12 miast, a potem jeszcze jeden, tym razem w Kampanii. Pod ich władzą znalazł się także Rzym, w którym rozpoczęła panowanie etruska dynastia Tarkwiniuszów.

Nikt jednak na Rzymian nie zwracał wówczas większej uwagi, była to osada pasterska bez większego znaczenia politycznego. Znacznie ważniejsza była rywalizacja z Grekami i z tego powodu

RYS. JACEK GRAMBIŃSKI



Etruskowie sprzymierzyli się z Kartagińczykami. Flota sojuszników odniosła wielkie zwycięstwo morskie w bitwie pod Alalią w 535 r. p.n.e., dzięki czemu opanowano Korsykę i Sycylię. Pół wieku później, pod Kyme, okręty etruskie poniosły jednak klęskę z rąk Greków, co zahamowało ekspansję Tyrreńczyków.

Tymczasem Rzym powoli zamieniał się w osadę typu miejskiego i zawdzięczał to głównie drugiemu władcy z dynastii Tarkwiniuszów, Serwiuszowi Tuliuszowi. Jego poprzednik zginął jeszcze w sposób właściwy dla wiejskiej awantury – trafiony siekierą w głowę – natomiast jego zięć i następca był już człowiekiem innej epoki. Dzięki osiągnięciom etruskiej inżynierii osuszono obszar późniejszego Forum, pojawiły się też pierwsze kamienne budowle. Pod wpływem Etrusków zachodziły zmiany w wierzeniach Rzymian, obyczaj przedstawiania bóstw za pomocą posągów o ludzkich kształtach pochodzi właśnie z tamtej epoki. Mieszkańcy Wiecznego Miasta przyjęli też od sąsiadów wiele legend, nawet mit o Eneaszu pojawił się razem z Tarkwiniuszami, a słynna wilczyca kapitolńska jest rzeźbą etruską!

Serwiusz Tuliusz zginął w sposób bardziej królewski od swojego poprzed-

nika. Został zamordowany w wyniku spisku zorganizowanego przez własnego zięcia, który objął po nim tron. Morderca do historii miał przejść jako Tarkwiniusz Pyszny.

Chociaż tradycja rzymska przedstawiała go jako wcielenie zła, to władca ten wprowadził do Rzymu wiele nowinek. Prawdopodobnie to za jego czasów pojawiły się igrzyska dla ludu, składające się z wyścigów konnych i walk pięściarzy. Zawodników sprowadzano z Etrurii, imprezę powtarzano każdego roku i z czasem uzyskała ona nazwę igrzysk „wielkich”, ewentualnie „rzymskich”. Przetrwac miały one nawet upadek cesarstwa na zachodzie Europy. Ukoronowaniem przemian było rozpoczęcie budowy wielkiej świątyni na Kapitolu poświęconej Jowiszowi. Przy okazji czczono tam również Junonę i Minerwę, cała trójca została przejęta z panteonu etruskiego, gdzie bóstwa nosiły imiona: Tini, Uni i Menrwa.

Wprawdzie Tarkwiniusz został obalony i wygnany, ale niebawem znalazł się pod rządami króla Ciusi, Porsenny. Wprawdzie późniejsi kronikarze opowiadali najdziwniejsze historie, by wykazać, że miasto nie zostało zdobyte przez Etrusków, nie była to jednak prawda. Może

■ faktycznie jakiś Mucjusz Scewola włożył rękę w ogień, ale na Porsennie nie zrobiło to większego wrażenia. I co najważniejsze, dwaj konsulowie, którzy od tej pory mieli stać na czele republiki, byli po prostu urzędnikami wyznaczanymi przez etruskiego władcę.

To wówczas ukształtowały się obyczaje, które dzisiaj uważa się za typowo rzymskie. Słynne krzesło kurulne, na którym zasiadali urzędnicy, zostało przejęte od Etrusków. Do tego dochodziły: prawo do odbywania triumfu przez zwycięskiego wodza, liktorzy noszący przed urzędnikami fasces, czyli pęki różeg zatknięte w topory. Z północy zaczerpnięto też specjalny model obuwia dla dostojników, a słynna rzymska toga pochodziła od etruskiego płaszcza zwanego tebenna. Przejęto też modę na walki gladiatorów oraz alfabet, który zaadaptowano na potrzeby łaciny. Inna sprawa, że Etruskowie zaczerpnęli go od Greków, ale pisali od prawej do lewej strony.

Ku upadkowi

Największym problemem Etrusków okazało się ich rozbicie polityczne. Wprawdzie czasami zdołano uzgodnić wspólną politykę, ale z reguły każde miasto dbało wyłącznie o własne interesy. Wykorzystali to Rzymianie. Z czasem wyzwolili się spod dominacji sąsiadów i kolejno podbijali ich miasta. Zajęło im to aż dwa wieki, a zbrojna rywalizacja z miastem Weje trwała blisko sto lat. Wreszcie zamożny gród został całkowicie unicestwiony, większość mieszkańców wymordowano, a tych, którzy przeżyli, sprzedano w niewolę. Miasto spalono, a łupy wywieziono do Rzymu. Tam zdobywca Wejów, Marek Furiusz Kamillus, odbył uroczysty triumf, oczywiście na sposób etruski.

Sto lat później, w 283 r. p.n.e., Rzym zwyciężył wojska koalicji etrusko-galijskiej nad Jeziorem Wadymońskim. Oznaczało to utratę niepodległości przez Tyrreńczyków, a niespełna 20 lat później zburzono zbuntowane miasto Volsini. Utrata niepodległości nie przyniosła wielu szkód potomkom Porsenny. Instytucje samorządowe utrzymały się w miastach, a Rzymianie zdawali sobie sprawę z wyższości kulturowej pokonanych. Zapanowała nawet moda, by wysyłać młodych



Fresk z grobowca na nekropolii w Monterozzi. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Rzymian na studia do Caere (Cerveteri), by nabrali nieco ogłady. W przyszłości w znacznie większym stopniu miało się to powtórzyć w przypadku Grecji, o której mówiono, że wprawdzie została podbita, ale wzięła w niewolę swojego zwycięzcę.

Najbardziej znanym Etruskim początków cesarstwa był Gajusz Cilnusz Mecenas, człowiek, którego nazwisko stało się symbolem opieki nad artystami. Po matce wywodził się od samego Porsenny, był przyjacielem i doradcą Oktawiana Augusta. Wprawdzie na skutek rywalizacji z Markiem Agrypą musiał się wycofać z polityki, ale zachował przyjazne stosunki z cesarzem. Najwięcej sławy przyniosła mu działalność w charakterze patrona sztuki, to właśnie on był opiekunem Horacego, Wergiliusza i poety Propercjusza. Prowadził zbytkowne, luksusowe życie (jako pierwszy w Rzymie miał basen pływacki z podgrzewaną wodą), ale dbał, by jego podopieczni nie cierpieli na troski finansowe. Zapewne wiele utworów Horacego czy Wergiliusza nie powstałoby, gdyby nie opieka mecenasa.

Chociaż Etruskowie niemal zupełnie rozpuścili się w żywiole łacińskim, to wysoko ceniono usługi ich wróżbitów. Gdy w 324 r. Konstantyn Wielki zakładał Konstantynopol, sprowadził kapłanów z Etrurii, by wszystko odbyło się zgodnie dawnymi obyczajami. Cesarz był pragmatykiem, chrześcijaństwo chrześcijaństwem, polityka polityką, a tradycja była rzeczą świętą. Tyrreńskich wróżbitów zabrał ze sobą na wyprawę do Persji cesarz Julian Apostata, chociaż przepowiedzieli mu, że zginie pod koniec wojny. Co zresztą okazało się prawdą.

Kobieta etruska

Zastanawiać może szczególna niechęć do Tyrreńczyków wśród autorów greckich i rzymskich. Mimo utracenia przez Etrusków znaczenia politycznego ich miasta były jednak wciąż zamożne, tamtejsza elita żyła na wysokiej stopie, oddając się wyrafinowanemu luksusowi.

Najbardziej widocznym tego przejawem było upodobanie do uciech stołu.

Dwaj rzymscy poeci: Katullus i Wergiliusz, zarzucali Etruskom obżarstwo. Pierwszy z nich, wymieniając rozmaite narody Italii, wspominał o „opasłych Etruskach”, natomiast

Wergiliusz, opisując składanie ofiar, wymienił „tłustego Tyrreńczyka”, grającego „na flecie z kości słoniowej”. W zarzutach chorobliwej nadwagi Etrusków było dużo racji, w rzeźbach nagrobnych z tej epoki najbardziej rzucają się w oczy monstrualne brzuchy nieboszczyków.

Jeszcze większy problem dla Greków i Rzymian stanowił etruski model rodziny. W ich społeczeństwie silną pozycję miała bowiem kobieta, co stanowiło ewenement na skalę świata śródziemnomorskiego. Życie kobiet greckich było dość monotonne, przebywały niemal non stop w wyznaczonej części domu w towarzystwie służby. W niektórych państwach greckich mężatka była wręcz zamykana na noc, a okna miały kraty! Jedyną rozrywką pozostawały odwiedziny przyjaciółek czy udział w świętach religijnych, ale zawsze z przyzwoitką.

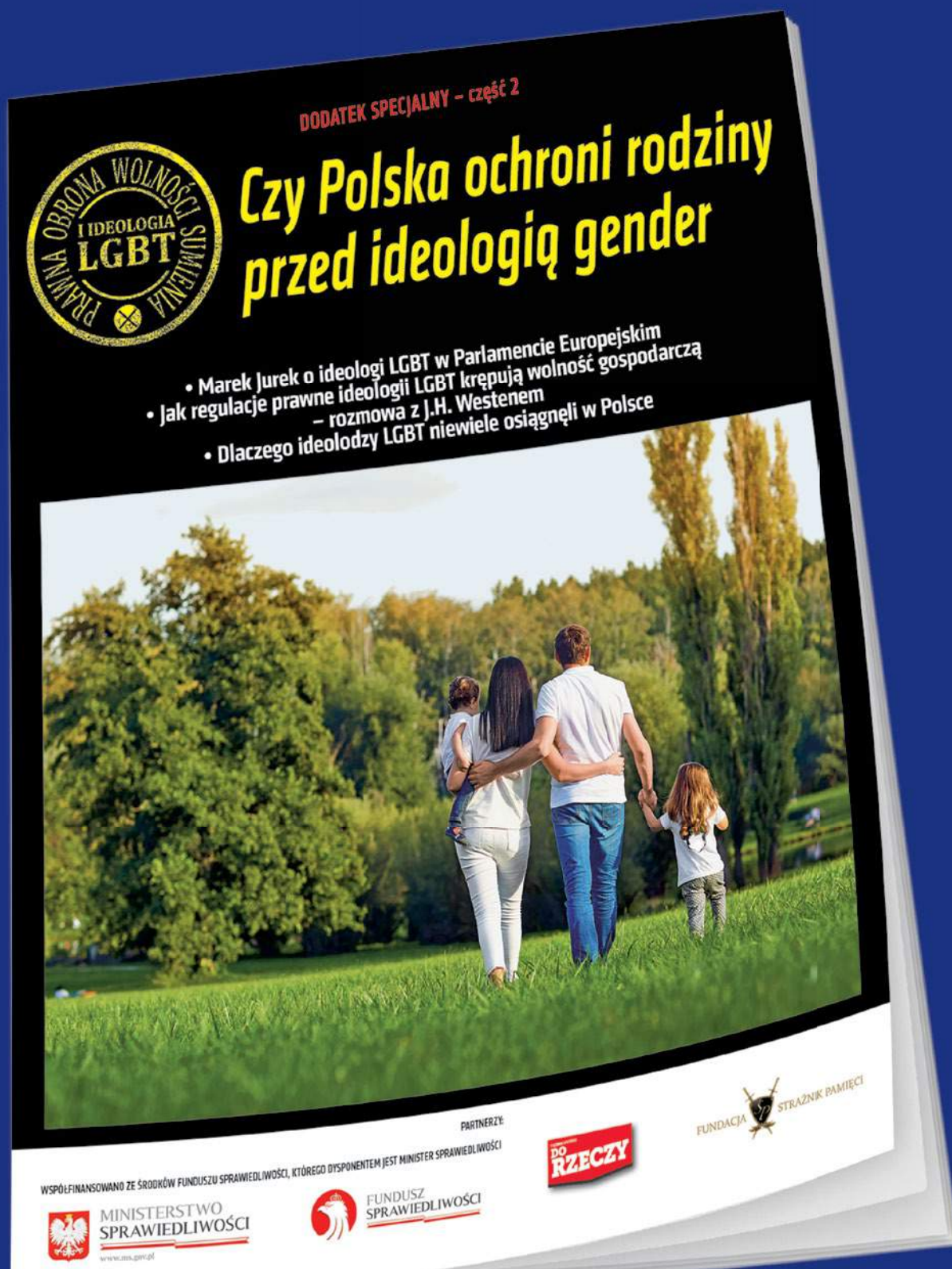
Rzymskie kobiety miały nieco więcej swobody, ale w pierwszych wiekach republiki też spędzały czas głównie w domu. Idealna Rzymianka powinna być: cicha, pracowita, religijna i wstydliva. I najlepiej, by wolny czas spędzała na tkaniu wełny wraz ze swoimi służebnicami.

Na tym tle obyczaje etruskie wyglądały tak, jakby zostały przeniesione z innej planety. Kobiety brały bowiem udział w życiu towarzyskim i społecznym. Oglądały (bez żadnych przyzwoitek) zawody atletów, walki bokserów, bywały w teatrze. To już zupełnie nie mieściło się Grekom w głowie, skoro w Olimpii tylko kapłanka bogini Demeter miała prawo wstępu na igrzyska. A do tego, ku zgrozie moralistów z Hellady czy Rzymu, kobiety etruskie na równi z mężczyznami uczestniczyły w uctach, leżąc na łóżach przykryte z partnerem wspólnym płaszczem. Dla Greków uganiających się za młodymi chłopcami swoboda towarzyska Etrusków była rzeczą skrajnie gorszącą.

W rzeczywistości kobiety etruskie w swoim kraju cieszyły się wielkim autorytetem, a ich obecność w życiu publicznym była dla Tyrreńczyków wręcz koniecznością.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 8 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

/ Wódz III Rzeszy stworzył pokrewny, quasi-rodzinny związek z żonami i dziećmi swoich najbliższych współpracowników. Centralne miejsce zajmowała w tym układzie Magda Goebbels, której relacja z Hitlerem budziła najróżniejsze podejrzenia...

PIOTR WŁOCZYK: Czy Hitler był zakochany w żonie swojego ministra propagandy?

JAMES WYLLIE: Wszystko wskazuje na to, że tak. To uczucie trwało aż do połowy lat 30., kiedy Ewa Braun zaczęła grać u boku Hitlera coraz poważniejszą rolę. Zresztą nie jest tajemnicą, że Braun widziała w Magdzie Goebbels zagrożenie. Między oboma kobietami istniała głęboka niechęć, rywalizacja, jak w jakiejś telenoweli. Ewa Braun starała się odsunąć Magdę od Hitlera, ale było to bardzo trudne, bo łączyła ich głęboka więź. Tylko z nią, spośród wszystkich żon wysoko postawionych nazistów, Hitler spotykał się w pojedynkę. Magda jeździła sama do Berghofu i spędzała tam kilka nocy...

Jak przyjmował to Goebbels?

Zżerała go zazdrość, szczególnie na początku ich związku, kiedy bał się, że go zostawi. On w ogóle był zazdrośnikiem, chociaż sam był niesamowitym kobieciarzem. Ta konkretna zazdrość miała jednak swoje granice. Goebbels miał obsesję na punkcie Hitlera i na pewno nigdy by nie porzucił swojego wodza z powodu kobiety. To wszystko było bardzo pokrewnie. Wygląda na to, że Magda i Joseph bardziej kochali Hitlera niż siebie nawzajem.

To był swego rodzaju trójkąt. Relacja Magdy i Josepha była mocno wyboista od samego początku. Rzadko byli ze sobą szczęśliwi. W normalnych warunkach, gdyby byli „zwykłym” małżeństwem, na pewno by się rozwiedli. Wtedy jednak



Magda i Joseph Goebbelsowie z dziećmi
FOT. BUNDESARCHIV BILD

Wywiad / Z Jamesem Wylliem, autorem książki „Żony nazistów”



rozmawia Piotr Włoczyk

Diabelska rodzinka Hitlera

straciliby kontakt z Hitlerem, a na to nie mogli sobie pozwolić, bo go kochali. Więc z Führerem była dla nich najważniejsza. I w ten sposób ona znosiła jego flirty z innymi kobietami, a on musiał żyć z jej wyniosłością i więcej od niej chłodem.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia?

To na pewno była żądza od pierwszego wejrzenia, przynajmniej jeżeli chodzi o Goebbelsa. Minister propagandy był wiecznie nienasycony. Magda była świeżo po rozwodzie i miała młodego kochan-

ka, kiedy w jej życiu pojawił się Joseph Goebbels. Miała duże wątpliwości co do wchodzenia z nim w związek. Momentem przełomowym było poznanie Hitlera i natychmiastowa fascynacja w obie strony. Ludzie bliscy Hitlerowi twierdzili, że został wówczas zawarty swoisty układ: jeżeli Magda chciała być blisko swojego ukochanego wodza, to musiała poślubić Goebbelsa. Chodziło o stworzenie przykrywki dla ich spotkań. Hitler zażyczył sobie tego małżeństwa.

To jednak chyba nie był pierwszy raz, kiedy Hitler był swatem?

Nie, Hitler bardzo lubił aranżować małżeństwa. Zrobił tak np. z Hessami. Zmusił Rudolfa, żeby poślubił Ilse. Usta- wił też ślub Henrietty Hoffman, córki swojego osobistego fotografa. Poznał ją, kiedy miała dziewięć lat. Dziesięć lat później zeswatał ją z Baldurem von Schirachem, szefem Hitlerjugend.

Hitler dał się poznać jako obrońca nieroz- rwalności węzła małżeńskiego. Lida Baarová padła tego „ofiara”...

Baarová była młodą czeską aktorką, której kariera nabierała rozpędu w Niem- czech w połowie lat 30. Świetnie wy- chodziły jej role femme fatale. Goebbels uwielbiał uwodzić aktorki, ale w niej zakochał się naprawdę na zabój. To była wspiania wiadomość dla Baarovej, bo oznaczało to, że jej kariera za moment przyspieszy. Wiadomo jednak było, że aktorki, które mu odmawiały, nagle kończyły kariery.

Baarová naciskała na niego, żeby odszedł od żony. Kiedy Magda dowie- działa się o romansie, poszła do Hitlera i oznajmiła mu, że chce rozwodu. Hitler kategori- cznym tonem odpowiedział, że to wykluczone. Wszedł w rolę mediatora i zawarł z nimi kontrakt, którego głów- nym punktem był roczny okres próbny dla Goebbelsa. Miał udowodnić żonie, że na dobre porzucił kochankę. I ostatecznie tak się stało. Baarová została odsunięta i musiała wrócić do Czechosłowacji.

Nawiasem mówiąc, również Himmler ingerował w życie swoich najbliższych podwładnych, zakazując im rozwodów. Wygląda na to, że był w tym jeszcze bardziej radykalny, bo niektórzy wysoko postawieni esesmani szli do Hitlera, żeby dostać pozwolenie na rozwód. Himmler bardzo poważnie podchodził do nieroz- zerwalności węzła małżeńskiego, nawet

gdy sam nawiązał romans (śmiech).

Żona Goebbelsa też nie była święta...

Goebbelsowie kłó- cili się ze sobą, godzili, walczyli ze sobą, a w prze- rwach Magda zachodziła w ciążę i rodziła dzieci. Magda sama miała ro- manse, paliła, piła, stroiła się w kreacje zagranicz- nych marek, co było prze- cięż generalnie potępiane przez nazistowską propa- gandę. Miała nawet swoich ulubionych żydowskich projektantów, których chroniła. Generalnie nie za bardzo przypominała „idealną” niemiecką Haus Frau. To jednak nie był wyjątek wśród nazistów na szczytach władzy. Żony innych współpracowników Hitlera również cieszyły się niemal celebryckim życiem, tu trzeba oczywiście wspo- mnąć o Emmy Göring. Tylko Gerda Bormann żyła jak „idealna” nazistowska Haus Frau, rodząc 10 dzieci i zajmując się domem.

Magda Goebbels była bardzo specyficznie umocowa- na w nazistowskiej machinie państwowej. Ile tak naprawdę od niej zależało?

Nie myślm o niej jak o jakiejś lady Makbet, która zza tronu wywiera wielki wpływ na pań- stwo. Jej wpływ był bardzo ograniczony. Pamiętajmy, że Hitler nie słuchał kobiet, jeżeli chodzi o politykę. To ona była wykorzystywana jako narzędzie. III Rze- sza nie miała przecież pierwszej damy. Eva Braun była sekretem i tak musiało pozostać do końca. Magda pełniła więc tę ważną funkcję. Wydawała przyjęcia dla przedstawicieli innych państw, udzielała wywiadów zagranicznym magazynom, brała udział w akcjach charytatywnych. Była bardzo użyteczna dla nazistów.

Przyjrzyjmy się trochę appeasemen- towi. Dlaczego tyle państw nie brało na poważnie zagrożenia dla pokoju ze



Obraz kobiety
na propagandowych plakatach
III Rzeszy FOT. ARCHIWUM

strony Hitlera? Częścią odpowiedzi na to pytanie jest nazistowska „czarują- ca dyplomacja” w wykona- niu m.in. Magdy Goebbels. Dzięki temu reżim wyglą- dał bardziej cywilizowa- nie, elegancko. Wystarczy poczytać pamiętniki brytyjskich i francuskich dyplomatów w Berlinie. Wspominali, jak cudownie byli przyjmowani przez „uroczą” Magdę Goebbels. Ta kobieta zrobiła z nich wszystkich durniów.

Hildegard, Helga, Helmut, Hedwig, Heidrun, Holdine. Ciekawie się wymawia imiona jej dzieci ze związku z Josephem Goebbelsem...

A gdy się o nich pisze, niemiłosiernie pomylić jedno z drugim (śmiech). Oczywiście dzieci dostały takie imiona na cześć największej miłości pań- stwa Goebbelsów. Jednak nie tylko oni nadawali swoim pociechom imiona w sposób nawiązujący do Hitlera. Przykładowo Rudolf i Ilse Hessowie nazwali swojego jedyne- go syna Wolfem. To pseudo- nim Hitlera z lat 20.

Dzieci innych najbliższych współpracowników Hitlera przeżyły wojnę. Dlaczego dzieci Goebbelsów musiały zginąć?

Historycy do dziś zastanawiają się nad tym,

dla- czego Goebbelsowie otruli swoje dzieci tuż przed wejściem Sowietów do bunkra Hitlera. Bez wątpienia Magda miała problemy psychiczne, a końcówka wojny tylko je pogłębiła.

Wydaje się, że chcieli skończyć tak jak Hitler. Wiosną 1945 r. zrozumieli, że to będzie oznaczało dla nich śmierć. Pozostawało pytanie, co się stanie z ich dziećmi. Strach przed tym, co Sowietci mogą im zrobić, nie był do końca taki nieracjonalny... Każdy wiedział, jak się zachowywała Armia Czerwona. Goeb- belsowie bali się, że Sowietci wyślą ich dzieci gdzieś do łagrów albo – co gorsza

– wykorzystają ją politycznie. Ostatecznie jednak to pytanie wymyka się racjonalnej ocenie, bo nie da się wyjaśnić mordowania dzieci.

Odnoszę wrażenie, że Hitler był rodzinnym facetem. Bardzo różnił się od Stalina, który przedstawiał ze swoimi najbliższymi towarzyszami.

Hitler od początku mówił, że nie może sobie pozwolić na małżeństwo i założenie rodziny. Wskazywał na inne przykłady z historii, które miały potwierdzać tezę, że tylko samotny wódz może doprowadzić swój naród do wielkości. Miał słabe relacje z własną rodziną, więc wszedł w przedziwny związek z rodzinami swoich najbliższych współpracowników. Stworzył coś na kształt „sieci rodzinnej” z nim w centrum tego układu.

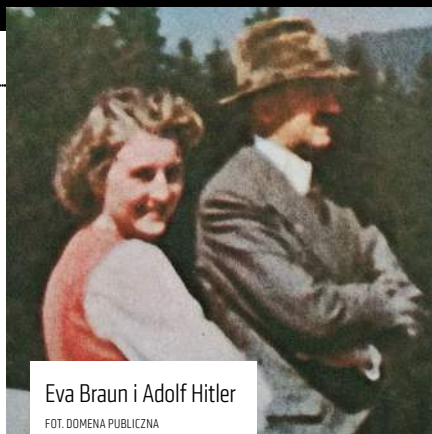
W powszechnej świadomości mamy ugruntowaną wizję Hitlera spędzającego długie godziny w samotności, rozmyślającego nad kolejnymi ruchami, ale w rzeczywistości wódz III Rzeszy bardzo rzadko był sam. Nienawidził ciszy wokół siebie. Nawet w swoich bunkrach, gdy nie było wokół niego rodzin jego współpracowników, szukał kontaktu, czego dowodem długie rozmowy z sekretarkami.

Jak wyglądała ta „sieć rodzinna” Hitlera?

Magda Goebbels była najbliższą. Z kolei Gerde Bormann znał, od kiedy ta skończyła 12. rok życia. Bardzo lubił z nią spędzać czas, ponieważ była idealną nazistowską żoną – potulną, zajmującą się domem i wychowywaniem dzieci. To były bardzo różne relacje. Od „wujka Adolfa”, jak to było w przypadku Gerdy, aż do niezwykle bliskości, jak to było w przypadku Magdy. Hitler nie lubił drugiej żony Göringa – Emmy. Głównie dlatego, że nie była fanatyczną nazistką i nie padała do stóp Hitlera. Właściwie nie znał żon Himmlera i Heydricha.

Ilse Hess?

W latach 20. była bez wątpienia najbliższą niego spośród wszystkich kobiet jego współpracowników. Jej mąż był prawą



Eva Braun i Adolf Hitler

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ręką Hitlera, a Ilse była w pełni oddana ich sprawie. Hitler ufał jej ponad życie. W latach 30. pojawiła się Magda Goebbels, a Ilse była mniej atrakcyjna. Inna sprawa, że Ilse lubiła rozmawiać o polityce i miała swoje zdanie. Ta postawa zaczynała irytować Hitlera, w związku z czym powoli ją od siebie odsuwał. W połowie lat 30. zaledwie ją tolerował. Jak na złość Eva Braun ją jednak polubiła. I to sprawiło, że Ilse wciąż pojawiała się w otoczeniu Hitlera.

Co zmienił lot Hessa do Wielkiej Brytanii?

Ilse została usunięta z towarzystwa, ale poza tym nic złego jej się nie przydarzyło. Podobno Eva Braun osobiście interweniowała, by Ilse nie trafiła do więzienia.

Hitler musiał być otoczony przez wianuszek kobiet. O co w tym wszystkim chodziło?

Otaczał się tyloma kobietami, bo miał problem z mężczyznami. Hitler miał kompleks niższości z powodu środowiska, z którego się wywodził. Wstydził się tego, że w młodości przydarzył mu się nawet epizod bezdomności, kiedy musiał się zatrzymać w przytułku. Bez gruntownego wykształcenia, rzucił szkołę w wieku 16 lat, zwykły kapral... Wszystkim mężczyznom, których spotykał na kolejnych szczeblach swojej kariery, musiał coś udowodnić, zdominować ich. Dlatego jeżeli chodzi o mężczyzn, z którymi najlepiej się dogadywał, to byli to ludzie tacy jak jego szofer czy fotograf. Najciekawsze obserwacje na jego temat zostawili właśnie oni – ludzie, przy których Hitler był po prostu sobą.

Relacja z Geli Raubal, córką przyrodniejszą siostry Hitlera... Pan podkreśla, że wbrew obiegowym opiniom nie był w niej cały czas zakochany na zabój, skoro pod koniec jej życia – zakończonego samobójstwem – spotykał się już z Evą Braun...

U Hitlera widać pewien wzorzec. Uwielbiał kontrolować ludzi, szczególnie te kobiety, z którymi był bardzo blisko. Przez pierwsze lata tej relacji jego

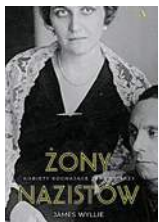
siostrzenica była w niego zapatrzona. Uważała, że wujek zapewni jej świetlaną przyszłość. Miał nad nią pełną kontrolę. Kiedy jednak po pewnym czasie pojawiała się u niej chęć większej niezależności, Hitler zaczął się od niej powoli odsuwać. W momencie, gdy popełniła samobójstwo, Hitler patrzył już na nią nie jak na kobietę, którą kochał, ale jak na problem.

Nie ma żadnych wątpliwości, że uprawiali ze sobą seks. Życie seksualne Hitlera pełne jest legend. Że Hitler w ogóle nie był do „tego” zdolny, a inni, że być wyjątkowym zбочцеńcem, którego podniecić mogły tylko chore sytuacje. Tymczasem ze wspomnień ludzi z obsługi rezydencji Hitlera wyłania się banalny obraz – ich Führer prowadził bardzo zwyczajne, wręcz nudne życie seksualne. Najpewniej nie zdejmował nawet na te pięć minut skarpetek (śmiech).

Towarzysze Hitlera nie skończyli najlepiej. Jak na tym wszystkim wyszły ich żony?

Gerda Bormann zmarła w 1946 r. na raka. Większość z nich trafiła po wojnie na krótko do więzienia. W procesie denazyfikacji były jednak traktowane dosyć pobłażliwie. Zazwyczaj odbierano im tylko część majątku. Po wszystkich osiedliły się w Monachium albo w pobliżu tego miasta. Ilse Hess do końca życia walczyła o wyciągnięcie męża z więzienia. Lina Heydrich była aktywna w nazistowskich kręgach, udzielała się w mediach i opowiadała, jak dobrym mężem był Heydrich. Córka Himmlera – Gudrun – stała się ikoną ruchu neonazistowskiego i była w nim bardzo aktywna. Emmy Göring siedziała cicho w Monachium. Napisała biografię, której głównym wątkiem jest to, jak świat nie zrozumiał jej męża. Jej córka przez lata walczyła o odzyskanie dzieł sztuki z kolekcji ojca. Te kobiety łączyło jedno: do końca życia mało było w nich jakiegokolwiek refleksji i chęci przeproszenia za całe zło, w którym brały udział.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JAMES WYLLIE
„ŻONY NAZISTÓW”

AGORA



James Wyllie

jest brytyjskim pisarzem, scenarzystą (współpracuje m.in. z BBC), autorem książki na temat historii III Rzeszy. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Żony nazistów”.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

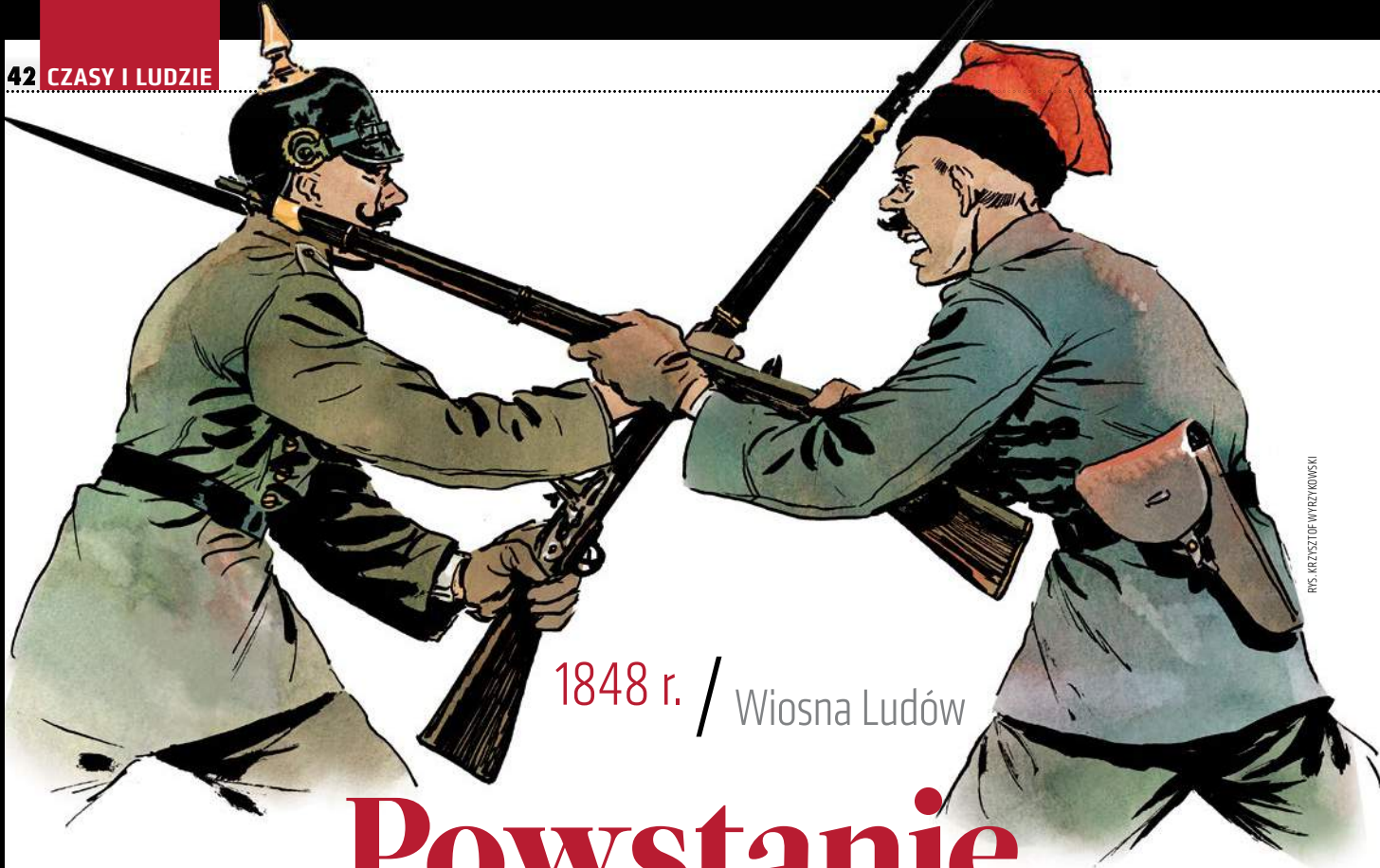
WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1848 r. / Wiosna Ludów

Powstanie przeciw Prusakom



Marek Gałęzowski

/ W 1948 r. Wielkie Księstwo Poznańskie zerwało się do boju przeciw zaborcy. To zapomniane, pierwsze powstanie wielkopolskie

Ten zacięty bój był jednym z kilku, które Polacy stoczyli z wojskami pruskimi w czasie powstania wielkopolskiego, jednego z mniej znanych polskich zrywów niepodległościowych XIX stulecia. Mniej znanych i z tego powodu, że przyćmionego przez czas i zwycięstwo mieszkańców tej części Polski nad Niemcami zimą 1919 r.

Kilka godzin przed nocą listopadową 1830 r. szykującym się do walki spiskowcom nadal brakowało amunicji. „W dzień jeszcze Dąbrowski Florian z 7-go [pułku] liniowego i Józef Przyborowski z 1-go

strzelców pieszych, wzięwszy dwa furgony i dwóch żołnierzy, przybyli do obozu, uwięzili podoficera od weteranów, który miał dozór nad ładunkami [...], zmienili pierwaj wartę niby z rozkazu gubernatora, a pytani na rogatek, co wiozą, odpowiedzieli, że »nowe mundury dla wojska«. Tym sposobem dostarczyli piechocie kilkadziesiąt tysięcy ostrych naboju, które w sam czas oficerowie roznosili w kieszeniach dla żołnierzy swoich po koszarach” – pisał Maurycy Mochnacki o udziale Floriana Dąbrowskiego w przygotowaniach do walki przeciw Moskalom. Bił się on potem pod

Grochowie na przedpolach Warszawy, a wojnę zakończył w stopniu kapitana i ze złotym krzyżem Virtuti Militari. Na emigracji we Francji wiele lat czekał na możliwość powrotu do kraju. Nadarzyła się ona dopiero po prawie 17.

Bój pod Książem

Kiedy zaczęła się Wiosna Ludów i sytuacja w Prusach wydawała się kształtować korzystnie dla Polaków, w marcu 1848 r. Dąbrowski przybył do Wielkopolski i w drugiej połowie następnego miesiąca, mianowany pułkownikiem, został dowódcą obozu wojskowego w Książu, jednego z czterech, na których powstanie zgodziły się władze pruskie. Siły, którymi dysponował, były bardzo słabe. Z ok. 800 ludzi broń palną posiadała ledwie setka, reszta zbrojna była w kosy. Miał też „dwa półfuntowe działka, nadające się raczej do wiwatu niż do walki” (Piotr Łossowski, „Żołnierze minionych lat”).

Mimo to z energią zaczął szkolić ochotników i umacniać swoje pozycje. Czasu jednak było mało, gdyż Prusacy szybko zdecydowali o likwidacji polskiej siły zbrojnej. Sześć dni po objęciu przezeń dowództwa, 29 kwietnia, 4,5 tys. żołnierzy, prowadzonych przez płk. Henryka Brandta, Niemca z matki Polki, a przed laty oficera Armii Księstwa Warszawskiego, podeszło pod Książ.

Brandt liczył, że Polacy ulegną się przeważającego, wspartego artylerią, przeciwnika. Jednak Dąbrowski odpowiedział parlamentariuszowi, że w żadne układy wdawać się nie będzie. Najpierw doszło do starcia powstańczej kawalerii, liczącej ledwie 40 ludzi (choć podawana jest też liczba trzy razy większa), ze znacznie liczniejszymi szwadronami pruskimi. Dość długo Polacy dotrzymywali pola, ale przeważający nieprzyjaciel zepchnął ich w obręb zabudowań miejskich. Tam jednak powstańcy strzelcy odparli pruskich żołnierzy, a później odrzucili jeszcze dwa natarcia.

Dopiero za czwartym razem Prusacy, rozbiwszy strzałami armatnimi główną barykadę powstańczą, ruszyli naprzód. Zacięta walka zaważyła wśród domostw miasta, ale Prusacy stopniowo łamali rozpaczliwy opór obrońców, z których większość nie posiadała broni palnej. Dąbrowski mógł jeszcze się wycofać, ale zdecydował się na kontratak przeciw Prusakom, którzy wdarli się już na rynek miejski. Mówiąc: „Chcę spełnić obowiązek”, z kosą w rękę, z garścią żołnierzy ruszył naprzód, ściał ponoć jeszcze któregoś z Niemców, ale zaraz padł pod kulami. Wkrótce walka wygasła, lecz kiedy składano broń, przypadkowy strzał spowodował, że Prusacy otworzyli ogień, zabijając jeszcze wielu powstańców.

Wracając jeszcze do początku tej nierównej bitwy... Dowódcą powstańczej kawalerii, który pierwszy stał się z jazdy pruskiej, był Józef Hutten-Czapski. Absolwent liceum pijarskiego na warszawskim Żoliborzu, porzucił studia na Uniwersytecie Warszawskim, by spełnić swoje marzenie o służbie wojskowej. Po wybuchu powstania listopadowego został mianowany podporucznikiem w 1. Pułku Ułanów. Brawurowo odważny, odznaczył się w bitwie o mosty na rzece Liwiec pod Liwem, prowadząc zwycięską szarżę na Rosjan, których zmusił do odwrotu za rzekę, za co odznaczono go złotym krzyżem *Virtuti Militari*.

Na emigracji wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i jako jego emisariusz udał się do kraju, aby tworzyć konspirację niepodległościową. W czasie tej działalności, podczas przekraczania granicy zaboru pruskiego, został aresztowany i osadzony w osławionym berlińskim Moabie. Udało mu się wydostać i wrócić do Francji. Wkrótce widzimy go w bitwie pod Książem, a po upadku powstania ponownie na emigracji.

Minęły lata, kiedy w 1860 r. ponownie stanął na wezwanie, tym razem jako wykładawca musztry i taktyki kawalerii na kursach wojskowych w Genewie i w Cuneo, gdzie polscy emigranci szkolili oddziały, które wkrótce miały ruszyć do walki w styczniową noc 1863 r. Wśród nich był dobiegający sześćdziesiątki Józef Hutten-Czapski, który na początku marca przybył do obozu gen. Mariana Langiewicza w Goszczy z dużym transportem broni. Mianowany przez dyktatora generałem, objął dowództwo kawalerii jego kilkutyśięcznego zgrupowania.

Kilka dni później poprowadził skutecznie szarżę na Rosjan w bitwie pod Chrobrzem, a następnego dnia wziął udział w bitwie pod Grochowskimi. Po niej musiał przejść za granicę austriacką, a w 1864 r. został aresztowany przez Austriaków. Potem kolejna tułaczka do Francji, gdzie w obronie Paryża staremu generałowi znów przyszło bić się z Prusakami. Wrócił później do kraju. Zmarł w 1900 r. w krakowskim Domu Ubogich.

W połowie XVIII w. osiadł w Poznaniu przybyły z Bawarii czeladnik ślusarski Jan Jerzy Krauthofer. Fach ślusarski odziedziczył po nim jego syn Franciszek. Jego z kolei wnuk Jakub urodził się w 1806 r. – roku pruskiej klęski. W pełni spolszczony, ukończył prawo i rozpoczął praktykę adwokacką w stolicy Wielkopolski.

Adwokat Krotowski

Jak pisał Zdzisław Grot, długo nie angażował się w sprawy polskie. Zmieniło się to dopiero w pierwszej połowie lat 40., kiedy Jakub Krauthofer zaczął postuluować wprowadzenie języka polskiego w sądownictwie, a jego wystąpienia cechowały silne akcenty antyniemieckie i filosofoviańskie, czemu dawał wyraz

w swoich wykładach prawniczych w pałacu Działyńskich.

Kiedy w 1848 r. rozpoczęła się Wiosna Ludów, napisał list do króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, w którym wzywał panującego do odbudowy Polski, co – biorąc pod uwagę narastające wówczas w Prusach nastroje antyrosyjskie – nie było bynajmniej fantastyką polityczną. Pod pierwszym podpisem Krauthofera kolejne złożyli wybitni działacze polscy, a następnie tysiące Polaków z Poznańskiego. Naturalne było też, że znalazł się w delegacji, która bezpośrednio przekazała dokument królowi. Ponieważ jego ostatecznej wersji nadano charakter bardziej umiarkowany, Krotowski zaprotestował przeciw tej zmianie. „Stał już wówczas na pozycji otwarcie niepodległościowej” (Zdzisław Grot), a zamaniestował to zmianą nazwiska. Tydzień



Florian Dąbrowski

FOT. DOMENA PUBLICZNA

po audiencji u Fryderyka Wilhelma IV Krauthofer stał się Krotowskim.

W powstałym Komitecie Narodowym opowiadał się za walką zbrojną na wypadek nieprzyjęcia polskich postulatów i w pierwszej połowie kwietnia z garścią swoich zwolenników napadł na oddział huzarów niemieckich stacjonujący w Kórniku. Odparty, schronił się w obozie wojskowym zorganizowanym w Miłostawiu pod dowództwem gen. Ludwika Mierosławskiego. Ten był przeciwnikiem walki zbrojnej, co wywołało zatarg z Krotowskim, więc adwokata wysłano w misji dyplomatycznej do Berlina. Kiedy wrócił po dwóch tygodniach, walka z Prusakami już trwała, ci bowiem zdecydowali się zlikwidować polskie obozy wojskowe.

3 maja 1848 r., w rocznicę konstytucji, Krauthofer ogłosił w Mosinie i w Kórniku powstanie Rzeczypospolitej Polskiej. Urzędników pruskich zastąpił Polakami, zaczął rozpowszechniać druki ulotne pieczętowane jagiellońskim orłem i ha-



Bitwa pod Miłostawiem FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ słem „Polska Powstająca”. Siedzibą jego oddziału był Rogalin, na który 8 maja uderzyli Prusacy. Krotowski po dwugodzinnej bitwie cofnął się za Wartę, ale otrzymawszy wsparcie, uderzył na miasto. Tam, w jednej z ostatnich bitew powstania wielkopolskiego, insurgenci zostali rozbici, a sam Krotowski schwytany, zakuty w kajdany i uwięziony w twierdzy winiarskiej w Poznaniu. Jak podaje Grot, wysłał stamtąd list do pruskich władz wojskowych, oskarżając je o niegodne traktowanie i wyrażając dumę z udziału w powstaniu.

Zwolniono go jesienią 1848 r., ale jeszcze w tym samym roku stanął przed sądem, oskarżony o zdradę stanu. Sąd, chociaż złożony głównie z Niemców, uniewinnił go. Był to wszak piękny wiek XIX, nawiązując do tytułu znanej książki Jerzego Borejszy. Żył jeszcze cztery lata działając na rzecz sprawy polskiej. Jako poseł do sejmiku pruskiego opracował wniosek potępiający rozbiory Polski. Kiedy jednak Koło Polskie odmówiło wniesienia go pod obrady, złożył mandat.

Towarzysze Łukasińskiego

W procesie Towarzystwa Patriotycznego, który w czerwcu 1824 r. wstrząsnął opinią publiczną Królestwa Polskiego, sąd wojenny, złożony z oficerów polskich, na najwyższe wyroki skazał trzech działaczy tej niepodległościowej organizacji konspiracyjnej, na czele z jej przywódcą, mjr. Walerianem Łukasińskim. Zanim wtrącono ich do twierdzy, zostali poddani publicznej degradacji w obozie wojskowym na warszawskich Powązkach. Łukasiński, skazany na dziewięć lat ciężkiego więzienia, przez kilkadziesiąt lat więziony w twierdzy Szlisselburg. Ignacy Dobrogoyski zmarł w twierdzy w Zamościu krótko po uwięzieniu.

Trzecim był Mikołaj Dobrzycki. Urodzony w 1793 r., jako 13-letni chłopiec zgłosił się na ochotnika do formujących się w zaborze pruskim wojsk polskich, wziął udział w oblężeniu Gdańska i został dwukrotnie ranny w nogę. W 1808 r. był już oficerem

Legii Nadwiślańskiej w Hiszpanii. W pierwszym szturmie Saragossy ciężko ranny, jeszcze w tym samym roku mógł Dobrzycki wrócić do szeregów i został dwukrotnie ranny. Ścieżki jego zbiegły się wówczas ze ścieżkami Henryka Brandta, wspomnianego wyżej zdobywcy Książa. „W boju nienagannie mężny a pełen wdzięku w obejściu, zdawał się rozmiłowany w poezji romantycznej, muzyce i śpiewie, skłonny do marzeń i czuły na uroki niewieście” – pisał o Dobrzyckim w „Polskim słowniku biograficznym” Adam Skałkowski.

Wiosną następnego roku w czasie przeprawy przez rzekę Cinca w chwili nagłej powodzi młody oficer został odcięty w grupie tysiąca żołnierzy i po rozpaczliwej walce, w której rzecz jasna znów został ranny, wzięty do niewoli angielskiej. Zesłano go na wysepkę Cabrera w archipelagu Baleary. Przebył tam pięć długich lat. Wrócił do Polski po zakończeniu wojen napoleońskich i wstąpił do armii Królestwa Kongresowego, lecz po dwóch latach z powodów zdrowotnych został zwolniony ze służby.

Po pewnym czasie włączył się do działalności Towarzystwa Patriotycznego. Aresztowany, wykazał się postawą niezłomną. Szymon Askenazy pisał w „Łukasińskim”, że nie przyznał się do członkostwa w tajnej organizacji, odmówił oskarżenia innych i „w żadne śledcze nie dał się wciągnąć zasadzki”, a w końcu „porwał się czynnie” na jednego z oficerów straży. Spośród trzech skazanych na najwyższe kary w procesie Towarzystwa Patriotycznego dla Dobrzyckiego los okazał się najłaskawszy. Jego kara łaską carską została skrócona do czterech lat i w 1828 r. opuścił twierdzę w Zamościu.

Kiedy dwa lata później wybuchło powstanie, w stopniu kapitana wyruszył na pole walki ze swoim macierzystym 6. Pułkiem. W lutym 1831 r., w czasie bitwy grochowskiej, kiedy gen. Jan Krukowiecki nie przyszedł z pomocą walczącym pod Grochowem ze względu na swój osobisty konflikt z gen. Józefem Chłopcickim, Dobrzycki otwarcie zarzucił mu zdradę,

na co Krukowiecki strzelił doń, na szczęścia niecelnie. Dzielny Dobrzycki bił się w przegranej bitwie pod Ostrołęką, gdzie ciężko ranny, został wzięty do niewoli. Przeszedł carskie więzienia w Bobrujsku

i w Wiatce. Po stłumieniu powstania został zwolniony jako obywatel pruski.

Żył w spokoju aż do marca 1848 r., kiedy wydarzenia Wiosny Ludów dały nadzieję na powodzenie sprawy polskiej. Dobrzycki został naczelnikiem wojskowym w powiecie obornickim, a następnie wszedł w skład delegacji, która udała się do znanego nam już płk. Brandta, by odstąpił od atakowania oddziałów polskich, znajdujących się w Środzie Wielkopolskiej. Tak to po przeszło 30 latach spotkali się starzy napoleończycy i oficerowie Księstwa Warszawskiego.

Brandt nie poznał początkowo dawnego kolegi, „tak się odmienił pod ciosami losu. Ubogo, chociaż czysto przyrodziany, szczupły, o karku zgiętym w kabłąk [tj. w łuk, łukowato – przyp. M.G.], z siwą brodą, tylko karabelą nadawał sobie nieco marsowy wygląd i w delikatnie zarysowanej twarzy błyszczały oczy niewygasłym jeszcze żarem. W poufnej rozmowie ponoć wyznawał, że tęsknił już tylko za spokojem i rad by spędził schyłek dni swoich w celi klasztornej. Unosiła go wszakże fala i nie chciał odstąpić rodaków” – przejmująco opisał ich spotkanie Skałkowski.

Historyk dodawał, że Dobrzycki „dla sposobu wojowania [rodaków] nie żywił wielkiego szacunku”. Czy rzeczywiście tak było? Taką formę walki narzucały sytuacja i brak broni. Tymczasem trzy tygodnie po spotkaniu z Brandtem Dobrzycki poprowadził utworzony przez siebie oddział kosynierów na garnizon pruski w Obornikach. Straceńczy atak załamał się w chwili, kiedy na moście nad Wartą dawny towarzysz Łukasińskiego poległ od salwy pruskiej; wówczas też powstańcy się wycofali. Czy tego 5 maja 1848 r., rzucając wyzwanie silniejszym Prusakom, liczył na zaskoczenie ich, na jakiś łut szczęścia, który pozwoli na krótką satysfakcję w chwili klęski powstania, czy po prostu chciał dać świadectwo?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:



Andriej Własow FOT. NAC

1942-1945 / KONR i ROA w walce o narodową Rosję

Rosyjski generał — wróg Sowietów

*Arkadiusz Karbowski*

Andriej Własow wierzył, że zbudowanie u boku Hitlera rosyjskiego rządu i wojska doprowadzi do upadku systemu bolszewickiego

Nazwisko Andrieja Własowa jest w dzisiejszej Rosji, odwołującej się do tradycji sowieckiej, synonimem zdrady i zaprzaństwa.

Nie kwestionując bynajmniej tego, że generał jako rosyjski patriota zdradził ZSRS, co mu się zresztą chwali, wypada stwierdzić, że stał się on równocześnie swoistym symbolem ucieleśniającym los 310 tys. Rosjan, którzy zdecydowali się walczyć za swój kraj z bolszewizmem w kooperacji z III Rzeszą. Kiedy 12 lipca 1942 r. Oberleutnant (porucznik) Maks von Schwerdtner, oficer wywiadu niemieckiego XXXVIII Korpusu, i jego tłumacz Sonderführer Klaus Poelchau podeszli do jednej z chałup we wsi Tuchowieczi, by sprawdzić, czy nie ukrywają się w niej sowieccy żołnierze, zostali nieco zaskoczeni słowami, które wypowiedział do nich przebywający tam człowiek: „Nie strzelać. Jestem Własow”.

W ten sposób dostał się do niewoli jeden z najwyższych rangą sowieckich generałów, pełniący funkcję dowódcy 2. Armii Uderzeniowej oraz zastępcy dowódcy Frontu Wołchowskiego. Andrieja Własowa po ujęciu umieszczono w obozie w Winnicy, utworzonym dla wysokich rangą dowódców sowieckich. Tam poznał jednego z jeńców, płk. Władimira Bojarskiego, wraz z którym napisał memorandum skierowane do władz niemieckich. W wysłanym dokumencie obaj panowie zawarli sugestię utworzenia rosyjskiej armii narodowej.

Trudno powiedzieć, kiedy Własow podjął decyzję o budowie pod auspicjami Niemców rosyjskiego wojska. Czy wtedy, gdy błąkał się po lasach po rozbiciu swojej armii, czy w czasie pobytu w obozie jenieckim. W każdym razie jego propozycje zostały zauważone przez Wydział Propagandy OKW (Abteilung für Wehrmachtpropaganda im Oberkommando der Wehrmacht). Dlatego Własow został przewieziony do siedziby tej właśnie instytucji. Przebywając tam, podpisał potem tzw. deklarację smoleńską, w której wskazywał na konieczność walki z reżimem Stalina. Wkrótce dokument zaczęto rozpowszechniać, lecz nie po sowieckiej stronie frontu – jak planowało patrolujące temu przedsięwzięciu Ostministerium (Ministerstwo Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich) Alfre-

da Rosenberga – ale na terenach okupowanych przez Niemcy.

Stało się tak na skutek „omyłki” pilota zrzucającego ulotki z samolotu, namówionego do popełnienia tego błędu przez oficera przydzielonego do opieki nad Własowem, kpt. Wilfrieda Strik-Strikfeldta. Ten bałtycki Niemiec należał do grona niemieckich oficerów wierzących w konieczność zmiany dotychczasowej błędnej polityki realizowanej na wschodzie przez niemieckich okupantów. „Deklaracja smoleńska” stała się przyczynkiem do zorganizowania Własowowi wielu publicznych wystąpień, na których przekonywał on swoich rodaków do idei walki z bolszewicką Rosją. Podczas spotkań z mieszkańcami terytoriów okupowanych Własow zetknął się z wieloma przejawami uznania i daleko idącej sympatii, co utwierdziło go w przekonaniu o słuszności obranej drogi.

Razem z Niemcami!

Dawny doradca przywódcy chińskiego Kuomintangu Ciang Kaj-szeka (Własow taką funkcję pełnił w 1938 r.) wierzył, że zrealizowanie jego wizji zbudowania pod auspicjami niemieckimi rosyjskiego rządu i rosyjskich sił zbrojnych doprowadzi w efekcie do klęski sowieckiego państwa i upadku systemu bolszewickiego. Uważał, że leży to w interesie zarówno Niemiec, jak i Rosji. Ani argumenty Własowa, ani jego niemieckich sojuszników nie trafiły do przekonania Adolfowi Hitlerowi. Pomimo ponoszonych klęsk kanclerz uparcie trwał przy swojej koncepcji polityki wschodniej. Sprowadzała się ona do bezwzględnej eksploatacji tych obszarów i stosowania terroru wobec zamieszkującej je ludności cywilnej. Hitler nie brał pod uwagę możliwości tworzenia na wschodzie państw narodowych. Nie widział tym samym potrzeby angażo-

wania do walki z bolszewikami narodów Europy Wschodniej, stojąc na stanowisku, że wojna z ZSRS zostanie rozstrzygnięta tylko dzięki militarnym zwycięstwom Wehrmachtu. Najwyraźniej nie miał świadomości, że ZSRS miał olbrzymie rezerwy ludzkie oraz materiałowe i pokonanie go bez wykorzystania antybolszewickiego nastawienia zamieszkujących ZSRS narodów będzie niemożliwe.

Tkwiąc w swym uporze, Führer wyraził zgodę tylko na wykorzystywanie Własowa do prowadzenia agitacyjnej propagandy skłaniającej do dezercji żołnierzy sowieckich, natomiast zabronił kategorycznie prowadzenia jakichkolwiek działań na zapleczu frontu niemieckiego. Wobec takiego stanowiska Hitlera szef OKW feldmarszałek Wilhelm Keitel nakazał odesłanie Własowa do obozu jenieckiego. Nie doszło do tego, ale Własow przejściowo znalazł się w areszcie domowym w miejscowości Dahlen, leżącej niedaleko Berlina. Stamtąd mógł tylko odwiedzać obóz szkoleniowy w Dabendorfie założony m.in. przez szefa Fremde Heere Ost (Obce Armie Wschód) gen. Reinharda Gehlena, znajdujący się wówczas pod kontrolą Wydziału Propagandy OKW (obóz był teoretycznie propagandowym ośrodkiem szkoleniowym, a w rzeczywistości w tamtym czasie centralą Rosyjskiego Ruchu Wyzwoleńczego).

Stworzenie rosyjskiej armii narodowej miało silne podstawy wynikające nie tylko z analiz politycznych, lecz także z tego, że tysiące Rosjan pomimo braku istnienia rządu i rosyjskiej armii zdecydowało się wstąpić do niemieckich sił zbrojnych. Już od jesieni 1941 r., z uwagi na rosnące niemieckie straty na froncie wschodnim, w szeregi Wehrmachtu oraz policji porządkowej – Orpo – i Policji Bezpieczeństwa zaczęto przyjmować ochotników z Europy Wschodniej. Obok Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Turkmenów, Gruzinów, Azerów i Ormian wśród wolontariuszy znaleźli się również Rosjanie. W utworzonej przez nich w 1941 r. Republice Łokockiej powołali do życia formację paramilitarną nazywaną milicją ludową, która potem przekształcona została w RONA (Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa – Русская Освободительная Народная Армия). Na jej czele stanął były łągiernik i agent NKWD (występował pod pseud. ■



■ Ultramarina) w jednej osobie – Bronisław Kamiński. Inną dużą jednostką rosyjską była utworzona z inicjatywy Abwehry wiosną 1942 r. we wsi Osintorf koło Orszy, kierowana przez białogwardyjskich emigrantów RNNA (Rosyjska Narodowa Armia Ludowa – Русская Национальная Народная Армия).

W drugiej połowie 1942 r. zaczęto formować rosyjskie bataliony wschodnie. W kwietniu i maju 1943 r. na polecenie OKH nakazano żołnierzom batalionów rosyjskich nosić tarcze z napisem ROA (Rosyjska Armia Wyzwoleńcza – Русская Освободительная Армия). Armii, która de facto nie istniała i była, aż do 1945 r., jedynie wytworem propagandowym. Ta decyzja dała asumpt do kierowania wobec Własowa oskarżeń o prawdziwe i urojone zbrodnie, których miały się dopuścić oddziały noszące na swych mundurach tarcze ROA, niepodlegające mu w istocie.

W październiku 1943 r. na polecenie Hitlera doszło do przeniesienia wschodnich batalionów, w tym rosyjskich, z frontu wschodniego na zachodni. Wydanie rozkazu wiązało się z częstymi dezercjami na stronę Sowietów, których dopuszczali się żołnierze tych jednostek. Własow słusznie uznał ten krok za chybiony. Nie miał złudzeń, że ochotnicy, których głównym motywem wstąpienia do batalionów była chęć walki z bolszewikami, będą z takim samym zapałem i z równą determinacją walczyć z niebędącymi ich wrogami zachodnimi aliantami. Dyslokacja rosyjskich, i nie tylko rosyjskich, batalionów na zachód stanowiła przykład marnotrawienia zapła antybolszewicko nastawionych ochotników z Europy Wschodniej.

Powstanie KONR

Kiedy wydawało się, że sprawa dalszego rozwoju Rosyjskiego Ruchu Wyzwoleńczego całkowicie upadła, w 1944 r. z inicjatywą nawiązania kontaktów z Własowem wyszedł SS-Re-

ichsführer Heinrich Himmler. Szef SS przez długi czas hołdował irracjonalnym teoriom o niższości rasowej Słowian i był jednym z kreatorów brutalnej polityki niemieckiej na wschodzie. Jednak w roku 1944, w momencie, gdy losy wojny przechylały się na stronę koalicji antyhitlerowskiej, zmienił swój pogląd. Ta zmiana zbiegła się z momentem przyjęcia w szeregi SS Rosjan tworzących Brygadę Szturmową SS RONA (SS-Sturmbrigade „RONA”).

16 września 1944 r. doszło w Prusach Wschodnich do spotkania Himmlera z Własowem. Reichsführer wyraził zgodę na powstanie KONR (Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji – Комитет Освобождения Народов России) i podporządkowanych jednostek wojskowych. 14 października 1944 r. odbył się w Pradze kongres KONR i w trakcie jego obrad

gen. Własowa wybrano na przewodniczącego komitetu. Ogłoszono wówczas manifest stanowiący deklarację ideowo-programową, w której zawarto zapowiedź wyzwolenia narodów Rosji, przywrócenia praw uzyskanych przez naród podczas rewolucji lutowej 1917 r., zawarcia pokoju z III Rzeszą, walki z bolszewikami o nową Rosję. Pokłosiem rozmów z Himmlerem był rozkaz Oberkommando der

Heeres (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych) wydany 23 listopada 1944 r. – utworzenia 600. Dywizji Piechoty (600. Infanterie-Division) nazywanej 1. Dywizją ROA lub 1. Dywizją KONR. Jej liczebność wynosiła 18 tys. żołnierzy. W składzie dywizji znaleźli się żołnierze batalionów wschodnich, jeńcy sowieccy, robotnicy przymusowi oraz weterani znanej z tłumienia Powstania Warszawskiego Brygady Szturmowej SS RONA Bronisława Kamińskiego (tylko część z nich należąca do tzw. pułku zbiorczego mjr. Frołowa tłumiała powstanie). Byli podkomendni Kamińskiego stanowili w sumie jedną trzecią żołnierzy dywizji. 17 stycznia 1945 r. OKH wydało polecenie sformowania na poligonie Heuberg w Wirtembergii kolejnej 2. Dywizji ROA, czyli 650. Dywizji Piechoty (650.

Infanterie-Division). Dowódcą został mianowany gen. Grigorij Zwieriew wzięty do niewoli pod Charkowem. Jednostka liczyła 13 tys. żołnierzy. W studium formowania znalazła się w końcu kwietnia również 3. Dywizja ROA – 700. DP (700. Infanterie-Division) pod wodzą gen. Michaiła Szapowałowa.

28 stycznia 1945 r. specjalnym telegramem Himmler powiadomił Własowa, że na mocy rozkazu Hitlera otrzymał oficjalną nominację na głównodowodzącego Siłami Zbrojnymi KONR. ROA stała się tym samym sojuszniczą armią sprzymierzoną z Wehrmachtem. 10 lutego 1945 r. w Münsingen odbyła się uroczysta defilada Sił Zbrojnych KONR, w której wzięli udział Własow oraz generał formacji wschodnich przy OKH Ernst Köstring. Ten ostatni swoje przemówienie skierowane do żołnierzy zakończył gromkim okrzykiem: „Hurra!” wzniesionym na cześć Własowa. Na maszt obok flagi niemieckiej wciągnięto trójkolorową flagę rosyjską, a uczestniczący w ceremonii żołnierze złożyli przysięgę o treści: „Jako wierny syn mojej Ojczyzny dobrowolnie dołączam do grona Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji. »В присутствии моих земляков я торжественно клянусь честно сражаться до последней капли крови под командой генерала Власова на благо моего народа против большевизма«. W obecności moich rodaków uroczystie przysięgam uczciwie walczyć do ostatniej kropli krwi pod dowództwem generała Własowa na rzecz mojego ludu przeciwko bolszewizmowi. »Эта борьба ведется всеми свободолюбивыми народами под высшей командой Адольфа Гитлера«. Walkę tę toczą wszystkie narody miłujące wolność pod najwyższym dowództwem Adolfa Hitlera. »Я клянусь, что останусь верным этому союзу«. Przysięgam, że pozostanę wierny temu sojuszowi”.

Żeby pokazać walory bojowe rosyjskich wojsk antybolszewickich, na polecenie Własowa, 9 lutego 1945 r., wyselekcjonowana 505-osobowa grupa bojowa płk. Igora Sacharowa, weterana wojny domowej w Hiszpanii (walczył po stronie frankistów), weszła do walki w okolicach wsi Gozdowice na północ od Kostrzyna, na odcinku stacjonowania sowieckiej 230. Dywizji Strzeleckiej. Celem działań własowców było utorowanie drogi niemieckim pododdziałom,





Andriej Własow i żołnierze Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej FOT. NAC

które miały zająć miejscowości Karlsbie-se i Kerstenbruch Neulewin. Operacja przebiegła pomyślnie, a własowcy za udział w boju zebrali same pochwały. W meldunku OKH pisano: „W zdobyciu Neulewin oddział Własowa odznaczył się zręcznym dowodzeniem walką i ogromną walecznością”.

Ponad miesiąc po tej bitwie, 25 marca 1945 r., na zjeździe w miejscowości Virovitica kozaccy atamani zdecydowali się na akces XV Korpusu Kawalerii SS do SZ KONR. Trzy dni później w Karlowych Warach zebrano się prezydium KONR w celu przedyskutowania sytuacji militarno-politycznej. Podczas obrad uczestnicy analizowali możliwości połączenia dywizji z XV Kozackim Korpusem SS podległym formalnie ROA lub – w drugim wariancie – z czetnikami Draży Mihajlovicia, a w trzecim – najmniej realnym – z Ukraińską Powstańczą Armią. Jak wiadomo, żaden z tych pomysłów nie został zrealizowany.

ROA na froncie

Za to na froncie znalazła się gotowa do walki 1. Dywizja ROA. Otrzymała ona zadanie likwidacji przyczółka sowieckiego pod Erlenhof, położonego na południe od Frankfurtu nad Odrą. Przeciwnikiem własowców był 61. Korpus Strzelecki. Natarcie, wsparte nawałą artyleryjską oraz atakami lotnictwa, pomimo wielkiego poświęcenia atakujących nie doprowadziło do załamania sowieckiej obrony. Dywizję wycofano na pozycje wyjściowe. Do 16 kwietnia przebywała ona na froncie, po czym ruszyła w kierunku Czech. Dowództwo jednostki pomimo otrzymywanych od feldmarszałka Ferdinanda

Schörnera – dowodzącego Grupą Armii „Mitte” – rozkazów nakazujących wejście dywizji do walki pod różnymi pretekstami skutecznie się tym poleceniom opierało. Dowódca dywizji gen. Siergiej Bunjaczenko nie miał wątpliwości, że poświęcenie życia swych żołnierzy w obronie ginącej III Rzeszy jest kompletnie bezsensowne.

5 maja 1945 r. w Pradze wybuchło powstanie zainicjowane przez Czeską Radę Narodową. Powstańcy pomimo determinacji nie byli w stanie opanować miasta. Niemcy do walki z nimi ściągnęli 4. Pułk Pancerny „Der Führer” będący częścią elitarnego 2. Dywizji Pancernej SS „Das Reich” oraz – z pobliskiego poligonu w Benesovie – Kampfgruppe „Wallenstein”. Wejście do akcji jednostek Waffen-SS wskazywało, że godziny powstania są policzone. Nieoczekiwanie jednak w godzinach wieczornych 5 maja 1945 r. do Pragi wkroczyły na pomoc powstańcom pododdziały 1. Dywizji ROA. Ich pojawienie się w mieście nie było dziełem przypadku, ale wynikiem podpisanego tego samego dnia porozumienia, zawartego w Suchomostach między dowódcą dywizji gen. Siergiejem Bunjaczenką a czeskim dowództwem wojskowym występującym pod kryptonimem Bartosz, podległym CRN. Bunjaczenko, kierując dywizję do Pragi, naiwnie wierzył, że CRN udzieli żołnierzom ROA azylu, co pociągnie za sobą uznanie ze strony zachodnich aliantów.

Sceptyczny wobec planu Bunjaczenki był gen. Własow. Uważał on, że z Amerykanami należy negocjować samodzielnie, a atakowanie niemieckich sojuszników żadnej korzyści Siłom Zbrojnym KONR nie przyniesie. Ostatecznie dał jednak Bunjaczence wolną rękę w działaniach.

W ten sposób w dniach 6–7 maja 1945 r. Praga stała się areną walk 1. Dywizji ROA z Niemcami. Bez wątpienia to właśnie dzięki własowcom powstanie nie zostało stłumione. W godzinach wieczornych 7 maja 1945 r., wobec przewidywanego zajęcia Pragi przez Sowieców oraz dystansowania się CRN od jednostek ROA (Czesi obrali taką taktykę, domyślając się, że reakcja czerwonoarmistów na przyjęcie przez CRN pomocy własowców będzie negatywna) Bunjaczenko nakazał swym oddziałom opuszczenie miasta. Następnego dnia o godz. 4 do Pragi wkroczyły czołówki Armii Czerwonej.

Generał Własow, widząc, że wojna się kończy, postanowił porozumieć się z Amerykanami, by uratować swoich żołnierzy przed sowiecką niewolą. Nawiązane kontakty z żołnierzami 3. i 7. Armii amerykańskiej nie doprowadziły do pożądanego efektu. 12 maja 1945 r. generał rozwiązał Siły Zbrojne KONR. Tego samego dnia eskortowana przez Amerykanów kolumna, w której jechał, opuściła o godz. 14 zamek w Lnarze. Podczas jazdy zatrzymały ją pododdziały sowieckiej 125. Brygady Pancernej dowodzone przez kpt. Jakuszyna. Sowieci przy całkowitej bierności żołnierzy US Army, pod groźbą użycia broni, nakazali generałowi Własowowi i Bunjaczence opuścić pojazdy, a następnie odstawili obu generałów do sztabu 25. Korpusu Pancernego. Stamtąd wywieziono ich do Drezna, a potem do Moskwy.

Tam Własow przebywał przez wiele miesięcy w więzieniu, gdzie był intensywnie przesłuchiwany m.in. przez szefa Smierszu gen. Wiktora Abakumowa. Po kilku miesiącach władze sowieckie zdecydowały się wytoczyć mu proces. Na kilka dni przed jego rozpoczęciem, 23 lipca 1946 r., Biuro Polityczne KC KPZR zadecydowało, że rozprawa będzie miała charakter zamknięty, czyli nie będzie na niej ani prokuratora, ani obrońcy, a wszyscy oskarżeni mają być skazani na karę śmierci. Zgodnie z tymi ustaleniami w dniach 30–31 lipca 1946 r. odbyła się rozprawa, w której efekcie Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRS wymierzyło wszystkim podsądnym ustalone wcześniej wyroki. 1 sierpnia 1946 r. gen. Andriej Własow i 11 innych dowódców Sił Zbrojnych KONR zostali o godz. 5.15 powieszani na dziedzińcu więzienia Butyrki w Moskwie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Pułkownik Bronisław Noël FOT. WIKIPEDIA



Zenon Przybyszewski-Westrup FOT. ARKIVKOPIA.SE

Druga wojna / Zdradziecka działalność polskiego renegata

W sieci Abwehry



Marian Zacharski

/ Polscy oficerowie próbowali się przedostać przez Szwajcarię do Wielkiej Brytanii. Na miejscu działał jednak niebezpieczny zdrajca zaprzędany Niemcom

Od momentu wybuchu wojny w 1939 r. na terytorium neutralnej Szwajcarii różnymi drogami przedostawali się polscy oficerowie i żołnierze, w tym piloci. Szukali przede wszystkim możliwości jak najszybszego przedostania się do „swoich”. Najczęściej odbywało się to za pomocą „lewych” papierów ułatwiających przejazd przez początkowo nieokupowaną część Francji, Hiszpanię i Portugalię do kraju docelowego – Anglii. Polskim pilotom i oficerom innych formacji naprzeciw wyszedł szanowany od lat dyplomata szwedzki – urodzony w 1895 r. w norwe-

skim Kongsvinger Zenon Przybyszewski Westrup. Od czerwca 1940 r. piastował on stanowisko posła pełnomocnego Królestwa Szwecji w Szwajcarii.

Jego ojcem był słynny polski pisarz, nazywany niekiedy meteorem Młodej Polski, Stanisław Przybyszewski, a matką Norweżka, córka lekarza, pianistka, tłumaczka, Dagny Juel. Po tragicznej śmierci matki, która w 1901 r. została zastrzelona przez swojego kochanka, krakowskiego studenta, w trakcie pobytu w Grand Hotelu w Tbilisi, przez pewien czas znajdował się pod opieką córki Marii Konopnickiej – Laury Pytlińskiej. Krótco potem został adoptowany przez

siostrę Dagny Juel i jej męża, obywatela Szwecji, Johana Wilhelma Westrupa. Otrzymał bardzo staranne wykształcenie. Po ukończeniu szkół w Szwecji studiował w Oksfordzie. Ojczyzna stać było na to. Zenon Przybyszewski Westrup poślubił baronessę Annę Margaretę de Geer, z którą miał troje dzieci: Jadwigę, Annę Magdalenę i Jana Zenona.

W szwedzkiej dyplomacji rozpoczął pracę w 1919 r. Zanim objął funkcję ambasadora Szwecji w Bernie, służył w placówkach w Paryżu, Antwerpii, Brukseli, Hadze, Berlinie, Warszawie oraz Londynie. Przez pięć lat był też stałym członkiem delegacji szwedzkiej na konferencję rozbrojeniową w Genewie.

Tak się przypadkowo złożyło, że krótko po nim do Berna przybył polski oficer, płk dypl. Bronisław Noël. Rząd polski na uchodźstwie za wszelką cenę zapragnął „przemycić” nowego oficera w miejsce – jak to 23 lipca 1940 r. określił poseł Ładoś w rozmowie z władzami szwajcarskimi – nieobecnego wojskowego attaché, płk. Antoniego Szymańskiego. Uważając się za spryciarza, Ładoś podpytywał tu i ówdzie, czy Szwajcaria odpowie pozytywnie na prośbę rządu polskiego o wyrażenie zgody na wjazd na jej terytorium płk. Noëla w charakterze zastępcy wojskowego attaché. Jego rozmówcy po konsultacji z ministrem rządu federalnego (Pilet-Golaz) przekazali Ładosiowi informację, że tego typu prośba zostanie odrzucona.

„Sposobem”

Polacy nie dawali za wygraną. Postanowili załatwić temat po swojemu, czyli „sposobem”. Trudno dziś dociec, dlaczego tak bardzo im się spieszyło. Aby bez zbędnej zwłoki uzyskać wizę wjazdową, 21 sierpnia 1940 r. w poselstwie Szwajcarii w Londynie osobiście pojawił się płk Bronisław Noël, przedstawiając się jako nowo wyznaczony przez rząd polski „pomocnik” wojskowego attaché w Bernie. Przedstawiciel poselstwa, W. Thurnheer, z bliżej nieznanym powodem, bez pytania o zgodę kompetentnych urzędników Departamentu Spraw Zagranicznych w Bernie od ręki wystawił mu wizę dyplomatyczną. Jego pomyłka



wywołała poważny zatarg między polskim poselstwem w Bernie a władzami policyjnymi i politycznymi Konfederacji Szwajcarskiej.

W pierwszych dniach września 1940 r. pracownik polskiego poselstwa w Bernie, a przy okazji wyjątkowo nieciekawa osoba, Stefan Jan Ryniewicz, powiadomił władze szwajcarskie (reprezentował je M. Stucki), że płk Noël był już w Bernie i jednocześnie, balansując na granicy bezczelności, zapytał, w jakim charakterze mógłby on zostać zgłoszony. Stucki odpowiedział jednym zdaniem, że płk Noël powinien opuścić Szwajcarię. Decyzja ta została potwierdzona 14 września w rozmowie bezpośredniej z posłem RP Ładosiem, który po raz kolejny usiłował uzyskać zmianę stanowiska Szwajcarów, używając argumentu, że wokół toczyła się wojna i w tych warunkach powrót polskiego oficera do Londynu byłby wysoce utrudniony. Uważając, że tego typu wiadomość mogła pomóc w zaistniałym impasie, Ładoś dodał, że Noël przyjechał ze specjalnym przesłaniem od gen. Sikorskiego do dowódcy wojsk szwajcarskich, gen. Henriego Guisana.

Szwajcarzy po krótko trwających wewnętrznych konsultacjach poinformowali Ładosia, że Noël może pozostać, ale pod warunkiem uzyskania wymaganej prawem zgody szefa Policji Federalnej ds. Cudzoziemców. Dodali jednocześnie, że płk Noël nie mógł oczekiwać przyznania mu jakiegokolwiek statusu oficjalnego, a także że obowiązywać go będzie zakaz kontaktów z przedstawicielami armii. Próbuąc ratować sytuację, 29 października poseł Ładoś udał się na osobistą rozmowę z komisarzem federalnym do spraw internowanych, płk. Jeanem de Muralem, którego poinformował, że chociaż Noël wypełnia funkcje leżące w gestii wojskowego attaché (na co nie miał zgody Szwajcarów), to nie należy do korpusu dyplomatycznego. Dodał, że w ewentualnych kontaktach z polski-

mi internowanymi Noël będzie występował po cywilnemu i że w trakcie oficjalnych wizyt w obozach dla internowanych na pewno nie będzie miał na sobie żadnego polskiego munduru. Ładoś tą drogą starał się upewnić Szwajcarów, że Noël w swojej pracy

skoncentruje się głównie na sprawach internowanych.

Na niewiele to się zdało, bo 1 listopada Komisariat ds. Internowanych otrzymał pisemną decyzję zakazującą utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z Noëlem. Decyzja ta pozbawiła go, przynajmniej formalnie, możliwości realizacji zadań, które miał wypełniać jako rzekomy przedstawiciel gen. Sikorskiego. Kolejnym ruchem niestrudzonego posła Ładosia było wystąpienie do Komisariatu ds. Internowanych o zgodę na udział Noëla w przyjęciu bożonarodzeniowym organizowanym przez gen. Bronisława Prugar-Ketlinga, dowódcy internowanej w Szwajcarii Dywizji Strzelców Pieszych (w języku francuskim Noël oznacza Boże Narodzenie i stąd fragment treści tej prośby brzmi zabawnie: „ce qui concerne une visite de Noël du Colonel Noël au Général Prugar”). Dalej Ładoś starał się uzyskać odpowiedź na pytanie, kiedy Noël mógłby zostać przyjęty przez dowódcę armii szwajcarskiej i tą drogą wypełnić powierzoną mu rolę specjalnego wysłannika gen. Sikorskiego. Oczywiście do takiego spotkania nigdy nie doszło.

Sprawa płk. Szymańskiego

Pełna lojalności postawa władz szwajcarskich wobec oficjalnie zaakceptowanego w czerwcu 1939 r., chociaż z powodu wojny nieobecnego, wojskowego attaché płk. Antoniego Szymańskiego oraz jego najbliższej rodziny była godna podziwu. Świadczyły o tym m.in. następujące fakty: 2 grudnia 1939 r. wysoki dostojnik poselstwa Szwajcarii w Berlinie przesłał pismo do szefa Wydziału Policji w Departamencie Sprawiedliwości i Policji w Bernie, dr Heinricha Rothmunda, w którym opisał spotkanie z żoną ww. attaché, Haliną Szymańską, i trzema jej córkami, które dzięki staraniom

adm. Canarisa zostały potajemnie wywiezione z okupowanej Polski. Pierwsze dwie czy trzy noce spędziły w domu admirała, a następnie ze względów bezpieczeństwa (a było się czego obawiać, bo sąsiadem Canarisa był Obergruppenführer SS Reinhard Heydrich) zostały przeniesione do mieszkania jego służącego.

Do spotkania szwajcarskiego dyplomaty z rodziną Szymańskich doszło na życzenie adm. Canarisa. W jego trakcie Halina Szymańska poprosiła władze Szwajcarii o przyznanie jej i córkom wiz na trzymiesięczny pobyt. Po tym czasie planowały wyjechać do Francji. Doktor Rothmund bez wahania przesłał do Berlina zgodę na wystawienie im wiz dyplomatycznych. 20 grudnia 1939 r. poselstwo polskie w Bernie powiadomiło Departament Federalny ds. Polityki Zagranicznej, że Szymańska wraz z córkami w wieku 11, 8 i 5 lat przybyły do stolicy Szwajcarii i tymczasowo zamieszkały w pensjonacie Luisa przy Luisenstrasse 43. W tym miejscu warto dodać, że bezpieczną podróż przez Niemcy odbyły w towarzystwie trzech zaufanych oficerów Abwehry. Canaris czynił wszystko, co w jego mocy, aby uratować Szymańską, ponieważ był „zaangażowany emocjonalnie”.

5 lutego 1940 r. zastępca szefa wydziału szwajcarskiego MSZ do spraw obcokrajowców Peter Anton Feldscher przesłał list do szefa poselstwa Szwajcarii w Berlinie, ministra Hansa Frölichera, w którym informował, że pani Szymańska, żona polskiego wojskowego attaché w Bernie, nadal nie posiadała wiadomości o losie swojego męża.

Możemy się także dowiedzieć z listu, że istniały wskazówki pozwalające na wyciągnięcie wniosku, iż był on więźniem Rosjan. Stąd autor listu nakazywał zbadanie możliwości uzyskania – przy



Gmach poselstwa RP w Bernie FOT. NAC

wykorzystaniu kanału niemieckich władz wojskowych – śladów miejsca pobytu Szymańskiego.

Dzisiaj, po latach, możemy podziękować Szwajcarom – czego, o ile wiem, niestety nie zrobił Szymański – za uratowanie mu życia. Dzięki ich naleganiom i niemieckiej interwencji Szymański został przeniesiony z obozu w Starobielsku do więzienia na Łubiance w Moskwie i tą drogą ominął go tragiczny los kolegów z obozu, bestialsko zamordowanych w Katyniu. Według CV Szymańskiego, sporządzonego przez śledzące jego karierę Armeekommando – Gruppe Ib Nachrichtendienst z 9 kwietnia 1945 r., wiemy m.in., że w sierpniu 1941 r. został zwolniony z więzienia i wstąpił do armii Andersa oraz że został mianowany dowódcą pułku. Po przemieszczeniu się do Iranu mianowany został wojskowym attaché w Teheranie. Z żoną i córkami zobaczył się dopiero pod koniec drugiej wojny. Już w okresie berlińskim wiszące na włosku małżeństwo ostatecznie się rozpadło. Szymańska poślubiła szefa sztabu 2. Korpusu Polskiego, gen. Kazimierza Wiśniowskiego.

Paskudny zdrajca

W międzyczasie Noël, wbrew jasno sprecyzowanemu stanowisku władz szwajcarskich, wpłatał się w działalność o charakterze wywiadowczym. Informacja o tym znajduje się w tajnym, szfrowanym i bardzo pilnym (Citissime!) telegramie nr 124 wysłanym do Berlina 1 listopada 1940 r. o godz. 20.42 przez niemiecki konsulat w Zurychu. Z jego treści dowiadujemy się, że obywatel polski (w tym miejscu podane jest jego pełne nazwisko, które świadomie pomijam, ponieważ kończę książkę, której ten niewątpliwie inteligentny rzezimie-

szek, a jednocześnie paskudny zdrajca jest jednym z „bohaterów”) doniósł, iż polscy oficerowie piloci internowani w Szwajcarii zostali nakłonieni przez przebywającego w polskim poselstwie płk. Noël do ucieczki do Anglii i samochodem przewiezieni przez nieokupowaną

Francję. Tych sześciu polskich uciekinierów zostało wyposażonych przez posła Szwecji w Bernie, mającego polskie korzenie, w paszporty szwedzkie. Ósmego lub 28. dnia tego miesiąca kolejnych 17 oficerów miało podążyć tą samą trasą. O wyżej wymienionej treści zostało powiadomione poselstwo (niemieckie w Bernie).

Z dalszej części telegramu dowiadujemy się, że polski zdrajca ma jeszcze tylko taką kwotę pieniędzy, która pozwoli mu pozostać w Zurychu do 3 listopada. Na samym końcu telegramu jego autor, od sierpnia 1935 r. konsul generalny III Rzeszy w Zurychu, doktor praw Hermann Voigt, poprosił o odwrotne przesłanie opinii w sprawie ww. informacji.

Dane zawarte w powyższym telegramie są potwierdzeniem braku profesjonalizmu i głupoty dwóch oficerów. Pierwszy był oficerem dyplomowanym, który ukończył pierwszy rok w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, a drugi we francuskim jej odpowiedniku, czyli w Ecole Supérieure de Guerre w Paryżu. Oficerem, który miał okazję pracować w Oddziale III Sztabu Głównego, przebywał na stażu w armii rumuńskiej, pracował jako wojskowy attaché przy poselstwie RP w Pradze w gorącym okresie historii, kiedy to wkraczały do niej oddziały Wehrmachtu, i który od lipca 1939 r. był szefem Oddziału II Sztabu Armii „Karpaty”. No cóż, taki to był dobór kadr w wykonaniu szarej emnencji Oddziału II, ppłk. Stefana Mayera. Mayer doprowadził do zniszczenia mjr. Sosnowskiego, mocno wspierając się w tym „dziele” m.in. różnymi uległymi mu, żądnymi zrobienia kariery oficerami, a w tym, niestety, także Szymańskim.

Pułkownik dyplomowany Noël ujawnił wielokrotnie skompromitowanemu polskiemu zdrajcy nie tylko szczegóły tajnej operacji przerzutu polskich ofice-



rów lotnictwa, lecz także patriotycznego gestu wobec ojczyzny nowo przybyłego do Berna posła Królestwa Szwecji. Zenon Przybyszewski był Niemcom dobrze znany, gdyż przez pewien czas pracował w poselstwie swojego kraju w Berlinie. Ujawnienie jego roli było skandalem i trudnym do wybaczenia błędem oficera, który, rzec by można, nie do końca legalnie albo – jak to powszechnie mawiają Polacy – „sposobem” wjechał na teren Szwajcarii.

Na odpowiedź Berlina nie trzeba było długo czekać. Na polecenie Abwehry konsulat wystawił wizę i zakupił bilet kolejowy (koszt SFr 80.20) dla polskiego zdrajcy, który 5 listopada o godz. 14.40 odjechał z dworca głównego w Zurychu i spodziewany był w Berlinie następnego dnia w godzinach przedpołudniowych, gdzie oczekiwał na niego ubrany po cywilnemu oficer Abwehr III F2 (biuro kontrwywiadu). Władze niemieckie uznały sprawę za na tyle ważną, że o każdym podejmowanym kroku na bieżąco informowany był nie tylko adm. Canaris, lecz także Himmler i gen. Schellenberg. W przygotowaniach pobytu zdrajcy nie zapomniano również o takim szczególe jak jego przymusowe internowanie na czas pobytu w Berlinie (12–13 listopada 1940 r.) 65-osobowej sowieckiej delegacji, na której czele stał Władysław Mołotow. Znający doskonale stolicę Niemiec polski zdrajca próbował zameldować się w najlepszych hotelach, ale ku jego rozpaczy zarówno Adlon, jak i Eden były wybukowane. Wylądował w Astorii.

Już 9 listopada Niemcy mieli gotowy wstępny raport z zeznań zdrajcy. Podzielony on został na rozdziały zgodnie z kompetencjami poszczególnych urzędów. W części dotyczącej Abwehry zdrajca szczegółowo opisał organizując się we Francji polskie grupy wywiadowcze, role odgrywane przez gen. Juliusza Kleeberga ps. Janek, mjr. Wincentego Zaremskiego czy kpt. Cichego, którego Niemcy doskonale znali z czasów jego pracy na Górnym Śląsku. Zdrajca opisał też źródła finansowania oraz metody wyposażania agentów w fałszywe paszporty, karty demobilizacyjne itp.



Dokumenty dotyczące Zenona Przybyszewskiego-Westrupa i dokument podróży dla polskiego zdrajcy. FOT. ZBIORY AUTORA

Swoj fałszywy paszport oraz kartę demobilizacyjną wystawione na nazwisko legalizacyjne przekazał niemieckiemu wicekonsulowi w Zurychu, Gerhartowi

Grafowi, który przesał je do Berlina bezpieczną pocztą kurierską. Graf piastował swoje stanowisko od końca kwietnia 1940 do maja 1944 r. W 1948 r. wyemigrował do Argentyny.

Równie interesujące informacje zawarte były w części dotyczącej RSHA. Ta ostatnia organizacja mająca kontakty ze Szwajcarią, poprzez biznesmena i oficera SS Hansa Wilhelma Eggena, zwróciła się do jej władz o ustalenie i podanie danych osobowych polskich oficerów, którzy już uciekli z obozów internowania, i zażądała wprowadzenia obustrzeń, które miałyby zapobiec tego typu „incydentom” w przyszłości. Nic nie wskórali, bo decydentom szwajcarskim zawsze było zdecydowanie po drodze z interesami i wartościami reprezentowanymi przez państwa alianckie. Ze względu na sytuację panującą wokół własnych granic czynili to jednak z zachowaniem należytego rozsądku, można by rzec – „działali w białych rękawiczkach”. Polski paskudny zdrajca, próbując działać na kilka stron, wpadł na własne życzenie. Zapomniał amerykańskiego powiedze-

nia: „Nie kłam, bo zapomnisz”. Cena, którą zapłacił, mogła być tylko jedna – śmierć.

A „samozwańczy” zastępca wojskowego attaché, za mało ostrożny i zbyt gadatliwy płk dypl. Noël wreszcie opuścił Szwajcarię, czym przyczynił się do znacznego spadku napięcia między polskim poselstwem w Bernie a władzami Szwajcarii. Gdyby tego nie zrobił, zapewne, jak to już w lecie 1941 r. planowano, wylądowałby na wymuszonym prawem pobycie [une résidence forcée] w odległym miasteczku w paśmie jurajskim (konkretnie chodziło o Saint-Imier) bez prawa przyjazdów do Berna. Postawa Noëla była trudna do zaakceptowania. W końcu jego pobytu doszło nawet w lutym 1942 r. do wymiany listów między szefem Policji Federalnej ds. Cudzoziemców dr. Paulem Baechtoldem a ministrem, szefem Departamentu Spraw Zagranicznych Konfederacji Szwajcarskiej, Pierre'em Bonna (list z 26 lutego 1942 r.). Odpowiadając na list nieco zagubionemu w gierkach politycznych wokół Noëla szefowi Policji ds. Cudzoziemców, minister Bonna stwierdził jednoznacznie, że płk Noël został nominowany na funkcję zastępcy wojskowego attaché przy poselstwie polskim wbrew ich stanowisk, i że niespodziewanie przyjechał do Szwajcarii z wizą poselstwa Szwajcarii w Londynie wystawioną bez przyzwolenia władz w Bernie.

Następna posada, którą otrzymał płk Noël w maju 1942 r., związała go ze sztabem organizowanych w Szkocji polskich oddziałów wojsk pancernych. Szkoda, że nie pomyślano o przydzieleniu mu tego typu funkcji wcześniej. Wywiad bez najmniejszego cienia wątpliwości ani przez moment nie był jego życiowym powołaniem.

Poselstwo Szwajcarii w Londynie otrzymało z Berna depeszę wysłaną 10 września 1940 r., w której wyrażony był głęboki żal w związku z przyznaniem wizy Noëlowi, nieuznanemu przez Departament Spraw Zagranicznych Konfederacji za członka poselstwa polskiego w Szwajcarii. Jednocześnie przypomniano poselstwu w Londynie, aby ściśle przestrzegało instrukcji obowiązującej przy wydawaniu wiz, z zachowaniem szczególnej ostrożności w przypadku dyplomatów krajów okupowanych w wyniku wojny mocarstw trzecich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zamek w Sonthofen

FOT. WIKIPEDIA

NSDAP

Zamki zakonne w Sonthofen, Vogelsang i Krössinsee

Brunatne gniazda



Piotr Semka

/Niedoścignionym wzorem idei wielkoniemieckiej hegemonii był dla nazistów zakon krzyżacki

Zagraniczni turyści, którzy przypadkowo trafiają do bawarskiego Sonthofen, są pewni, że widoczna z miasteczka wyniosła twierdza to kolejny zamek bawarskich królów. Dawny Nazionalsozialistischen Ordensburg zbudowano jednak w 1937 r. i jest to jedna z najbardziej ponurych pamiątek po brunatnej erze w dziejach Bawarii. Dzisiaj mieszczą się tu koszary Bundeswehry, ale w epoce Hitlera wykształcono tutaj kadry, które wcielały w życie plan podbojów i „Lebensraumu”.

Określenie „Ordensburg”, czyli „zamek zakonny”, naziści wzięli od zakonu krzyżackiego. Architektura zamku Sonthofen nawiązuje do rzymskiego pałacu połączonego z kościołem obronnym. Wysoka 42-metrowa wieża i zbudowany z surowych bloków kamiennych wysoki korpus zamczyska otoczony jest pasmem wysokich szczytów Alp Algauskich. Tu-

taj w myśl doktryny wodzowskiej mieli kształcić swój charakter przyszli liderzy Volksgemeinschaft – wspólnoty narodowej. Wybrańcy najlepiej mieli czuć się wśród szczytów gór. Przykład dawał sam Adolf Hitler, budując w wysokich Alpach swoje „orle gniazdo”. Junkrzy Ordensburgów – bo tak nazwano adeptów szkoły przyszłych panów świata – mieli nauczyć się patrzeć na innych z góry.

Romantyk i pejcz

W plejadzie najgroźniejszych nazistów Robert Ley nie kojarzy się w Polsce jako wyjątkowo zbrodniczo. Pamiętany jest jako szef DAF (Niemiecki Front Pracy) i organizator turystyki pracowniczej „Kraft durch Freude” (Siła przez Radość). A jednak Ley miał i drugie, mniej pamiętane oblicze. Jako Reichsorganisationsleiter NSDAP odpowiadał za politykę personalną i edukacyjną w partii. Należał do tzw. starych towarzyszy. Gauleiterem Nadrenii Południowej został już w 1925 r. Gdy w maju 1933 r. w Niemczech rozwiązano wszystkie związki zawodowe i skonfiskowano ich majątki, Ley zyskał ogromne środki – w weimarskich Niemczech do rozmaitych związków należało 20 mln ludzi, w tej liczbie sporo socjaldemokratów, komunistów i katolików. Do akcji ich szybkiej nazyfikacji potrzebna była armia ideologicznie pewnych agitatorów. Początkowo pranie mózgow chciał prowadzić za pomocą setek autobusów – furgonów agitacyjnych. Jego myślenie zmienił jeden z szefów aparatu NSDAP na Allgäu

– bawarską Szwabię, który uwielbiał malowniczy alpejski zakątek – Sonthofen. Przekonał on Leya, że kursy w furgonach propagandowych wyglądałyby niepoważnie. Zaproponował stworzenie wielkich ośrodków kształcenia kadr partyjnych na wzór średniowiecznych zamków krzyżackich. Opowiedział Leyowi o Sonthofen i roztoczył przed nim wizję ideologicznej fortecy w otoczeniu „wzywających do odkrycia w sobie poczucia siły surowych górskich szczytów”.

Ley zapalił się do tej idei i połączył ją ze wskazaniem Alfreda Rosenberga, ideologa NSDAP. W swojej książce „Mity XX wieku” z 1930 r. Rosenberg pisał: „Zadaniem nowych twórców Niemiec jest wykształcenie męskiego kręgu wybrańców. Nazwijmy go Zakonem niemieckim. Winien on powstać z ludzi powołanych do przewodzenia odnowie Niemców. Członkowie tego zakonu winni pochodzić ze wszystkich warstw ludu i winni być wskazani przez Führera Niemiec. Warunkiem podstawowym do wejścia do tego kręgu winna być gotowość do służenia narodowi”.

Robert Ley przedstawił Hitlerowi program trzyetapowego programu wychowawczego dla milionów młodych Niemców. Pierwszym etapem miały być tzw. Adolf-Hitler-Schule dla wyselekcjonowanych kandydatów z Hitlerjugend. Jako drugi etap edukacji przewidywał półroczny pobyt w Służbie Pracy Rzeszy, dwuletnią służbę wojskową oraz zdobycie konkretnego wykształcenia zawodowego. I wreszcie „najlepsi z najlepszych”, w wieku 25–30 lat, czyści rasowo, zdrowi

i krzepcy mieli trafić do trzech Ordensburgów położonych jak niegdyśsze zamki Krzyżaków na trzech krańcach Rzeszy. Na południu Ley wybrał, wskazał mu, alpejskie Sonthofen. Na zachodzie kolejny Ordensburg miał powstać w górach Eifel, przy granicy z Belgią, i nosić nazwę Vogelsang na wzór nieistniejącego już krzyżackiego zamku koło Torunia. I wreszcie ideę „Drang nach Westen” miał symbolizować Ordensburg Krössinsee – 50 km od granicy z Polską – we wsi Krosina pod Złocieniem na Pojezierzu Drawskim, nad jeziorem Krosino. Hitler był zachwycony pomysłem. Podkreślał, że edukację nazistowską trzeba zaczynać jak najwcześniej, by uniknąć starych szkodliwych wpływów. Dzięki idei Ordensburgów Ley awansował do najbliższego kręgu Führera i wódz aż do 1945 r. ignorował oskarżenia o defraudację i pijaństwo szefa kadr NSDAP.

Duma z knechtów

Zadanie zaprojektowania zamku w Sonthofen otrzymał architekt Hermann Giesler, fanatyczny nazista. Dwa pozostałe były dziełem Clemensa Klotza. Wszystkie trzy Ordensburgi miały podobny kształt. Duży pałac zamkowy z wyniosłą wieżą, ze stylizowanymi na średniowieczne salami wykładowymi i miejscami kultu nazistowskiego plus cały kompleks pawilonów noclegowych oraz hale gimnastyczne. Wszystko planowane na od 1,5 tys. do 4,5 tys. junkrów – bo takie średniowieczne miano mieli nosić kandydaci do brązowego zakonu.

Giesler – w odróżnieniu od nawiązujących do ceglanego gotyku zamków w Vogelsang i Krössinsee – wybrał styl romańskiego kościoła obronnego z surowego kamienia. Tyle że miał być to kościół nowej nazistowskiej wiary bez żadnych odniesień do chrześcijaństwa. Diabolicznym akcentem było to, że kamienne monstrum powstało na dawnym Wzgórzu Kalwaryjskim upamiętniającym mękę Chrystusa na Krzyżu. Szesnaście dzwonów na wieży zamkowej było hołdem złożonym 16 „męczennikom” puczu Hitlera w listopadzie 1923 r. Piwnice zamkowego szynku piwnego ozdobiono w projekcie malunkami średniowiecznych lancknechtów jako symbolu niemieckiego męstwa. Prace przy budowie zamku ruszyły w 1934 r. i nie szczędzono

na nie pieniędzy. 23 listopada 1937 r. zamek był gotowy. Do Sonthofen przybył sam Adolf Hitler, aby osobiście otworzyć pierwszy kurs junkrów. Führer nakazał, by junkrzy byli „wytrwali, niezłomni i gdy trzeba – bezwzględni”. Robert Ley ze swej strony ogłosił: „Stąd wyłoni się nowa szlachta Niemiec”.

W myśl idei Leya młodzi junkrzy mieli spędzić po roku w każdym z trzech zamków. W Vogelsang mieli skupić się na teorii rasy i ideologii nazizmu, w Krössinsee miano szlifować charakter, postuśnienie i krzepę fizyczną, a w Sonthofen poznawać tajniki administracji i wiedzy wojskowej. Ley planował jeszcze czwarty rok wieńczący całość nauki w przyszłym Ordensburgu, który miał powstać koło zamku w Malborku.

Wszystkimi trzema zamkami dowodził Burgkomendant, któremu podlegali nauczyciele teorii rasy, wykładowcy historii, ideologii i filozofii, specjaliści od sztuki i kultury, ekonomii, socjologii, nauk wojskowych i osobnego przedmiotu o nazwie praktyka pracy politycznej w partii. Junkrów nadzorowało trzech Bereitschaftsführerów, każdy odpowiadając za grupę 300–400 elewów. Pomagali im Hundertschaftsführerzy, czyli setnicy.

Każdy dzień miał ścisły plan. O godz. 6 pobudka, poranna gimnastyka i toaleta osobista. O godz. 7 – poranny apel i uroczystość wciągania flagi. Potem śniadanie i obowiązkowy przegląd porannej prasy z pogadanką pracownika ideologicznego na temat sytuacji w kraju i na świecie. Od godz. 10 do 13 wykłady, potem obiad. Między 14.30 a 17 zajęcia sportowe. Od godz. 17.30 praca w kolektywach junkrów, naprawa odzieży i lektura. Od godz. 22 cisza nocna.



Adolf Hitler w zamku Vogelsang FOT. ARCHIWUM

Ley na jednym z zamkniętych spotkań w Sonthofen poinformował o planach zbudowania w okolicy Ordensburgów żeńskich hoteli „Kraft durch Freude”. Miało być to antidotum na – jak to nazywał – poczucie „seksualnego wyobcowania” junkrów. I kontynuował: „Jeśli ubocznym efektem będzie narodzenie się jakiejś liczby pozaślubnych dzieci, to z pewnością nie będziemy robić z tego problemu”.

Wybuch wojny w 1939 r. zatrzymał ku wielkiemu żałowaniu Leya kształcenie kolejnych roczników junkrów. Wszystkich dotychczasowych elewów oddano na potrzeby aparatów okupacyjnych – najpierw w Generalnym Gubernatorstwie, a po 1941 r. w komisariatach Rzeszy Ostland i Ukraina. W pełni spełnili oni nadzieje pokładane przez Hitlera. Byli wyuczeni ślepego posłuszeństwa, przeprowadzania akcji masowych zbrodni, nie mieli hamulców moralnych. Bez nich nie udałoby się plany Holokaustu na Białorusi, Ukrainie i w państwach bałtyckich.

Na terenie Sonthofen od 1942 r. umieszczono Adolf-Hitler-Schule. Przywódcy III Rzeszy uwielbiali w alpejskiej scenerii wygłaszać swe najważniejsze przemówienia. Dwa razy w maju i raz w czerwcu 1944 r. wielkie mowy dla aparatu SS wygłosił tu Heinrich Himmler. W mowie czerwcowej wezwał do przyspieszenia planu eksterminacji Żydów wobec udanej inwazji aliantów w Normandii. Także w 1944 r. Alfred Rosenberg wygłosił tu mowę o nazistowskiej wizji przyszłości Europy. Po wojnie mało kto chwalił się, że jest wychowankiem brązowych zamczysk. Do wyjątków należał znany aktor Hardy Krüger (SS-Brigadeführer Kurt Ludwig w filmie „O jeden most za daleko”). A byli junkrzy utworzyli półlegalny Altenburger Kreises, który zbierał się do połowy lat 90.

W kwietniu 1945 r. francuskie wojska zastały Ordensburg Sonthofen opuszczony. Nikt nie bronił fortecy. Amerykanie, którzy przejęli Allgäu w maju 1945 r., przekształcili zamek w bazę wojskową. Od 1951 do 1952 r. było tu centrum szkoleniowe US Air Force. W 1956 r. zamek przejęła Bundeswehra. Zamek Vogelsang obsadziła po wojnie armia brytyjska, a później – do 2005 r. – belgijska, a Krössinsee to dziś baza 2. Brygady Zmechanizowanej Legionów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Złocieniu-Budowie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kontra / Kulisy intryg szefa Radia Wolna Europa

Nagonka na antykomunistę



Tomasz Kornaś

/ Najwybitniejszy polski prozaik Józef Mackiewicz żył na emigracji w nędzy. Była to „zasługa” Jana Nowaka, który postanowił go zniszczyć

W ostatnich latach wielbiciele twórczości Józefa Mackiewicza, zdaniem wielu największego polskiego prozaika XX w., mają powody do satysfakcji. Londyńskie wydawnictwo Kontra konsekwentnie wypuszcza na rynek kolejne tomy publicystyki autora „Drogi donikąd” oraz tomy jego (i jego żony, też znakomitej pisarki Barbary Toporskiej) korespondencji. Niedawno na rynku księgarskim pojawiły się dwa tomy listów wymienianych przez nich z ważnymi postaciami pojałtańskiej emigracji: Januszem Kowalewskim oraz małżeństwem Ireną i Michałem Chmielowcami.

Listy pokazują – najdelikatniej mówiąc – nieupudrowaną rzeczywistość tej emigracji, „wizualizują” biedę, w której żyło małżeństwo Mackiewiczów. Poprzez listy poznajemy także – dla wielu może to być nieprzyjemne zaskoczenie – zamordystyczne oblicze długoletniego dyrektora polskiej sekcji Radia Wolna Europa Jana Nowaka-Jeziorańskiego. To Nowak jest najczarniejszym charakterem tych listów. Jako że listy miały charakter prywatny, opinie w nich wyrażane były dosadne, mocne, momentami wulgarne.

Szczególnie celował w tym Janusz Kowalewski.

Bieda

Mackiewiczowie, Chmielowcowie i Kowalewski po zajęciu Polski przez bolszewików układali sobie życie na Zachodzie. Barbara i Józef najpierw mieszkali w Rzymie oraz Londynie; w 1955 r. przenieśli się do Monachium, do miasta, gdzie nadawało swoje programy finansowane przez Amerykanów Radio Wolna Europa. Wydawałoby się czymś najoczywistszym, że znany z nieprzejednanego antykomunizmu publicysta i pisarz (właśnie w 1955 r. ukazały się dwie pierwsze jego powieści) albo będzie pracował w RWE, albo zapraszany będzie przed mikrofony jako gość. Nic z tych rzeczy. Żyjący w biedzie

pisarz musiał szukać innych sposobów na jakikolwiek zarobek.

Niedługo po przeniesieniu się do Monachium pisał do Janusza Kowalewskiego przejmujący list: „Zechce mi Pan wybaczyć, że [...] w osobistej sprawie do Pana się zwracam i to może najmniej dla Niego spodziewanej, a na pewno niewesołej. Czy nie ma Pan dla mnie jakiej posady? [...] Mówiąc o »posadzie«, czy raczej jakiegokolwiek pracy, nie mam naturalnie na myśli żadnego stanowiska o charakterze redakcyjno-politycznym



czy w ogóle pisarsko-politycznym. To na moje nogi dziś za wysokie progi. Ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru wyrzec się moich przekonań, słusznych czy nie, ale chcę już je zabrać do nie- zbyt odległego grobu. Chodziłoby więc raczej o jakąś pracę anonimową, zawodową, techniczną, cokolwiek, możliwie nie fizycznego, bo na fizycznej już się wykończyłem pod sowiecką i niemiecką okupacją”.

Kowalewski niestety nie był w stanie pomóc i do końca życia Mackiewiczowie żyli w biedzie, w dwóch skromnych pokojach wynajmowanego w Monachium mieszkania.

Temat warunków bytowych przewijał się w listach i do Kowalewskiego, i do Chmielowca. Mackiewicz pisał: „Pieniądzy nie mam żadnych. Nawet nie wiem, czy w lipcu będę miał co jeść”, „nasza sytuacja finansowa jest rozpaczliwa”, „jestem tak biedny w tej chwili, że byłbym Panu wdzięczny, jeżeli to naturalnie możliwe, w drodze wyjątku, za honorarium nie po wydrukowaniu, a po otrzymaniu rękopisu”. Józef i Barbara żyli głównie ze skromnych honorariów wypłacanych za książki i artykuły publikowane w emigracyjnych pismach (głównie przez londyńskie „Wiadomości” i paryską „Kulturę”), niejednokrotnie zmuszeni byli ściągać pożyczki u znajomych. W niektórych okresach wspierali ich finansowo przyjaciele, znajomi oraz miłośnicy jego książek, którzy założyli Koło Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza i w miarę swoich – skromnych zazwyczaj – możliwości starali się wspierać Mackiewiczów drobnymi datkami.

Indeks Nowaka

A dlaczegoż to mając pod bokiem sekcję polską RWE, pisarz nie mógł tam pracować, występować? Dlaczego nie czytano tam fragmentów jego prozy, co mogłoby mu dać honoraria autorskie? Dlaczego był na Nowakowym indeksie? Dyrektor rozgłosił (który zresztą nigdy w życiu z Mackiewiczem się nie zetknął) zwał pisarza za konsekwentny, absolutny antykomunizm, za krytykę Armii Krajowej (którą pisarz w listach określał zazwyczaj jako sowieckich kolaborantów), a także za domniamaną kolaborację pisarza z Niemcami podczas okupacji Wilna w czasie drugiej wojny, o której No-

wak i część emigracji snuli najfantastyczniejsze domysły, dając posłuch plotkom, oszczerstwom, kalumniiom (zainteresowanych szczegółami tzw. sprawy Mackiewicza odsyłam do „Ptasznika z Wilna” Włodzimierza Boleckiego).

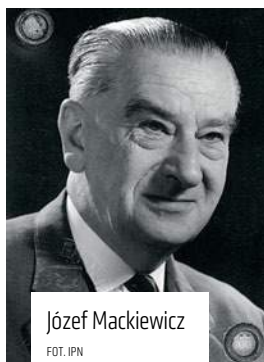
Pół biedy, gdyby to zwalczanie ograniczało się do anteny RWE. Nowak starał się jednak poprzez swoich totumfackich i przez swoje wpływy (a te niestety miał duże) utrudniać Mackiewiczowi jakąkolwiek działalność publicystyczną. W 1961 r., w liście do redaktora naczelnego londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” Aleksandra Bregmana, Nowak pisał wprost, że jego celem jest zamknięcie Mackiewiczowi możliwości publikowania: „Myślę, że polityczne wypowiedzi J. Mackiewicza nieprędka będą drukowane w emigracyjnej prasie. A tylko o to powinno nam chodzić”.

Starał się też Nowak blokować możliwość obcojęzycznych wydań książek Mackiewicza, w czym pomagali mu niektórzy

śnia była świetnym finansowo pracodawcą. Atrakcyjnej płacowo pracy nikt nie chciał stracić, zatem jego „prośba” miała w praktyce moc polecenia. Jakim szefem był Nowak, to dosadnie opisał Andrzej Świdlicki w fundamentalnej dla dziejów rozgłosu pracy „Pięknoduchy, radiowcy, szpiegdy. Radio Wolna Europa dla zaawansowanych”: „Nowak miał despotyczne usposobienie, mówiono o nim »ryczywół«, a stosunek do podwładnych porównywało się z nastawieniem kaprala do rekruta [...]. Nie tolerował krytyki swojej oceny politycznej sytuacji i był czuły na punkcie prestiżu”. A zatrudniony w RWE pisarz Włodzimierz Odojewski tak pisał o swoim miejscu pracy w liście do Giedroycia w 1973 r.: „Uciekając od totalizmu, znalazłem się w instytucji, która jest tego totalizmu esencją”.

Podwładni Nowaka wiedzieli więc, że nawet nazwisko Mackiewicza nie ma prawa pojawiać się na antenie. Pisał Mackiewicz do Kowalewskiego w 1978 r.: „Swojego czasu Free Europe ogłaszała rubrykę przeglądu prasy emigracyjnej, zaczynając od »Wiadomości«. Otóż nie tylko żaden mój artykuł nie był nigdy wspomniany, ale nawet: Toporskiej!”.

W korespondencji z Chmielowcami i Kowalewskim Nowak jest jedną z częściej pojawiających się postaci. Autor „Lewej wolnej” w tych prywatnych listach nazywał Nowaka „Wielkim Chamelem z ramienia obcej policji”, „kreaturą policyjną”, „wysoce szkodliwym krabem”. Na całość szedł Kowalewski; pisząc swoje listy, na słowa nie zważał, emocjom więzieli nie zakładał. W jego listach Nowak (a raczej nowak – konsekwentnie pisał jego nazwisko małą literą!) to: „bydlę, chore na zupełnie już kliniczną megalomanię i stalinomanię”, „skurwysyn, nadęta wiatrem historii i amerykańskimi dolarami ropucha”, „kobyłkojebca”, „stupaj z CIA”, „nerono-stalinek”, „gangster”, „wesz monachijska” itp., itd. Dzielił się z Mackiewiczami pięknymi dla siebie snami: „śni mi się nocami, że go piorę po mordzie. To ostatnio najpiękniejsze noce moich dni”. Co jednak ciekawe, kiedyś Kowalewski i Nowak w lepszej byli komitywie. W 1972 r. Kowalewski pisał do Chmielowca: „Panu Janowi Nowakowi dawałem korepetycje komunizmu – dosłownie, proszę się nie śmiać. Pan Nowak przerzucał się pospiesznie ze spraw niemieckich w sowieckie i pilnie chciał nabyć wiedzę o komunizmie



Józef Mackiewicz

FOT. IPN

podwładni, np. Tadeusz Nowakowski, o czym pisał do Mackiewicza znany tłumacz literatury polskiej Karl Dedecius.

Kilka lat później – jak pisał Mackiewicz do Kowalewskiego w 1970 r. – „na tzw. Konferencji Nowak wobec wszystkich zebranych »poprosił«, aby nikt ze współpracowników Free Europe nie pisywał więcej do »Wiadomości«. Dokładne sprecyzowanie motywacji nie jest mi znane. Tzn.: czy dlatego, że pisuję tam ja, jako wróg Free Europe, czy też dlatego, że »Wiadomości« jako takie zwalczają Free Europe”. Tą „prośbą” Nowak de facto wymógł na podległym mu zespole RWE, żeby nikt z tego grona nie posyłał swoich tekstów do „Wiadomości”.

Nowak był w sekcji polskiej RWE faktycznym dyktatorem, wszyscy się go bali, a dla pojałtańskiej emigracji rozgło-

■ i Sowietach. Uczyłem go pilnie historii Kominternu, taktyki i strategii leninizmu – stalinizmu i podstaw marksizmu – za 15 funtów miesięcznie”.

Wolność słowa przede wszystkim

Józef Mackiewicz, będąc nieprzejeannym wrogiem bolszewizmu, w wielu swoich tekstach pisał rzeczy dla części emigracji bulwersujące, oburzające. Wielu wrogów przysporzyły mu książki i teksty, w których oskarżał Kościół, papieża, prymasa Wyszyńskiego o uleganie komunizmowi. Autor „Zwycięstwa prowokacji” na krytykę się nie obrażał; chciał tylko, aby nie odmawiano mu prawa do wyrażania własnych poglądów, nie blokowano możliwości publikacji. Fascynujące było to jego bezkompromisowe domaganie się wolności słowa, wolności pisania tego, co się uważa za słuszne. Włodzimierz Bolecki nazwał go „fundamentalistą w sprawach wolności”.

Mackiewicza mierzyły prośby, sugestie, napomnienia ze strony redaktorów „Wiadomości”, którzy czasem prosili go o zmianę niektórych sformułowań, o stępienie fraz, które mogłyby urazić Nowaka, katolików czy kombatantów AK. Zazwyczaj na zmiany się nie godził, mimo że tracił na tym finansowo. Ponieważ Mackiewicz – jak najślusniej – uważał zawsze, że najważniejsze są: wolna myśl, wolne słowo, możliwość nieskrępowanego przez żadne układy, koterie, autorytety prezentowania swoich przekonań.

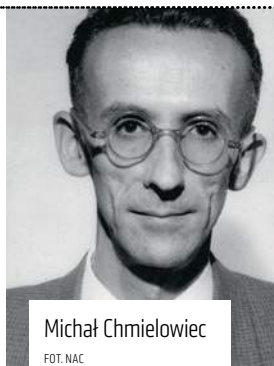
W tym podejściu sekundowała mu żona Barbara, która w liście do Kowalewskiego znakomicie zdefiniowała, czym tak naprawdę jest wolność słowa: „Literatura zresztą w każdym społeczeństwie wolnym jest przede wszystkim probierzem wolności. Bez prowokującej, bez drażniącej, bez heretyckiej, bez złośliwie tendencyjnej literatury nigdy nie wiadomo, czy deklarowana wolność słowa czy deklarowana tolerancja rzeczywiście istnieją”.

Pisanie bywało dla małżonków trudne z powodu biedy, a zabieganie o wydawców, o reklamę często napotykało trudności, próby blokowania, nawoływania do bojkotu podejmowane ze strony np. Stowarzyszenia Polskich Kombatantów czy niektórych struktur grupujących

weteranów AK. Mackiewicz narażał się powieściami odbiegającymi od emigracyjnej poprawności, zbierał cieżę za krytykę Piłsudskiego, Armii Krajowej. Lektura listów pozwala zaryzykować stwierdzenie, że gdyby Mackiewiczowie mieli komfort bytowy, finansowy, to ich dorobek byłby o wiele pokaźniejszy.

W liście do Chmielowca autor „Kontry” pisał w 1965 r.: „Mam w planach wielką rzecz historyczną pt. «Genialna rodzina», o Giedymowiczach. Na planach się skończy. Bardzo mnie też do tego zachęcał Giedroyc, jak u nas był. Tylko że na to trzeba dwóch lat – pieniędzy, których on, oczywiście, nie ma – nie da. Przy okazji wysupłałem pewną tajemnicę: dyktatorem literatury polskiej jest też – Nowak... Bo każdy wydawca polski za Zachodzie bierze w kalkulacji pod uwagę tę ilość egz., którą zakupi Free Europe, mająca na to specjalne fundusze dla przetrzucania do Polski. Ilość tych egzemplarzy zależy od fantazji i upodobań Nowaka. Więc każdy wydawca, który mnie drukuje, już ma ten minus, że Nowak mnie odrzuci!”. Jakżeż żal, że ta powieść o Giedymowiczach nigdy nie powstała!

A te powieści, które powstały, które udało się wydać, jakie miały nakłady? Rok temu ukazał się tom korespondencji Mackiewiczów z Juliuszem Sakowskim, dyrektorem Polskiej Fundacji Kulturalnej (PFK). Lektura tamtego tomu przyniosła – dla mnie przynajmniej – wstrząsające informacje o nakładach tych ponadczasowych (dzisiaj już jest to oczywiste) powieści Mackiewicza. Otóż w czasach, kiedy w PRL w dziesiątki i setki tysięcy szły nakłady książek różnych Czeszków czy Machejków, pierwsze wydania powieści Mackiewicza drukowano w nakładzie rzędu 1,8 tys. („Droga donikąd”) czy 2 tys. („Kontra”) egzemplarzy.



Sakowski, pilotując wydanie „Lewej wolnej”, pisał do Mackiewicza, że PFK planuje wydrukować 1,5 tys. egzemplarzy tej powieści, a zadowolony będzie, jeśli się uda sprzedać 1,2 tys.!

Czytając korespondencję z Chmielowcami i Kowalewskim, co rusz natykałem się na fragmenty, pojedyncze zdania, napomknięcia o sprawach ważnych, intrygujących, nieznanach. Ileż tam w tych listach wątków, ciekawostek, o których z braku już miejsca można tylko sygnalizacyjnie wspomnieć. Można się dowiedzieć np., że Jerzy Kosiński, autor głośnego swego czasu „Malowanego ptaka”, znał się z Mackiewiczami, odwiedził ich w Monachium, a nawet starał się znaleźć (niestety, bez efektu) amerykańskiego wydawcę dla powieści Toporskiej „Siostry”.

Mackiewicz pisał, że jednemu ze znajomych pisarza naczelnicy „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz powiedział, że prowadzona przez Nowaka „nagonka na Mackiewicza zakrawa na skandal” (Turowicz! Kto by się spodziewał!). W listach często dyskutowano o ważnych postaciach emigracji. O Miłoszu, Ciołkoszu, Giedroyciu, Hemarże, Gombrowiczu, braciach Zbyszewskich... Nie o każdym pochlebnie.

Korespondenci, interlokutorzy Mackiewiczów Chmielowcowie i Kowalewski to postaci niemal zupełnie zapomniane, chociaż w emigracyjnym Londynie były to ważne osoby. Publikowali w polskiej prasie, Chmielowiec oprócz publicystyki pisał poezję, jego żona była tłumaczką, pracowała w bibliotece... A Kowalewski (przedwojenny komunista!) napisał kilka powieści, trochę opowiadań, które nigdy

w Polsce nie doczekały się książkowej edycji. Wielka szkoda, bo – jak powiedział mi kierownik Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu Mirosław Supruniuk – jego zdaniem Janusz Kowalewski „nowelistą był genialnym, wręcz unikatowym w skali języka polskiego”.

„Ja dla Józefa nie boję się osądu historii, za gruba szyszka, żeby się historycy literatury nim nie zajęli” – pisała w 1969 r. Barbara Toporska do Janusza Kowalewskiego. Czas pokazał, że miała rację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1891–1963 / Książki i życie Gustawa Morcinka

Pisarz roztomiły



Krzysztof Masłoń

Morcinek wyrąbał chodnik Śląska do Polski – jak w tytule swej ostatniej przed wojną książki



Przemawia Gustaw Morcinek, laureat nagrody „ilustrowanego Kuriera Codziennego”, 1936 r. FOT. NAC

W 1939 r. Maria Dąbrowska spędzała wakacje w Jaworzu, w domu Henryka Józewskiego. W czwartek, 20 lipca, do towarzystwa, z którym siedziała przy kawiarnianym stoliku, przysiadło się dwóch pisarzy: Gustaw Morcinek i Michał Rusinek. „Rusinek i Morcinek – notowała w dziennikach – ci, o których Minkiewicz (czy Gałczyński) napisał satyryczny wiersz o tym, że aby uniknąć czytania tych

pisarzy w wypisach szkolnych, musi się wyrzec dzieci. Wiersz ze sławną zwrotką: »Tak przez Morcinka i przez Rusinka będę bez córki, będę bez synka«. Obaj ci pisarze bardzo w pióra porośli. Rusinek w ślicznym drogim garniturze z białej wełny, Morcinek ma już własne auto, którym woził Elżunię w ostantacyjny sposób nią zachwycony”.

W „Fanfarze zaolziańskiej” finalizującej sławną „Sztafetę” Melchior Wańkowicz opowiada o tym, jak Czesi 1 października przyjęli polskie ultima-

tum, czyli granicę 5 listopada 1918 r. „Zaolzie nasze! – dawał się Wańkowicz ponieść entuzjazmowi. – Nasz jest Cieszyn, leżący po tamtej stronie, nasza jest Karwina węglonośna. Łazy – siedziba polskich wielkich spółdzielni, nasz jest Bogumin, serce komunikacyjne naddunajskiej Europy, węzeł na wymarzonej niemieckiej drodze Berlin–Bagdad! Nasz jest przemysłowy Frysztat, nasz jest kolos hutniczy Trzynieć, nasz jest Jabłonków, stolica rolniczego najszczerzej polskiego Zaolzia, i nasze za nim przełęczce i dukty, wiodące nas ku ciepłym stokom, na Dunaj!... Naszą jest Końska, rodząca wypróbowanych działaczy polskich i Darków źródłami leczniczymi słynący, i stara Bystrzyca. Olza jest naszą wewnętrzną rzeką jak Wisła!”.



Reporter – relacjonuje – bierze auto i jedzie do Skoczowa: „Miłe miasteczko z fontanną w starym rynku, ciche okragły rok – czytamy – na które trudno patrzeć inaczej niż oczami Morcinka. [...] Knapy pełne. [...] Ostatnią Borowiczki dobija mnie »Roztomiły Gustlicek« – Morcinek. Odwioził do Górek Zofię Kossak (tam to go przed laty poznałem) i wrócił świętować wielki dzień w miasteczku, o którego różnych fazach dziejowych już tyle pisał”.

Odwiedza Wańkowicz szkoły, uczestniczy w otwarciu polskich gimnazjów. Któregoś dnia – znów z Morcinkiem – jedzie do Jaworza, do domu wypoczynkowego – szkoły dla najmłodszych dziewczyn, z Trzyna, Karwiny i Frysztatu. A potem konstatuje: „Rozumiem teraz jeszcze lepiej, czemu Morcinek to pisarz najbardziej umiłowany przez młodzież. Taką palną baję o »utopcu« (wodniku) pod Darkowem, że wszystkim nam oczy na wierzch wylaży, potem nie mógł się doliczyć paluszków u małej Frysztadzianki, którą bolały ząbki: w jedną stronę było ich pięć, a w drugą dziewięć. Za to dane przeze mnie zadanie rozwiązały celująco: na pytanie, ile ma lat dorożkarz, jeśli dorożka ma dwadzieścia lat, a koń osiem lat, wszystkie bez żadnego wahania orzekły, że »dwaścia osim«”.

Bohater tych historii, Gustaw Morcinek, urodził się w Karwinie. Ojciec jego zginął w wypadku rok po jego urodzeniu. Młodość miał nielekka, musiał łączyć naukę z dorywczą pracą. Działał



Gustaw Morcinek FOT. NAC

■ jednak aktywnie w Stowarzyszeniu Robotników Katolickich „Praca” i w Towarzystwie Szkoły Ludowej. Dzięki otrzymanemu stypendium ukończył seminarium nauczycielskie. W pierwszej wojnie światowej służył w wojsku austriackim, na froncie został poważnie raniony. Później pracował w szkołach, w wojsku zaś, już polskim, dosłużył się stopnia porucznika. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, po której powrócił do Skoczowa, gdzie pozostał na stałe i pracował jako nauczyciel.

Literacko debiutował późno, bo w 1929 r., „Sercem za tamą”, ale rozpiął się następnie niezmiernie, wydając książkę za książką. Niemal od razu w jego piarstwie dominować zaczęła tematyka górnicza, co było naturalne, zważywszy na to, że pracę na kopalni znał z autopsji. Wyczulony był też na problematykę narodowościową, wywodził się przecież ze Śląska Cieszyńskiego. Najgłośniejszymi z jego powieści wydanych przed 1939 r. były: „Inżynier Szeruda” i „Wyrąbany chodnik”. W tej ostatniej książce chodziło o symboliczny chodnik Śląska do Polski. Cieszył się pisarz poparciem Kościoła i prasy katolickiej, ale warto też wspomnieć, że na krótko związał się z grupą Przedmieście.

Szczególną popularność zdobył Morcinek jako autor książek dla młodzieży. Największą sławę zdobyło jego opowiadanie „Łysek z pokładu Idy”, „żelazna” pozycja obowiązkowych lektur szkolnych.

Przeżył Morcinek aż sześć lat kacetu, gdyż w obozie znalazł się już w roku 1939, a z Dachau wyszedł dopiero w kwietniu roku 1945. Nawiasem mówiąc, Niemcy zarejestrowali go pod innym imieniem, co prawdopodobnie uchroniło go przed śmiercią, poszukiwano go bowiem od razu jako działacza plebiscytowego, znanego działacza walczącego o polskość Śląska. Niebawem po wyzwoleniu napisał, jeszcze przed powrotem do kraju, książki: „Listy spod morwy”, „Dziewczyna z Pól Elizejskich” (w tomie tym jako jeden z pierwszych opowiedział obozową historię o Maksymilianie Kolbego) i „Listy z mojego Rzymu”.

Z kolei jego „Listy” – pisał Piotr Kuncewicz – „to rodzaj eseju w postaci listów, adresowanych w pierwszym wypadku do bliskiej kobiety, Władki, w drugim do »Jana z Bogumina« (adresat, Jan Kuglin, był drukarzem, wydawcą i przyjacielem Morcinka). „Listy spod

morwy” są pisane na wsi francuskiej, w pobliżu Alp, nad Izarą. Plan współczesny miesza się z planem obozowym. Jest to także relacja obozowych koszmarów, lecz także próba moralnego przezwyciężenia. I tu zdarzają się, wedle naszych pojęć, mimowiedne kiksy, jak wychwalanie polskiego poziomu moralnego »poza jednym wypadkiem homoseksualizmu i jednym wypadkiem nałogowego samogwałtu, doprowadzającego swą ofiarę do zupełnego zidiocenia, a następnie do śmierci na oddziale dla umysłowo chorych«, ale poza tym rzecz wymaga bardzo poważnego traktowania. Bo czyż nie jest dla wierzącego chrześcijanina problemem niemożność odmówienia pacierza, w którym przecież należy bezwarunkowo wybaczyć swoim winowajcom? »Listy z mojego Rzymu« są w jakimś sensie kontynuacją książki poprzedniej, zarówno w warstwie kompozycyjnej, jak i moralistycznej”.

A tematykę górniczą kontynuował w Polsce, m.in. socrealistycznym „Pokładem Joanny”, za który dostał w 1951 r. Nagrodę Państwową II stopnia.

Ślązak nie strzymał

30 marca 1953 r. Maria Dąbrowska zapisała w swoich „Dziennikach”: „[...] zaraz po tej śmierci przemianowano Katowice na Stalinogród, a województwo katowickie na stalinogrodzkie. Podobno na wniosek radnego [?! – przyp. K.M.] Gustawa Morcinka!! Nie mówiąc, że w narodzie to budzi wściekłość, nawet z rządowego punktu widzenia, jakie to głupstwo! Najpierw, mogli byli znaleźć jakąś polską formę tej nazwy, np. Stalinowice, a potem, co za pomysł mieli nazwać tak Katowice. Każdemu bez wyjątku od razu przyszło na myśl: kat umarł, więc Katowice tylko mogli jego imieniem nazwać. Cała Polska to powtarza, dodano też zaraz dowcip, że obóz pracy Małęcin [naprawdę Mielęcin

lub Miłęcin – przyp. K.M.] przemianują na Beriostrój, a Świnoujście – na Małenkowo. Ale istoty wypadków, które nadchodzą, nie da się załatwić dowcipami. Idą ku światu rzeczy bardzo serio, a jakie, to nie wiadomo. Może, jak chce dowcip o muzyce w radiu: dobre lub złe, ale zawsze radzieckie (nadajemy muzykę dobrą lub złą, ale zawsze radziecką)”.

Posłem był z ramienia Stronnictwa Demokratycznego, do którego wstąpił w roku 1950, przez jedną kadencję – w latach 1952–1956. Z trybuny sejmowej przemawiał w tym czasie tylko raz, właśnie 27 kwietnia 1953 r., gdy wystąpił jako sprawozdawca dekretu Rady Państwa o przemianowaniu miasta Katowice na miasto Stalinogród i województwa katowickiego na województwo stalinogrodzkie. No i plótł bez umiaru:

„Gdy na ulice Katowic wjechały pierwsze czołgi radzieckie, a za czołgami weszły pierwsze oddziały Armii Czerwonej, niewiele było chyba miast w Polsce, które by witały z takim rozrzewnieniem i radością swych wybawicieli. Ślązak z natury jest twardy i chropowaty. Tu jednak nie strzymał. Radość jego była tak wielka, że płakał ze wzruszenia. Widział kto płaczącego górnika lub hutnika śląskiego? Nikt nie widział i wątpię, czy kiedy zobaczy. Robotnik śląski był wdzięczny Armii Radzieckiej za jej ofiarę, a najgłębszą wdzięczność zaczął żywić od tej chwili do towarzysza Stalina, który mu przyniósł nową upragnioną wolność. Mało! Towarzysz Stalin przyniósł Ślązakowi nie tylko wolność społeczną, ale i wolność narodową. Wszak dzięki niemu Śląsk po tylu wiekach niewoli niemieckiej został nareszcie przyłączony do Polski. Spełniły się marzenia, takie zuchwałe marzenia śląskich działaczy, i spełniły się nawet marzenia Długosza, który pragnął, umierając, by kiedyś Śląsko wróciło do Polski, gdyż wtedy miałby słodszy odpowiednik w grobie”.

„Ne odpowiemy już na pytanie – piszą w wydanej przez IPN pracy »Działalność poselska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy« Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Lucyna Sadzikowska – kto imiennie wydał Morcinkowi polecenie oraz w jakich okolicznościach, gdyż w archiwum sejmowym nie ma dziś dokumentów, które pozwalałyby odtworzyć przebieg samego wydarzenia, dysponujemy tylko relacją prof. Kazimierza Wyki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, także w tamtym czasie posła do Sejmu, której czytamy:

»[...] błąd jak ściana (sic!) Morcinek drętym głosem odczytał zresztą tekst tego hurra nazewnictwa. [...] głosowali wszyscy ze spuszczonej głowami [...]. To był człowiek schorowany, zmęczony... cóż miał robić? Co my mogliśmy zrobić?...«.

Sam Morcinek, już po Październiku '56, wracając do tamtego wydarzenia, twierdził, że „dobrzy ludzie pomogli mi napisać piękne przemówienie, ja wygłosiłem je i na tym się skończyło. Do dzisiaj zaś nie wiem, kto właściwie był sprawcą tego przemianowania. Zreferowałem więc wtedy, jak umiałem wydukać z karteluska, prasa owo zreferowanie wydrukowała i czytelnik nabrał przekonania, że to ja jestem owym nieszczęsnym winowajcą”. Tak rzeczywiście było.

A przecież pisarz, rzeczywiście, był w tym przypadku tylko „przekaznikiem” decyzji, która zapadła wcześniej i na którą nie miał wpływu. A dlaczego akurat on został wybrany do zakomunikowania narodowi ze szczególnym uwzględnieniem Ślązaków tej „radosnej” nowiny? Autorki „Działalności poselskiej Gustawa Morcinka...” tak to ujęły:

„Morcinek miał też po temu »dobry życiorys«, robotnicze pochodzenie, pracę na kopalni (więc pisarz robotnik) i tzw. awans społeczny, tyle że nie w Polsce Ludowej, lecz jeszcze w »Polsce sanacyjnej«. Bardzo deklaracyjnymi książkami, takimi jak »Pokład Joanny«, »Victoria«, »Zabłąkane ptaki«, także wieloma opowiadaniem, a przede wszystkim godząc się na straszliwą kastrację ideologiczną »Wyrąbanego chodnika« (np. usunięcie scen religijnych), wypowiadał swoje »tak« władzy ludowej. Ale kwestia podstawowa sprowadzała się do tego, że był wówczas najwybitniejszym, rozpoznawalnym postaciami ze Śląska. Tacy przodownicy pracy jak Franciszek Apryas, Bernard Bugdoł, Błaut, Wiktor Markiećka, Wincenty Pstrowski – często postaci tragiczne, a zarazem stanowiące temat dowcipów – znakomicie wypełniali schemat szczęśliwej klasy pracującej. Nikt z nich jednak nie miał takiego autorytetu i takiej popularności jak Morcinek, który do tej roli nadawał się wręcz idealnie”.

Jako poseł interweniował w bardzo wielu zwyczajnych, ludzkich sprawach, często żalonych, niekiedy przerażających. Z różnym skutkiem, niekiedy jego autorytet jako pisarza i człowieka, bo nie tylko poseł, okazywał się pomocny, ale – nie łudźmy się – nie było tak zawsze.

A zdarzały się i takie interwencje jak ta, którą dokumentuje list wysłany 3 kwietnia 1953 r. do „Obywatela Posła Gustawa Morcinka, Sejm, Warszawa” przez Ludwika Kukłę, stróża, z miejscowości Kobiór, powiat Pszczyna:

„W dniu 23 marca br. Wręczyłem Obywatelowi Posłowi w Pszczynie pismo w sprawie zwolnienia mojej córki Jadwigi Duży, ur. Kukła, z Kobióra, skazanej na 18 miesięcy obozu orzeczeniem Delegatury Komisji Specjalnej w Stalinogrodzie z dnia 17 i 1953 [to były jeszcze Katowice! – przyp. K.M.] za zakupienie w dniu 5 I 1953 r. w Kobiórze 10 kg cukru. W piśmie tym podałem, że wniosła Jadwiga Duży do Komisji Specjalnej w Warszawie o uchylenie w drodze nadzoru orzeczenia Delegatury w Stalinogrodzie i że pismo w tej sprawie pozostało bez odpowiedzi. Obecnie pozwalam sobie zawiadomić Obywatela Posła, iż Komisja Specjalna w Warszawie pismem nr II CKS 365/53 z dnia 21 III 1953 r. doniosła, iż nie znalazła podstaw do zmiany w trybie nadzoru orzeczenia Delegatury Komisji Specjalnej w Stalinogrodzie z dnia 17 stycznia 1953 r. W tym stanie rzeczy pozostaje tylko prawo łaski Rady Państwa. Upraszam zatem jeszcze raz Obywatela Posła o poczynienie odpowiednich kroków, aby córka Jadwiga Duży została zwolniona od tak dotkliwej kary, zwłaszcza że była ona w leczeniu oraz że ma na wychowaniu dwoje małoletnich jeszcze dzieci”.

Po czterech miesiącach ten sam Ludwik Kukła kolejny list do „Obywatela Posła Gustawa Morcinka” wysłał do Skoczowa, pow. Cieszyński:

„Potwierdzając odbiór pisma Obywatela posła z dnia 7 sierpnia br. oraz załączonego pisma Kancelarii Rady Państwa z dnia 3 sierpnia br., niniejszym serdecznie dziękuję w imieniu ob. Jadwigi Duży, jej całej rodziny oraz wszystkich krewnych wraz ze mną, których brak matki i żony, a dla nas drogiej córki wzruszył do głębi, tym bardziej że stan jej zdrowia był w tym czasie szczególnie zagrożony. Czuję się zobowiązany wobec Obywatela Posła za skuteczną interwencję, jaką Obywatel Poseł przeprowadził

w Radzie Państwa za moją prośbą, i dlatego niech moje szczere i proste słowa podziękowania będą dowodem uznania za pracę, którą Obywatel Poseł włożył celem załatwienia prośby jednego ze swoich wyborców. W imieniu wszystkich zainteresowanych raz jeszcze dziękuję za skuteczną interwencję i pozytywne załatwienie naszej prośby o zwolnienie z więzienia ob. Jadwigi Duży i pozostaję z wielkim szacunkiem do Władzy Ludowej i Obywatela Posła”.

Ludzie są dobrzy

Skarżył się na nawał obowiązków, które odciągają go od pisania, a ono było zawsze dla niego najważniejsze. Jego nowe książki nie dorównywały jednak przedwojennym, choć warto przypomnieć jego zbeletryzowaną autobiografię

„Czarna Julka”, zabawne opowieści z tomu „Siedem zegarków kopał Joachima Rybki”, no i wiele utworów inspirowanych śląskim folklorem z powieścią „Ondraszek” na czele. Talentem śląskiego bazarza błysnął również w książkach adresowanych głównie do młodzieży, takich jak „Roztomili Ludkowie”, „Jak górnik Bulandra diabła oszukał” czy – po prostu – w „Bajkach śląskich”.

Pracował też cały czas nad powieścią o życiu Śląska. Pod tytułem „Górnicy zakon” ukazała się rok po śmierci pisarza, który zmarł przed Bożym Narodzeniem 1963 r. Powieść ta nawiązywała do jego wcześniejszych utworów poświęconych śląskiemu górnikom. Natomiast cztery miesiące przed śmiercią wysłał drukiem mniej znana książka Morcinka „Opowieść o ludziach w pociągu”. Krytyka zwracała uwagę, że w tych bezpretensjonalnie przedstawionych losach zwyczajnych ludzi dochodzi do głosu, jakże charakterystyczna dla tego prozaika, wyrozumiałość dla ludzkich słabości, życzliwość i dobroć. W końcu jedną ze swoich najbardziej poczytnych książek, wydaną jeszcze w 1935 r., zatytułował – „Ludzie są dobrzy”. Może się nie mylił. Nie wiem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



W 1959 r. w górach Uralu zginęło dziewięć turystów. Tragedia na przełęczy, noszącej od tego czasu imię kierownika wyprawy Igora Diatłowa, nie przestaje intrygować, choć minęło już od niej ponad 60 lat. Tragedia ta należy do tych tajemniczych wydarzeń i zjawisk, których natura nie została wyjaśniona i wokół których pojawia się wiele hipotez. Na temat śmierci turystów na górskiej przełęczy powstały liczne książki i filmy proponujące rozwiązanie zagadki.

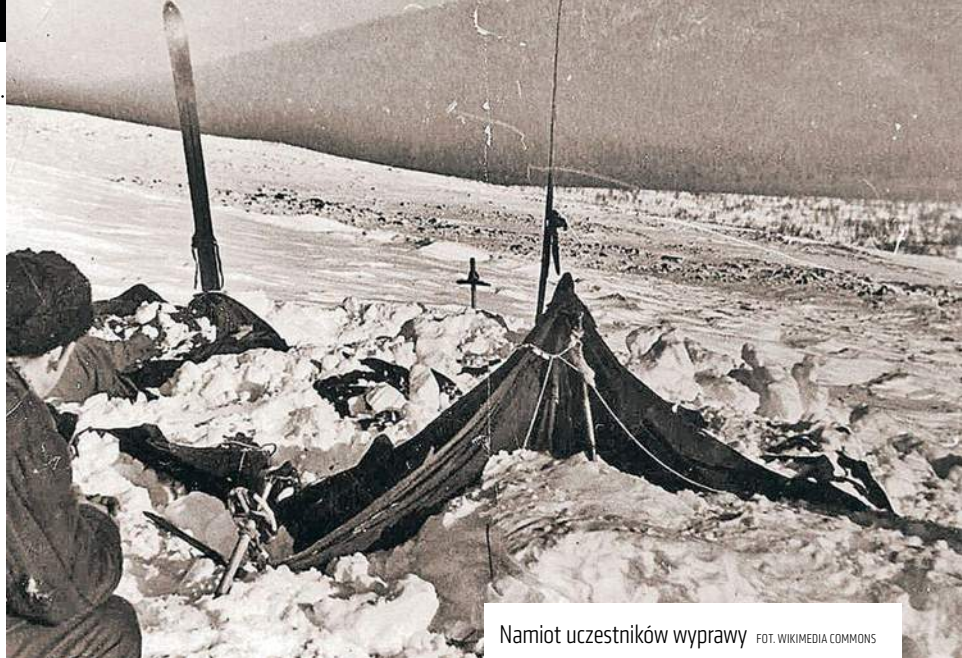
Hipotezy mówią o morderstwie, dzikich zwierzętach, lawinie, huraganie, wiążą tragedię z testami wojskowymi, ze szpiegostwem, z pracą jednej z ofiar w elektrowni atomowej, w której doszło do wybuchu i dużego skażenia, co utajniono.

Alice Lugen nie przedstawia własnej wersji, zbiera natomiast wszystkie, które się pojawiły. Czy książka z tego powodu rozczarowuje? Wręcz przeciwnie! Czytelnik pozostaje z własnymi myślami i sam może wybrać tę hipotezę, która wydaje mu się najbardziej prawdopodobna.

Grupa turystów, studentów i absolwentów politechniki w Swierdłowsku oraz starszy od nich mężczyzna postanowili dokonać pierwszego zimowego wejścia na szczyt Otorten. Trudność nie polegała na jego wysokości, lecz na ciężkich warunkach klimatycznych w górach Uralu. Wszyscy jednak byli zahartowanymi, doświadczonymi turystami. Gdy nie dali znaku życia w umówionym terminie, rozpoczęła się akcja poszukiwawcza. Znalaziono pusty namiot, zasnurowany, ale rozpruty od wewnątrz, a ciała leżały w odległości około kilometra od niego. Niektórzy uczestnicy fatalnej wyprawy byli ubrani w kurtki i buty, inni mieli na sobie jedynie koszule i skarpety, choć panował kilkunastostopniowy mróz. Coś musiało przerazić dziewięć ludzi tak bardzo, że natychmiast opuścili namiot. Nie wiadomo co. Tak czy inaczej nie wrócili już do namiotu, pozostali na mrozie i umarli.

Oficjalnie przyjęto, że zginęli z wychłodzenia, choć lekarz stwierdził, że dwie osoby miały połamane zębra, co spowodowało krwotok, a jedna z nich pękniętą czaszkę. Urazy te uznał za działania „potężnej siły”.

Pół wieku po tragedii prokurator prowadzący śledztwo przyznał, że jego konkluzje nie odpowiadały prawdzie i prze-



Namiot uczestników wyprawy FOT. WIKIMEDIA COMMONS

1959 r. / Śmierć na przełęczy

Zagadka górskiej tragedii

prosił rodziny ofiar. Był zresztą drugim prokuratorem w tej sprawie, pierwszy został usunięty za krnąbrność i nieporządkowanie się partii. A ta chciała sprawę tragedii jak najszybciej wyciszyć. Rozważano zrzuć odpowiedzialności na lud Mansów, którego członkowie mieliby zamordować turystów.

Rodzinom nie okazano ciał, a materiały śledztwa zostały utajniono na 50 lat. Akta nie miały sygnatury. A potem były one udostępniane z oporami i niekompletne. Dlaczego? Jedna z hipotez głosi, że chciano ukryć, iż dziewięć turystów padło przypadkowymi ofiarami testowania broni rakietowej. Mogli zostać zabici przez podmuch eksplozji. Gdy doszło do tragedii, na niebie nad Uralem widziano świeące obiekty, kule ognia. Nie jest rozstrzygnięta kwestia, czy zanim na przełęczy pojawiła się ekipa ratownicza, byli tam ludzie, którzy mogli usunąć ślady związane z domniemaną eksplozją rakiet.

Nie wiadomo też, czy jedna z ofiar, starszy od pozostałych mężczyzna

o niejasnej biografii, który wręcz wprosił się na wyprawę, rzeczywiście spoczywa w grobie. Ekshumowano w 2018 r. jego szczątki. Dwa badania DNA dały dwa odmienne rezultaty. Prywatne laboratorium wykluczyło, że szczątki należą do turysty, państwowe – wprost przeciwnie.

W 2019 r. rosyjska prokuratura wznowiła śledztwo w sprawie tragedii na Przełęczy Diatłowa. Uderzające jest to, że nie będzie badała hipotezy wypadku związanego z wojskiem. W tytule książki są słowa „historia bez końca”. Czas może kiedyś dopisać ostatni rozdział do górskiej tragedii. ©©

Tomasz Stańczyk



ALICE LUGEN
„TRAGEDIA NA PRZEŁĘCZY
DIATŁOWA. HISTORIA BEZ
KONCA”

CZARNE

Anioły i diabły Wołynia

To wstrząsająca historia dwóch kobiet. Polki i Żydówki. Zofii Hołubi i Inki Kagan. Obie w trakcie drugiej wojny mieszkały na Wołyniu. I obie były wówczas dziećmi. Rodzice Inki – państwo Kaganowie – uciekli z getta. Sami schowali się w stodole, a malutkie dziecko oddali polskiej rodzinie Miszczaków. Polacy mieli się nim opiekować i je uratować.

Gdy państwo Kaganowie zginęli (stodolę spaliła UPA), Miszczakowie postanowili pozbyć się żydowskiego dziecka. Zrobili to w sposób niezwykle sadystyczny i okrutny. Wrzucili malutką dziewczynkę do piwnicy i porzucili, aby zmarła z głodu.

Dziecko znajdowało się w stanie agonalnym, gdy przypadkowo odnalazła je mieszkająca w sąsiedztwie Zosia. Przez trzy miesiące potajemnie je dokarmiła, a potem sprowadziła na miejsce sąsiadkę – Natalię Roztropowicz.

„Do końca życia nie zapomnę tego widoku – pisała Natalia. – Wzbudził dreszcze, mimo że jestem dość twarda. Ujrzałam leżącą dziewczynkę. Miała gęsią skórę, wytrzeszcz oczu, szyję cienką jak patyk. Jej paznokcie były tak długie, że już się zawijały... Niemal się nie poruszała. Umieszczono ją w drewnianym

łódeczku, w dniu którego wywiercono dziury, całość wyłożono sianem. Jej mocz spływał na podłogę, ale kał już nie. Może to wytwór mojej wyobraźni, ale wydało mi się, że powiedziała „mama”. Pamiętam, że w tym właśnie momencie postanowiłam, że zabierzemy ją do siebie. Czułam jej oddech, gdy włożyłam ją pod swój płaszcz.”

Wola życia Inki była niesamowita. Pod opieką Roztropowiczów i Zosi doszła do siebie. I przeżyła wojnę! Po wojnie wyjechała do Los Angeles, gdzie zrobiła karierę i założyła rodzinę. Teraz tę niesamowitą historię – której areną był płonący Wołyń – przedstawił w znakomitej książce wnuk Zosi Mateusz Madejski.

Książka ta potwierdza starą życiową prawdę. Nie ma złych lub dobrych narodów. Są tylko źli lub dobrzy ludzie. ©©

Piotr Zychowicz



MATEUSZ MADEJSKI
„ZOSIA Z WOŁYNIA”

ZNAK

Pedofile z Poznania

Akcja kryminału retro rozgrywa się w Poznaniu w 1922 r., a rozpoczyna się odurzeniem ośmiolatki. Nie jest pierwszą porwaną przez gang dziewczynką zmuszaną do prostytucji. Śledztwo w tej sprawie prowadzi komisarz Antoni Fischer, który musi rozwikłać sprawę dwóch zabójstw. Jedną z ofiar jest klient ekskluzywnego burdelu prowadzonego przez madamme Alouette, reklamującego się „najlepszą obsługą wszystkich zmysłów”, drugim policjant, który dowiedział się za dużo.

W sprawę włącza się kolega komisarza z czasów powstania wielkopolskiego, aktualnie człowiek z półświatka. A jednym z amatorów nieletnich dziewczynek okazuje się znany działacz

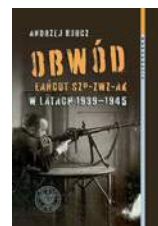
niepodległościowy płk Gatner. Książka jest inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, a pedofilski skandal z udziałem szanowanych obywateli miasta wstrząsnął międzywojennym Poznaniem. Bohaterami książki są Polacy i Niemcy, a w tle akcji przewijają się wspomnienia z frontów pierwszej wojny światowej. ©©

(t.s.)



RYSZARD ĆWIRLEJ
„ZASPIEWAJ MI KOŁYSANKĘ”

CZWARTA STRONA



ANDRZEJ BORCZ
„OBWÓD ŁANCUT SZP-ZWZ-AK W LATACH 1939-1945”

IPN

PODKARPACIE W OGNIU

Treść obejmuje Łancut i powiaty: rzeszowski, kolbuszowski, niżański, biłgorajski, jarosławski, przemyski i przeworski. Czytamy o organizacji struktur SZP-ZWZ-AK, działaniach partyzanckich i dywersyjnych oraz o przygotowaniu i przeprowadzeniu akcji „Burza”. O ofiarach żołnierzy w konspiracji i w otwartej walce przeciw obu okupantom. Wspaniała monografia. ©© (m.r.)

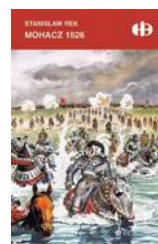


WAŁAW HOLEWIŃSKI
„POGROM 1905”

ZYSK I S-KA

ROK 1905 W WARSZAWIE

Atak na domy publiczne i sutenerów podczas rewolucji lat 1905-1907 – to jeden z epizodów powieści Waława Holewińskiego, której bohaterami są Rosjanie i Polacy, uczestnicy wydarzeń burzliwego roku 1905, carscy urzędnicy, bojownicy PPS, ludzie z półświatka. Książka przywraca pamięć o istotnym rozdziale historii Polski w XX w., w którym zapisali się m.in. Józef Piłsudski i Stefan Okrzeja. ©© (t.s.)



STANISŁAW REK
„MOHACZ 1526”

BELLONA

WĘGIERSKIE PRZEDMURZE

Przedmurze Europy. Gdy Polak słyszy to hasło, stają mu przed oczami dzieje własnej ojczyzny i liczne wojny, które toczyła Rzplita Obojga Narodów z Turkami i Moskwicami. Przedmurzem były także Węgry, o czym przypomina w świetnej książce Stanisław Rek. W 1526 r. pod Mohaczem Węgrzy powstrzymywali armię turecką. Niestety przegrali, a król Ludwik Jagiellończyk poległ. U boku Węgrów walczyli polscy rycerze. ©© (p.z.)



Żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej
w Kijowie, 1920 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

O wolną Ukrainę

Książka wyjaśnia sporo niejasności, jeśli chodzi o udział Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Dobrze też, że napisał ją historyk ukraiński, który z pietyzmem ustala fakty oraz daje nam poznać ukraiński – a swym rodakom polski! – punkt widzenia tego, co zdarzyło się 100 lat temu. Monografia Andrija Rukkas pod jednym względem spełnia oczekiwania, pod innym – nie spełnia.

Otóż pierwszy rozdział „Umowa warszawska 1920 roku – trudna droga do porozumienia polsko-ukraińskiego” wydaje się wyczerpujący i daje wiele do myślenia, natomiast drugi rozdział („Przegląd działań bojowych wojny polsko-ukraińsko-sowieckiej...”) autor potraktował nazbyt pobieżnie. Ogromną większość książki (16 rozdziałów!)

Rukkas poświęca zaś drobiazgowym informacjom o organizacji dowództwa, różnym rodzajom broni, poszczególnym oddziałom, a nawet organizacji tyłów, jednostek etapowych i warcie polowej. Niewiele jednak dowiadujemy się o samych walkach, np. o wspólnej, mężnej obronie Zamościa...

Polski czytelnik może obecnie sporo przeczytać o wyprawie kijowskiej, o jej celach i przebiegu z udziałem trzech armii polskich, wspaniałych zagonach na Żytomierz i Koziatyn – natomiast o udziale w nich Ukraińców informacji otrzymuje niewiele i często sprzecznych ze sobą. Tutaj autor wyjaśnia, że w tej fazie wojny z bolszewikami udział ten sprowadzał

się właściwie do marszu jednego kilkusetosobowego oddziału wzdłuż Dniestru (na prawym skrzydle naszej 6. Armii), a znaczniejszego wsparcia udzielała nam dywersja powstańczych ugrupowań na tyłach Armii Czerwonej

Więcej dowiadujemy się natomiast o udanej ofensywie polsko-ukraińskiej podczas kontruderzenia we wrześniu 1920 r., w której walczyło ramię w ramię z Polakami naprawdę silne zgrupowanie Armii Czynnej URL „Sowiecka 14. Armia nie wytrzymała naporu. Jej front załamał się już po pierwszych uderzeniach. Bolszewicy ratowali się pospiesznym odwrotem”. Rukkas pisze też ciekawie o jesiennej wojnie URL z Sowietami, przegranej wskutek wyprzedzającego uderzenia bolszewików. Czytamy o „zbuntowanym” oddziale polskich ochotników ppłk. Walerego Sławka, którzy „wedle myśli marszałka Piłsudskiego mieli też w razie potrzeby pełnić rolę swego rodzaju »gwardii osobistej« Atamana Głównego, chroniąc go przed grupą wojskowych z dowódcą armii gen. Omelianowiczem-Pawlenką na czele, który otwarcie krytykował propol-

ską politykę Petlury (szczególnie po zawarciu niekorzystnego dla Ukraińców zawieszenia broni) oraz zamierzał odsunąć go od władzy i ustanowić swoją dyktaturę”. ©©

Maciej Rosalak



ANDRIJ RUKKAS
„RAZEM
Z WOJSKIEM
POLSKIM”

IPN

Po prostu lekarz w zgłiszczach piekła

Można się spierać, czy dr Józef Bellert (1887–1970) był nowym wcieleniem Adama Chmielowskiego, czy zwykłym aniołem, ale on sam byłby zapewne zirytowany takimi porównaniami. Był po prostu lekarzem. Tylko dodatkowo – żołnierzem i sanitariuszem legionowym u Piłsudskiego, żołnierzem Września '39 i powstańcem warszawskim '44. Kiedy się dowiedział, że w wyzwolonym przez czerwonoarmistów KL Auschwitz przebywają jeszcze tysiące więźniów, którzy umierają z braku fachowej opieki, natychmiast ruszył z Krakowa na pomoc. Został niemal 5 tys. ludzi skrajnie

wyniszczonych, umierających na tyfus i gruźlicę, cierpiących biegunkę i skręty jelit nienawykłe do tłustych tuszonek, którymi podzielili się z nimi (ze szczerego serca!) sowieccy żołnierze. Nieszczęśnicy konali we własnych ekskrementach. Został resztki tego, co esesmani nazywali szpitalem, a co prawdziwym szpitalem nigdy nie było, oraz kilku lekarzy i kilka pielęgniarek – byłych więźniów, a także frontową sowiecką ekipę medyczną. Wraz z nimi, i z grupą ponad 30 krakowskich lekarzy i pielęgniarek, którzy przybyli wspólnie z nim, potrafił w tych zgłiszczach piekła zorganizować prawdziwy szpital polowy.

W stosunkowo niedługim czasie każdy z chorych miał własne łóżko z czystą białą pościelą. Stał się przedmiotem troski i prawdziwego leczenia za pomocą lekarstw i zabiegów medycznych. Na 4,8 tys. pacjentów dr. Bellerta 4,4 tys. przeżyło! ©©

Maciej Rosalak

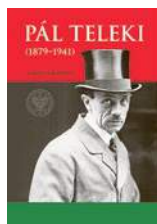


SZYMON NOWAK
„LEKARZ Z AUSCHWITZ”
ZONA ZERO

Honor węgierskiego przyjaciela Polski

Pomiędzy godz. 2 a 3 w dniu 3 kwietnia 1941 r. w swoim prywatnym apartamencie pałacu Sandorów popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę, premier Królestwa Węgier Pál Teleki. Przed śmiercią w jednym z listów skierowanych do regenta adm. Miklósa Horthyego napisał: „Staliśmy się wiarołomcami – z tchórzostwa – łamiąc traktat o wiecznym pokoju... Stanęliśmy po stronie szubrawców – bo ani słowo nie jest prawdą ze zmyślonych aktów bezprawia... Będziemy rabusiami trupa! Najnędniejszym z narodów. Nie powstrzymałem cię. Jestem winny”. Radykalne zachowanie Telekiego wynikało z nieakceptowania zgody na udział Węgier w inwazji na Jugosławię, wyrażonej przez regenta. W zamian za uczestnictwo Hitler obiecał Węgrom zwrot wszystkich terytoriów utraconych na rzecz Jugosławii po 1918 r. Pokusa odzyskania tych ziem spowodowała, że Teleki w kwestii sprzeciwu wobec niemieckich propozycji pozostał całkowicie osamotniony.

Nieco inaczej wyglądała sytuacja we wrześniu 1939 r. Jeszcze w lipcu Teleki w liście skierowanym do Führera odmówił partycypacji Węgier w inwazji na Polskę ze „względów moralnych”. Z odmową spotkała się również prośba wystosowana przez ministra Joachima Ribbentropa dotycząca możliwości przepuszczenia jednostek niemieckich i słowackich, biorących udział w działaniach wojennych przeciw Polsce, przez terytorium węgierskie. Decyzje w tych wyżej przedstawionych sprawach poparł regent oraz członkowie rządu. Propolska postawa, jaką zajął Teleki, nie stanowiła ewenementu w jego karierze politycznej. Kiedy pełnił funkcję prezesa rady ministrów w roku 1920 podczas wojny polsko-bolszewickiej, kierowany przez niego rząd zadeklarował gotowość wystawienia do walki z bolszewikami



BALÁZS ABLONCZY

„PÁL TELEKI
(1879-1941)”

IPN, WĘGERSKI INSTYTUT
KULTURY ORAZ FUNDACJA
IM. WACŁAWA FELCZAKA
W BUDAPESZCIE

legionu węgierskiego. Do realizacji tej inicjatywy nie doszło, ale Budapeszt dostarczył Polakom 58 mln naboju karabinowych, 40 mln zapalników i sporą liczbę innego sprzętu wojskowego. Naturalnie wsparcie Polaków motywowane było próbą uwolnienia Węgier z międzynarodowej izolacji i węgierskim politykom wydawało się, że droga do realizacji tego celu wiedzie m.in. poprzez pomoc Polsce.

Problematyka, która zajmowała Pála Telekiego, była bez wątpienia kwestia żydowska. Jego rząd poddał pod głosowanie parlamentarne tzw. drugą ustawę antyżydowską, przygotowaną jeszcze przez poprzedni gabinet, Béli Imrédyego. Teleki, należący do grona zdecydowanych antysemitów, był jej gorącym zwolennikiem. Premier postrzegał Żydów jako element destrukcyjny, który ze względu na daleko idącą jedność rasową, biologiczną, duchową, intelektualną i emocjonalną nie nadawał się do asymilacji. Cele wprowadzonych rozwiązań prawnych to: ograniczenie działalności publicznej Żydów, zakaz sprawowania przez nich urzędów, wprowadzenie limitów procentowych w wykonywaniu niektórych zawodów. Z rygorów przegłosowanej ustawy wyłączono żydowskich chrześcijan ochrzczonych przed 1 sierpnia 1919 r. Wbrew sugestiom różnych historyków w wprowadzenie ustawodawstwa antyżydowskiego na Węgrzech wynikało z przekonania Telekiego i nie było wynikiem żadnych nacisków niemieckich. Z pewnością, oceniane z dzisiejszej perspektywy, antyżydowskie poglądy i posunięcia premiera mogą budzić pewien krytycyzm. Ten polityk, negatywnie oceniający wpływy żydowskie w narodowym państwie węgierskim, formułował swe opinie przez pryzmat pamięci o Węgierskiej Republice Rad, w której zbrodniczych dokonaniach miało udział wielu przedstawicieli żydowskiej społeczności. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Hrabia kolekcjoner

Niechronologicznie ułożone rozdziały tworzą świetnie napisaną zbeletryzowaną biografię Ignacego Korwin-Milewskiego, ekscentrycznego hrabiego-skandalisty, ultraojalisty i wybitnego mecenasa polskich malarzy i kolekcjonera. Wacław Holewiński nie ocenia Korwin-Milewskiego, pokazuje go takim, jakim był. Z jednej strony hrabia nie budzi najmniejszej sympatii, z drugiej nie można o nim myśleć z szacunkiem. „Żadna afera, żadne przedsiębiorstwo – pisał Korwin-Milewski – nie jest w Polsce tak intratne jak rzemiosło zręcznego konspiratora, któremu sypią się bez liku pieniądze, zaszczyty i tytuły aż do chwili, gdy ziomkowie poznają się na oszustwie”. A za to „oszustwo” obalamuceni płacą krwią i mieniem. Hrabia twierdził, że konspiratorzy popychają Polaków do zguby. Miał na myśli powstania i konspiracje.

Korwin-Milewski kolekcjonował obrazy współczesnych mu artystów ze szkoły monachijskiej. O swoim zamiarze pisał: „Żeby te dzieła nie rozproszyły się, ale zostały zachowane dla Ojczyzny, gromadzę je, by świadczyły o kulturze Polski”. Hrabia zakupił m.in. „Operę paryską nocą” Gierymskiego, „Babie lato” Chełmońskiego i „Stańczyka” Matejki. Na jego zamówienie powstała seria autoportretów najbardziej znanych polskich malarzy. Niestety, kolekcja Korwin-Milewskiego, która miała trafić do Krakowa albo Lwowa, została rozproszona. Hrabia musiał ją sprzedać, gdyż popadł w kłopoty finansowe, a polski rząd nie miał pieniędzy na zakup. ©©

Tomasz Stańczyk



WACŁAW HOLEWIŃSKI
„ORAZ WYGNANI ZOSTALI”
PIW



Eurazja / Znaczenie obszarów buforowych (1)

Ekspansja Moskwy

Z punktu widzenia wielkiej strategii Rzeczypospolitej obszar rdzeniowy Rosji był otoczony przez pięć konkurencyjnych i sąsiadujących z nim ośrodków geopolitycznych: Szwecję, Rzeczpospolitą, Turcję, Persję i Chiny, położone w strefie pośredniej między Heartlandem a Rimlandem. Państwowość rosyjska była od nich oddzielona kolejnymi obszarami buforowymi, zwanymi łądnie – z dawnej polszczyzny – pograniczami.

W tym ujęciu historia Rosji była walką dominacyjną z regionalnymi konkurentami o kontrolę buforów – pograniczy. Do tego w dobie już nowoczesnej, gdy polityka międzynarodowa zaczęła dotyczyć kontynentalnych przepływów strategicznych i wielkich zasobów na obszarach o rozmiarach kontynentu, Rosję czekały globalne przesilenia z udziałem dominującej potęgi morskiej, gdy Rosja miała potencjał do zdominowania całej Eurazji i jej kluczowych ciągów komuni-



Jacek Bartosiak

/ Historia Rosji to dzieje walki o dominację nad coraz dalej sięgającymi pograniczami

kacyjnych (koniec XIX w. i zimna wojna) bądź z udziałem dominującej na kontynencie europejskim łądowej siły francuskiej lub niemieckiej (wojny napoleońskie i obie wojny światowe), które to siły obawiały się użycia Rosji przez pierwszą potęgę morską świata do blokowania konsolidacji dominacji Francji lub Niemiec w Europie.

Pogranicze bez rdzenia

Bufor – pogranicze – w sensie modelowym nie jest jakąś konkretną linią ani

granica, lecz raczej obszarem o pewnej „głębokości” i „miąższości”. Mieszkają tam oczywiście ludzie, jakoś społecznie zorganizowani, hołdują się jakimś wartościom duchowym i etycznym, wyznaje religię itp., ale obszary te nie dysponują rdzeniem. Dzieje się tak ze względu na historyczny brak niezbędnej kombinacji kilku powtarzalnych czynników: dogodnej sieci rzecznej i wodnej umożliwiającej organizację przestrzeni, a także toczącego się w jej ramach życia gospodarczego i politycznego; należytego i trwałego zorganizowania politycznego i wystarczających aspiracji politycznych; dyscypliny społecznej, która przekłada się na możliwość zorga-

nizowania państwa będącego w stanie realizować swoje interesy; zgodności ideologicznej i etycznej co do istnienia własnej organizacji państwowej, której się służy; wreszcie zdolności fiskalnych powiązanych z wystarczającym potencjałem gospodarczym przestrzeni.

Te wszystkie czynniki są potrzebne, by można było mówić o obszarze rdzeniowym państwa, takim, na jaki składają się np. doliny Wisły i Warty w Polsce – prawdziwe serce Rzeczypospolitej – czy cieśniny Bosfor i Dardanele wraz z Konstantynopolem w Turcji. Obszary będące buforami tych cech po prostu nie mają, stanowią pogranicze, peryferie, a w rezultacie stają się polem bitwy, gdzie realizowane są ambicje innych podmiotów, posiadających własne obszary rdzeniowe i napędzanych odwieczną, naturalną dynamiką, aby inkorporować na przestrzeniach lądowych strefy buforowe do rdzenia własnych imperiów.

Innymi słowy, bufor stanowią obszary pozostające w różnych odległościach pomiędzy dwoma rywalizującymi obszarami rdzeniowymi, budującymi wokół siebie „własną cywilizację” rozszerzającą się lub zwijającą, ponieważ inaczej nie jest to możliwe na obszarach lądowych, gdzie mieszkają ludzie i zachodzą codziennie ludzkie interakcje, a także zmienna dynamika sił i wpływów. Każdy rdzeń państwa graniczy ze swoim bezpośrednim buforem, potem z dalszym – tzw. pośrednim buforem, a czasem jeszcze z najdalszym buforem, który dla rywala jest już bezpośrednim, a zatem najbliższym mu buforem.

Na obszarach lądowych bezpośredni bufor określa żywotne interesy obszaru rdzeniowego, a bufor pośredni pozwala utrzymać równowagę sił i wpływów między sprzecznymi ambicjami obszarów rdzeniowych aż do momentu, gdy postęp ekspansji jednego obszaru rdzeniowego dochodzi do ostatniego perymetru obronnego, już na granicy samego obszaru rdzeniowego przeciwnika. Dzieje się tak po wcześniejszym wyeliminowaniu kolejnych buforów stanowiących pole bezpieczeństwa przegrywającego. Na skutek ekspansji powstają dwie granice: strefa inkorporowana do obszaru rdzeniowego staje się już wewnętrznym pograniczem, pozostałe stanowią jeszcze bufor zewnętrzny.

W tym momencie w stolicy rosnącego imperium zawsze pada pytanie o „optymalny” rozrost imperium, powyżej którego ekspansja staje się kontrproduktywna. Dochodzi do tego zawsze, gdy wewnętrzna granica zaczyna stanowić czynnik rozpadu imperium zamiast jego konsolidacji.

W procesie rozrostu własnej potęgi obszar rdzeniowy musi stale definiować swój stosunek do stref pogranicznych. Co do wewnętrznej granicy anektowanego pogranicza staje się ona szybko sprawą wewnętrzną imperium i trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy asymilować dany obszar, czy pozostawić mu autonomię. [...]

„Czerwona linia”

Polityka wobec obszaru buforowego, która prowadzona jest w zgodzie z zasadą bliskiej zagranicy, polega niemal dosłownie na narysowaniu na mapie tego obszaru czerwonej linii, poza którą nie wolno działać siłom innego mocarstwa, dysponującego obszarem rdzeniowym; jest to sygnał: „Zakaz wejścia” na konkretny obszar, żywotny z punktu widzenia mocarstwa, które tę czerwoną linię wytyczyło. Taka polityka ma na celu stworzenie niejako sztucznej granicy, oddzielającej interakcje ludzkie w danej przestrzeni buforowej od interwencji niepożądanych dla sygnalizującego mocarstwa. Jest to polityka wyłączenia, często stosowana przez gracza niewystarczająco silnego gospodarczo, cywilizacyjnie, a czasami demograficznie, ale za to silnego wojskowo, który jest w stanie destabilizować obszar buforowy, lecz nie potrafi cywilizacyjnie go zagospodarować.

Tak było i jest nadal często w przypadku Rosji...

Obszar buforowy – czy, jak kto woli, pogranicze (polskie Kresy) – między Moskwą a Rzeczpospolitą u szczytu potęgi tej ostatniej składał się z ośmiu różniących się między sobą obszarów: części Inflant z dolnym biegiem Dźwiny oraz Rygą, Kurlandii, bramy smoleńskiej między górną Dźwiną a górnym Dnieprem – wszystko to były bufor najdalsze lub pośrednie dla obszaru rdzeniowego Rzeczypospolitej. Kolejnym elementem tego pogranicza

była Litwa właściwa z dolną Niemną – jako bezpośredni bufor osłaniający już sam rdzeń państwa na Wiśle i Warcie. Pozostałe obszary buforowe, położone na południe od bagien prypeckich, to: Wołyń, Podole, Kijowszczyzna, czyli prawobrzeżna Ukraina, wreszcie zadnieprzańska Ukraina, lewobrzeżna, aż do wschodniego perymetru przedpola bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, graniczącego bezpośrednio z obszarem rdzeniowym Rosji (dosłownie w bezpośrednim sąsiedztwie rdzenia rosyjskiego wokół dorzecza rzek Oki i Moskwy). Perymetru wyznaczonego między biegiem rzek Worskli i Desny, do wysokości okolic Staroduba. Jeszcze w roku 1645 całość tych terenów stanowiła wschodnią część terytorium imperium lądowego Rzeczypospolitej.

Charakterystyczne dla geopolitycznych sąsiadów napięcie objawiło się podczas próby podwojenia przez Moskwę daniny od Nowogrodu, który w roku 1332 oddał się pod opiekę sąsiedniej Litwy, zapoczątkowując tym samym rywalizację litewsko-moskiewską, potem z udziałem Korony Polskiej. W dobie samodzielności politycznej Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz w początkach federacyjnych z Koroną granicą panowania litewskiego i moskiewskiej strefy politycznej była rzeka Ugra na wschód od Smoleńska płynąca między Wiaźmą a Kaługą, całkiem blisko Moskwy. Z czasem też stała się ta rzeka granicą kultury łacińskiej, zachodnioeuropejskiej – klasycznej. Jeśli chodzi o drugą stronę nurtu w tym czasie w sensie cywilizacyjnym – jak pisał Feliks Koneczny – „coś tam się na wschód od Ugry gotowało i wyrabiało, lecz kultura ta nie miała jeszcze gotowego oblicza”.

W roku 1408 Polacy mieli po raz pierwszy sposobność oglądać te ziemie, które nazywali od miasta Moskwy. Nad Ugry znajdował się bowiem wśród wojska litewskiego także oddział polski pod wodzą Zbigniewa z Brzezia; Polacy byli tu kontraktowymi żołnierzami Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Litewskie ambicje ekspansji na wschód i południe zakończyła klęska Witolda nad Worskłą w roku 1399, co pozostawiło Moskwie ogromną przestrzeń do rozwoju. Historia mogłaby się inaczej potoczyć, jak zresztą kilka co najmniej razy na wschodzie, gdyby Litwa bitwę tę wygrała.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Sukces

mimo woli

Staram się jak ognia unikać seriali telewizyjnych, szczególnie tych, które osoby godne zaufania zarekomendują mi jako dobre – bo marny można sobie w dowolnej chwili odpuścić, a dobry „wciąga” i kradnie cenny czas. Pandemia nadwątliła jednak me zasady. Z licznych sławnych tytułów wybrałem amerykański przebój sprzed 10 lat „Mad Men”. Niestety – wciągnął.

„Mad Men” to gra słów. W zasadzie chodzi o „ad(vertising) men”, czyli o ludzi od reklamy. Większość nowojorskich agencji reklamowych mieściła się przy Madison Avenue – stąd „mad”, które to słowo oznacza także szaleństwo. W ten sposób „ludzie od reklamy” stali się „ludźmi porąbanymi”. U nas przyjęło się tłumaczyć „szalonymi”, ale to nie oddaje tytułu – nasze słowo „szaleństwo” pobrzmiewa szlachetnością, a amerykańskie „mad” sugeruje coś chorego.

Drobna niedoskonałość przekładu utrudnia zauważenie paradoksu tego serialu. Jest on

Ludzie spoza branży całą tę „pedagogikę wstydu” jednak zignorowali.

Łatwe do odczytania założenie twórców było takie, by ten świat szczęśliwej, Eisenhowerowskiej Ameryki, w której nie zamykało się drzwi i bez obawy zostawiało kluczyki w samochodzie, zdemaskować jako obłudną, wiktoriańską maskaradę. Patrząc, wszyscy udawali cnotliwych, a w istocie grzeszyli na potęgę, kłamali, ile wlezie i gnębili Murzynów! Czy to jednak wskutek niezwyklej dbałości o szczegóły, czy doskonałej gry aktorów, czy staranności scenarzystów, którzy zbudowali postaci psychologicznie wiarygodne w stopniu w zwykłych serialach telewizyjnych niespotykanym, ten świat jest tak pełen wdzięku, tak, po prostu, piękny, że widz nie jest w stanie pogńiewać się na jego słabości. Zgoda, konkretni ludzie nie dorastają, z różnych przyczyn, które dzięki psychologicznemu pogłębieniu postaci widz gotów jest im wybaczyć. Jednak ta Ameryka dobrobytu, rodzinnego szczęścia, pal diabli

**/ W PRL oglądaliśmy
antyamerykańskie agitki
komunistyczne,
w zachwycie chłonąc
obrazki z USA.**

**Agitatorów politycznej
poprawności
współczesna Ameryka
potraktowała tak samo**

dziełem ludzi, którzy chcieli swym widzom pokazać, jak zła była prawicowa, „heteropatriarchalna” Ameryka lat 60., sprzed ruchu praw obywatelskich i rewolucji hipisów. Świat reklamy wybrano do tego nie przypadkiem. Czy jest coś bardziej symbolicznego dla kapitalistycznego konsumpcjonizmu, alienacji wolnego rynku i wyzysku człowieka przez człowieka? Bohaterowie prą do sukcesu za wszelką cenę, spalają się w pracy i w jej odreagowywaniu, żrą się o zlecenia jak psy i spełniają wszelkie zachcianki klientów, z maksymalnie upokarzającymi włącznie. Weterani reklamy z tamtych czasów przyjęli serial z oburzeniem – George Lois, jeden z dawnych liderów branży, przez wielu fanów uważany za pierwowzór głównego bohatera, nazwał go wręcz „wielkim głównem”.

wszelkie jej wady – czyż nie żyło się wtedy lepiej niż dziś, lepiej, w ogóle, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek?

Pobieżna internetowa kwerenda upewniła mnie w przekonaniu, że sukces serialu wynikał z przyjęcia go przez widzów odwrotnie, niż by kazała polityczna poprawność. To, co miało zdemaskować „złoty wiek” Ameryki, amerykańska masowa publiczność kupiła właśnie jako jego zmitologizowanie.

Znam doskonale ten efekt z PRL. Oglądaliśmy komunistyczne antyamerykańskie agitki, puszczając mimo ucha cały komentarz i chłonąc w zachwycie obrazki stamtąd. Agitatorów politycznej poprawności współczesna Ameryka potraktowała tak samo. Co takiego było w tym świecie? ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Jak obcy zgubili Rosję

Dopiero po prawie trzech latach od premiery udało mi się obejrzeć rosyjski serial „Demon rewolucji” z 2017 r. Ten zrealizowany z wielkim nakładem środków serial rosyjskiej telewizji wywołał szok w Rosji i zainteresowanie poza jej granicami. Serial burzył mit Włodzimierza Lenina i szerzej – rewolucji październikowej. Jest to opowieść o tym, jak Izrail Gelfand, emigracyjny finansista i zwolennik rewolucji znany szerzej pod pseudonimem Aleksander Parvus, wchodzi w kontakt z kajzerowskimi Niemcami, aby za pieniądze Rzeszy i swoje wykreować rewolucję w Rosji z Włodzimierzem Leninem na czele.

Temat – wydawałoby się – będący gotową receptą na sukces, ale jakoś omijany w Hollywood. Dopiero po stu latach zajęli się nim rosyjscy producenci z wyraźną tezą: „Rewolucja była zła, bo umożliwiła obcym siłom zawrócić Rosję z drogi do mocarstwowości”. W Putinowskiej logice Kremla Lenin był zły, bo zlikwidował silne państwo, ale już Stalin był dobry, bo siłę Rosji odbudował.

Serial ma elementy propagandy, ale też dobrze pokazuje, jak pod fasadą wszechmocy carat lat 1915–1917 był słaby i nieprzygotowany na działania rewolucjonistów. I jak wyjątkowo sprawnymi graczami byli Lenin i grupa jego towarzyszy w Szwajcarii. Ci polityczni rozbitkowie pertraktują z Parvusem i Niemcami jak równi z równymi, mnożąc

żądania i nie okazując wdzięczności za Reichsmarki.

Według autorów serialu przeciw Rosji spryskują się w tamtym czasie połączone siły jej obcych wrogów. Parvus jako bogaty Żyd mści się za klęskę rewolucji 1905 r., po której uciekł z zsyłki. Niemcy chcą usunąć Rosję ze swej drogi do podboju Wschodu. Estończyk Aleksander Kesküla pośredniczy w transferze pieniędzy dla Lenina, gdyż w upadku Rosji widzi wyzwolenie swej ojczyzny. Lenin mści się za powieszenie przez carat

/ W Putinowskiej logice Kremla Lenin był zły, bo zlikwidował silne państwo, ale już Stalin był dobry, bo siłę Rosji odbudował

rodzonego brata. I wreszcie otoczenie Włodzimierza Iljicza – dwóch Żydów: Karol Radek i Grigorij Zinowjew oraz Polak Jakub „Kuba” Hanecki. Ci czekają na upadek „więzienia narodów”. Tę sprawną koalicję wrogów Rosji próbuje zatrzymać skromna dwójka z carskiego kontrwywiadu – gen. Wasilij Turkiestanow i młody oficer Aleksiej Miezenцев.

Polskiego widza najbardziej interesuje postać Jakuba Haneckiego. Lenin nazywa go pieśczętnie „Ganieczka” i chwali jako

„towarzysza wysokowo tałanta”. W filmie „Kuba” to spec od mokrej roboty. Gdy trzeba, zlikwiduje szpicla ochrony albo poddusi opornego kontrahenta Parvusa. Aby podkreślić jego polskość, autorzy scenariusza każą mu witać się słowami „Dzień dobry”, a nie „Dobry dzień”. Tak samo polskie przekleństwo „Psia krew!” jest w filmie sygnałem, że inny ze szwarccharakterów – prorewolucyjny adwokat Mechisław Kozłowski – jest Polakiem.

A ja zadumałem się nad skomplikowanymi losami kultu rewolucjonistów w PRL. Polak Hanecki jako jeden z najbliższych towarzyszy Lenina teoretycznie powinien być usytuowany wysoko w pantheonie Polski Ludowej. A jednak wspomniano o nim niechętnie i zdawkowo.

Czyżby dlatego, że zginął w stalinowskich czystkach w 1937 r.? W Rosji Lenina zrobił karierę jako wicekomisarz finansów i szef Banku Ludowego RFSRR. Kiedy jednak Stalin zdobył pełnię władzy, zrobił go jak na pośmiewisko szefem Państwowego Zjednoczenia Muzyki, Estrady i Cyrku, a potem szefem Muzeum Rewolucji. Podobnie jak jego dwaj koledzy z emigracyjnego otoczenia Lenina – Radek oraz Zinowjew – zginęli na fali czystek. Ten ostatni wątek wydawałby się niezłą puentą do filozoficznego zakończenia serialu. Nic podobnego w serialu się jednak nie zdarzyło. W końcu jego zadaniem było pokazać, że to Lenin był zły, a nie Stalin.

A o Jakubie Haneckim w Polsce nie pamięta już nikt. ©

O upamiętnieniu Mickiewicza pomnikiem w Wilnie – mieście jego młodości i czasu studiów – można było myśleć dopiero dzięki rewolucji 1905 r. Wówczas na łamach „Kuriera Litewskiego” – pierwszej polskiej gazety po powstaniu styczniowym, założonej przez Hipolita Korwin-Milewskiego – ukazał się apel o składanie funduszków na budowę pomnika wieszczka.

Stało się to zresztą wbrew poglądom fundatora pisma, który kwaśno pisał o Mickiewiczu, że dzięki reklamie prowadzonej przez jego syna „stał się u nas jedynym uosobieniem całego narodu”, a był – według lojalisty Korwin-Milewskiego, ni mniej, ni więcej, „trucicielem duszy i myśli polskich”. Jednak sam Hipolit Milewski wpłacił 500 rubli. Jego brat Ignacy, mecenas polskich malarzy, wraz z żoną złożyli znacznie większą sumę. Konsternację i zdumienie wywołała wpłata dokonana przez kogoś, kto podpisał się jako... wnuk kpt. Rykowa z Soplicowa.

Hipolit Korwin-Milewski, wiedziony ostrożnością, kazał wpłaty lokować na koncie niepowiązanym z gazetą. Akcję zbierania pieniędzy na pomnik Mickiewicza i samą ideę wystawienia monumentu storpedował generał-gubernator wileński. Po jakimś czasie Korwin-Milewski zapytał, co się dzieje z kontem, na którym przechowywano składki. „Dowiedziałem się, że już go nie ma i zamiast posągu na wolnym powietrzu, postawiono w budynku bibliotecznym, дарowanым miastu Wilnu przez p. Włodzimierza Łęskiego... p o p i e r s i e Wielkiego Wieszczka”.

Korwin-Milewski stwierdzał, że nawet gdyby popiersie zostało odlane ze srebra, to i tak nie kosztowałoby tyle, ile pieniędzy zebrano na pomnik. Zostały w znakomitej większości zdefraudowane. Sprawcy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Korwin-Milewski ironicznie pisał, że jedną z „chlubniejszych” cech Polaków jest to, że różne zniszczenia i straty, które w innych narodach i krajach mają indywidualnych sprawców, w społeczeństwie polskim nie mają żadnych, gdyż przyjmuje się, że są rezultatem tajemniczych sił żywiołowych. „Kto od czasów Piasta lub Popieła słyszał, żeby w Polsce ktoś stłukł, zniszczył, stracił, strwonił lub sobie przywłaszczył? Były: waza, talerz, lusterko



W odsłonięciu makiety pomnika Mickiewicza według projektu Zbigniewa Pronaszki wziął udział marszałek Piłsudski FOT. NAC

XX w. / Wilno

Fatum nad Mickiewiczem



Tomasz Stańczyk

/ W latach międzywojennych powstały trzy projekty pomnika wieszczka. Wszystkie były ostro krytykowane. Żaden nie doczekał się realizacji



Pomnik Mickiewicza.
Projekt Henryka Kuny

FOT. NAC



Pomnik Mickiewicza. Projekt Stanisława Szukalskiego
FOT. NAC

i nie ma ich. Dlaczego? Wiadomo, stłukły się. Był dobry szczyryk, a jest połamany; wiadomo: zepsuł się [...] Co z pieniędzmi? Rozeszły się. I tak samo rozeszły się pieniądze na pomnik Mickiewicza.

Drewniany Mickiewicz

Nad postawieniem pomnika Mickiewiczowi w Wilnie w czasach II Rzeczypospolitej zawisło fatum. Nie powstał do 1939 r., choć były trzy projekty.

W 1921 r. zawiązał się Komitet Budowy Pomnika Mickiewicza w Wilnie pod przewodnictwem gen. Lucjana Żeligowskiego. Rzeźbiarz Zbigniew Pronaszko, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, przedstawił swój formistyczny projekt pomnika władzom Wilna, ale te go odrzuciły. Sprawę w swoje ręce wzięła armia.

Komitet Wojskowy budowy pomnika Adama Mickiewicza, na czele z gen. Leonem Berbeckim, wydał odezwę w styczniu 1924 r.: „W szerokich kołach wojskowych zakiełkowała myśl powrócenia cudownemu Wilnu nieśmiertelnego Adama. Rozkaz serca wydany”.

Wojskowi nie bawili się w konkurs i oświadczyli, że wybudują pomnik według projektu prof. Pronaszki, w związku ze stuleciem wywiezienia Mickiewicza z Wilna, po procesie filomatów. Będzie to „kolos 12-metrowy niczym owe olbrzymy – posągi w Egipcie grające przy wschodzie słońca. Potężna rzeźbiarska bryła utrzymana w formach architektonicznych”.

Powstał drewniany model pomnika dla dokonania oceny artystycznej. Został postawiony na terenie koszar, nad Wilią. Wojskowi zadbali o odpowiednią oprawę odsłonięcia pomnika 31 października 1924 r. Przybył na nią bowiem marszałek Józef Piłsudski i odsłonił pomnik.

Zdając sobie sprawę, że makieta pomnika wywoła kontrowersje, gen. Leon Berbecki, zaproponował Marszałkowi, żeby jedno oko przymknąć, drugie zamknąć i patrzeć przez szpary między palcami.

Według innej wersji Bebrecki miał powiedzieć:

„– Panie, marszałku, jednak jeżeli przymrużyć lewe oko, to ten pomnik dobrze wygląda.

– Tak, tak. A najlepiej, kiedy całkiem zamknąć oczy – miał odpowiedzieć przybyły do Wilna Marszałek”.

Propozycja Pronaszki nie spotkała się z uznaniem. Publicysta „Słowa” Czesław Jankowski pisał złośliwie, że pomnik Mickiewicza jest imponujący. „Imponuje śmiałością, z jaką prof. Pronaszko

pragnął narzucić społeczeństwu wileńskiemu Mickiewicza pojętego formalistycznie”. Jankowski opisywał pomnik jako potwornie kolosalną figurę, która zamiast podnosić ducha, tylko straszy. Natomiast poeta i krytyk literacki Witold Hulewicz chwalił projekt pomnika, uważając, że jest on o wiele bliższy duchowi wieszczu niż „bohomasz Rygiera” [pomnik Mickiewicza w Krakowie – przyp. T.S.] i inne pomniki wieszczu, w Poznaniu i we Lwowie, nazywając je „tanią tandetą”.

Wilnianie nie polubili makiety pomnika Mickiewicza. Jedną z miejskich przewodniczek wspominała: „My, przewodnicy, nie chcieliśmy przyznawać się do czegoś podobnego. Była doprawdy potworna – pisała o makiecie pomnika. – Zazwyczaj to miejsce dyplomatycznie się omijało. Inna przewodniczka, zapytana przez turystów, co to za dziwna postać, odpowiedziała, że jest to... litewski bóg Perkunas.

Makieta pomnika ucierpiała podczas powodzi i w latach 30. została rozebrana.

Szokujący Szukalski

W listopadzie 1926 r. ogłoszono wynik konkursu na pomnik Mickiewicza, na który napłynęło 67 projektów. Główną nagrodę otrzymał Stanisław Szukalski, twórca wyłamujący się z ówczesnych

*raczką się zasłania
i na księżyc patrzy.*

*I tak wciąż spoziera
w księżyc i w niebiosy,
a my z dołu widzimy
tylko dziurki nosa.*

*Prosimy więc pięknie,
zrób to, panie Kuna,
by Mickiewicz spojżał
choć raz jeden ku nam.*

Nie było decyzji co do miejsca, w którym miał stanąć pomnik. Drewnianą makietę stawiano więc na pl. Katedralnym, placu przy ul. Orzeszkowej i przy gimnazjum jej imienia na Łukiszkach. W prasie pojawił się wówczas dwuwiersz:

*A imię moje czterdzieści i cztery!
Przeście mnie ciągać, do jasnej cholery!*

Prace nad realizacją pomnika przerwała wojna. Posągu wykonanego w Warszawie w firmie Krauz i Łopieński nie zdążono przywieźć do Wilna, został zniszczony przez Niemców.

Płaskorzeźby Kuny, przedstawiające sceny z dzieł Mickiewicza – elementy cokołu pomnika – „zniszczone w sposób barbarzyński”, a pozbawione ich granitowe tablice został użyte w 1945 r. do budowy wileńskiego pomnika-mauzoleum gen. Iwana Czerniachowskiego, dowódcy wojsk sowieckich zdobywających Wilno, a także aresztował płk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, dowódcę wileńskiego okręgu Armii Krajowej. Po odsłonięciu pomnika rozpoczęła się część nieoficjalna „polegająca na masowym pochłanianiu alkoholu przez sowieckich aparatczyków, żołnierzy i robotników”.

Ocalałe płaskorzeźby Kuny zostały umieszczone przy pomniku Mickiewicza (autorstwa Gediminasa Jokūbonisa), który stanął w Wilnie w latach 80. XX w.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Ostatnie lata polskiego Wilna” (Fronda).



**SŁAWOMIR KOPER,
TOMASZ STAŃCZYK**
**„OSTATNIE LATA POLSKIEGO
WILNA”**

FRONDA

Buława pocieszenia



Tomasz Stańczyk

W polityce czasami trzeba być nieustępliwym. Czasami warto się ugiąć, by osiągnąć sukces. Te dwie strategie zaprezentowali politycy ukraińscy w latach 1919–1920. Ci ze wschodniej Galicji byli nieustępliwi. Żądali ziem do Sanu i dalej nawet. Było to stanowisko nierealistyczne. Polska nie mogła zgodzić się na utratę Lwowa, w latach zaborów centrum naszej nauki, kultury. Stanowisko ukraińskich polityków było tym bardziej nieracjonalne, że nie mieli żadnego sojusznika. Owszem, próbowali go znaleźć. W Rosji bolszewickiej. To był pomysł samobójczy. Ukraińcy galicyjscy zdradzili też rodaków znad Dniepru. Armia halicka przyłączyła się do „białego” gen. Denikina, któremu ani śniło się uznać prawo Ukraińców do własnego państwa. Ta zdrada była ciosem dla Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Ona także toczyła wojnę z Polską. Część polityków URL zorientowała się, że najgorszym wrogiem wolnej Ukrainy jest Rosja Lenina. Pierwszy układ z Polską, podpisany w maju 1919 r., został jednak storpedowany przez ich nieustępliwych kolegów. Armia Czerwona czyniła więc postępy, spychając rząd i armię ukraińską coraz bardziej na zachód. Ataman Symon Petlura był tym politykiem, który uznał, że w katastrofalnej sytuacji trzeba się ugiąć. Zrzec się części ziem, do których pretendowali Ukraińcy, na rzecz Polski, by ocalić szansę na niepodległą Ukrainę. Oczywiście, został uznany przez krótkowzrocznych polityków, nie tylko z Galicji Wschodniej, za zdrajcę.

W „Odrodzeniu Rzeczypospolitej w myśli politycznej Józefa Piłsudskiego” prof. Grzegorz Nowik pisał, że i majowa umowa z 1919 r., jak i układ z 1920 r. nie były porozumieniami równorzędnych partnerów. „Strona słabsza, a była nią wówczas Ukraina, płaciła ustępstwami na rzecz silniejszego partnera, od którego zależało tak wiele”. Profesor Nowik cytuje znamienity list atamana, w którym pisze on do swojego ministra spraw wojskowych: „Ale bynajmniej nie zapominajcie, że polscy politycy jak p. Piłsudski muszą walczyć w samej Polsce o ideę państwowości naszej, bo nie wszyscy ją rozumieją, nie wszyscy ją popierają, a są i tacy, dość jeszcze wpływowi, którzy walczą z tą ideą (wszechpolacy, endecy)”. Niestety, nie przestali być wpływowi i wówczas, gdy Wojsko Polskie pobiło i odparło Armię Czerwoną. Piłsudskiemu chodziło jednak o zwycięstwo także polityczne. Dlatego chciał kontynuować wojnę. Politycy endecy dominujący na scenie politycznej uznali jednak krótkowzrocznie, że wystarczy zwycięstwo militarne. O niepodległość Ukrainy nie dbali, nie rozumieli, że jej istnienie jest warunkiem niepodległości Polski. Dlatego jesienią 1920 r. został zawarty rozejm. W tym czasie Piłsudskiemu wręczono buławę marszałkowską. Nie mógł też bez gorczy myśleć o tym, że w Rydze, gdy negocjowano warunki pokoju, przy stole siedzieli delegaci sowieckiej Ukrainy. A powinni tam siedzieć reprezentanci atamana Symona Petlury.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1629-1696 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej
– Jan Sobieski herbu Janina

Wielki finał ekstraklasy



Maciej Rosalak

/ Swoją wielkość Jan Sobieski pokazał jako strateg i jako dowodzący w polu. Najbardziej efektywnie zwyciężał dzięki ciężkozbrojnej husarii

Burza rozszalała się nad zamkiem w Olesku 17 sierpnia 1629 r., akurat podczas ataku Tatarów. I właśnie wtedy, jakby na spotkanie z niszczycielskimi żywiołami, Zofia Teofila Sobieska z domu Daniłowicz urodziła syna – Jana. Wraz z upływem lat dowiedzie on, że potrafi sprostać wielu niebezpieczeństwom, które groziły jemu, jego rodzinie i ojczyźnie.

Szedł w ślady ojca – Jakuba Sobieskiego, wojującego w pierwszej połowie XVII w. z Moskwiczanami, Turkami, Tatarami, ze Szwedami i z Kozakami – senatora, pośła i marszałka Sejmu, wojewody bełskiego i ruskiego, kasztelana krakowskiego. Ród Sobieskich, skoligacony z Wiśniowieckimi, Żółkiewskimi, Radziwiłłami i Lubomirskimi, należał w owym czasie do największych rodów magnackich. Wywodził się od Wizimira – rzekomego syna walecznego Leszka Czarnego, co było jednak tylko legendą...

Z zagranicznych studiów i wojaży Jan Sobieski ruszył w 1648 r. wraz ze starszym bratem Markiem – na czele własnych chorągwi pancernych – prosto na wojny kozackie, które zapoczątkowały następne nieszczęścia spadające na Rzeczpospolitą. Jana cięto w głowę pod Beresteczkiem (1651), a Marka zabito następnego roku pod Batochem. Uczestnictwo w poselstwie do Turcji (1654) pozwoliło mu pogłębić znajomość języka, obyczajów i wojskowości tureckiej. W 1655 r. walczył z armią kozacko-moskiewską w czterodniowej krwawej

bitwie pod Ochmatowem z Moskwiczanami już jako dowódca pułku złożonego z kilku chorągwi. W tymże roku wraz z innymi dowódcami wojsk koronnych uznał zwierzchnictwo Karola X Gustawa, ale po powrocie Jana Kazimierza do kraju znów uznał go za prawowitego polskiego króla i został nawet chorążym koronnym.

Pod wodzą Jerzego Lubomirskiego zwycięsko walczył z Rakoczym (1657) i zdobywał Toruń (1658), a dwa lata później gromił armię moskiewsko-kozacką podczas batalii cudnowskiej. Podczas rokosz Lubomirskiego stanął po stronie Jana Kazimierza i dowodził jego wojskami w nieszczęsnej bitwie pod Mławami (1666). Klęska była w znacznej mierze zawiniona przez Sobieskiego, sprawującego już – odebrane Lubomirskiemu – koronne urzędy hetmana polnego i marszałka.

Blask jego imienia przywróciło wiele świetnych zwycięstw nad Tatarami krymskimi i Kozakami: m.in. pod Podhajcami (1667); pod Braclawiem i Kalnikiem (1671); a pod Zamościem i w jego



Jan Matejko – „Sobieski pod Wiedniem” FOT. MUZEUM WATYKAŃSKIE
Obok – herb Sobieskich
Janina FOT. WIKIPEDIA



wodzowi zamknąć swe wojska wraz ze 120 działami w dawnym polskim obozie warownym pod Chocimiem. Turcy mieli dogodną pozycję i zapasy wystarczające na długą obronę, ale nie byli przygotowani na jesienny atak zimy, gdy przenikliwy chłód i śnieżyca z deszczem odbierały im ochotę do życia. Ataki polskie 10 listopada, będące formą „rozpoznania bojem”, oraz pozorowane, trzymające w bezsensnym napięciu natarcia nocne mocno nadwerzężyły ich ducha bojowego.

W tej sytuacji podczas generalnego natarcia 11 listopada 1673 r., które o brzasku „in personam” poprowadził sam wielmożny Pan Hetman, piechurów i dragonów łatwiej było wdernąć się na szanę, odepchnąć od nich złowieszczych janczarów i uczynić szerokie wyłomy oraz równe przejazdy.

Wtedy ruszyła ciężka jazda – husaria i pancerni – pod dowództwem hetmana polnego koronnego Stanisława Jana Jabłonowskiego. Po śmierci Stefana Czarnieckiego (1665) zaczął on wojować wspólnie z Sobieskim, uczył się od niego i miał swój udział w jego nadzwyczajnych zwycięstwach nad znacznie liczniejszymi bisurmanami – pod Podhajcami, Gródkiem czy Komarnem. Pod Chocimiem prowadził 1670 husarzy (12 chorągwi) i aż 11 105 niewiele im ustępujących pancernych (110 chorągwi) – a więc dwie piąte całego wojska, mniej więcej tyle, ile liczyli dragoni i piechurzy razem wzięci. Dla porównania dodajmy, że lekkiej jazdy (zwanej wołoską), która jak zwykle asekurowała jazdę ciężką, było nieco nawet mniej niż husarii.

Jedna wielka szarża zakończyła się triumfem. „Janczarzy, których było osiem tysięcy, wszyscy wycięci” – donosił rezydent cesarski z Warszawy. Wprawdzie wyborowi spahisi (wypisz wymaluj nasi

pancerni) usiłowali stanąć naszym na drodze, ale zmiecieni impetem rozbiegli się po obozie. Część z nich rzuciła się ku Sobieskiemu, ale cztery chorągwie husarskie stojące przy nim w odwodzie zmiażdżyły śmiałków. Jazda bośniacka z kolei wyrwała się bramą w kierunku Jass, ale i tu stał odwód, który tych zislamizowanych Słowian wyciął.

Walki trwały jeszcze jakiś czas między namiotami, aż wkrótce Husejn pasza usiłował przeprowadzić ocalałych na drugi brzeg Dniestru. Most zwały jednak kule polskiej artylerii, a zbita masa ludzi i koni wpadła do lodowatej wody. Inni chcieli pokonać wezbraną rzekę wpław. „Było tam co widzieć, jak ginęli ze srogiej skały w Dniestr skacząc” – wspominał stolnik żytomierski Jan Tuszyński. W Kamieńcu Podolskim udało się schronić zaledwie 5 tys. Turków. Reszta zginęła lub dostała się do niewoli.

Wprawdzie nie odzyskałszy wtedy Kamieńca, ale o haraczach nie było już mowy, a następnej wiosny zwycięskiego hetmana szlachta obrała królem. Zwraca też uwagę splot okoliczności – otóż 10 listopada 1673 r. zmarł nieudolny król Michał Korybut Wiśniowiecki, a więc w dniu wiktoria chocimskiej, gdy Polacy szablami rozsiekali hańbę buczacką, przed Sobieskim tym bardziej otwierała się droga do tronu. A 10 lat później – pod Wiedniem...

Wiedeń i Parkany

„Lubo Wiedeń zginie, lubo się obroni, wszystko to nam nie na rękę będzie, bo lepiej w cudzej ziemi, o cudzym chlebie w asystencji wszystkich sił Imperii, nie tylko samego cesarza wojować, aniżeli samym się bronić i o swym chlebie” – ta sentencja Jana III z lata 1683 r. trafnie ujmuje sens ruszenia z odsieczą Leopoldowi I. Po kilku tygodniach tureckiego oblężenia sytuacja obrońców stała się rozpaczliwa. Otuchę w ich serca wlał znak odsieczy: raca wystrzelona ze wzgórza Kahlenberg 11 września. W starej niemczyźnie „kahlen” znaczyło „szczekać”, a „szcekająca góra” wzięta się od polowań z psami, które urządzali tu pierwsi Habsburgowie. Turcy mogliby tak nazwać owo potężne wzniesienie, bo z jego zboczy właśnie zeszyły polskie „niewierne psy” do szarży, która starła oddziały wezyra.

okolicach nad nogajskimi czambułami tatarskimi (1672). Wiekopomną chwałą okryły go dwa zwycięstwa nad Turkami, odniesione w odstępach 10 lat: pod Chocimiem, gdzie dowodził jako hetman wielki koronny; oraz pod Wiedniem, gdzie jako król polski, będący wodzem całości sił sprzymierzonych, wydawał rozkazy również wojskom niemieckim. Tym właśnie bitwom przyjrzymy się bliżej.

Chocim A.D. 1673

Po zabranii nam Kamieńca i Podola oraz upokorzeniu Polaków haraczem wymuszonym w 1672 r. w Buczacu Turcy traktowali Rzeczpospolitą niby hieny dogorywającą antylopę. Jakież było zdumienie berlejbęja Sylistrii (dziś w Bułgarii) Husejna Paszy, wiodącego jesienią następnego roku 35-tysięczne wojska tureckie, gdy drogę zastąpił mu nad Dniestrem polski hetman z niewiele mniejszą – bo 30-tysięczną – armią. Zdumienie, ale i strach kazały turekiemu

■ Liczyły one 100 tys., ale do odparcia odsieczy wyznaczył on z początku 60–70 tys. Jan III Sobieski – który objął dowództwo również nad 46-tysięczną odsieczą niemiecką, dzielnie atakując i wiążącą na lewym skrzydle siły wezyra Kara Mustafy – przywiódł pod Wiedeń prawie 21 tys. żołnierzy koronnych: ponad 10 tys. jazdy, 2,8 tys. dragonii, 7 tys. piechoty i 28 dział. Główna siła uderzeniowa – 23 chorągwie husarskie – liczyła ponad 2,5 tys. ludzi.

Celem króla polskiego, zgodnie z podstawową zasadą sztuki wojennej, było zniszczenie wrogiej armii, podczas gdy wodzowie niemieccy książe Karol Lotaryński i elektor saski Jan Jerzy III dążyli tylko do odblokowania miasta. Zwyciężyło zdanie polskiego króla, wspartego przez hetmanów Jana Jabłonowskiego i Mikołaja Hieronima Sieniawskiego, a historia przyznała im rację.

Po południu 12 września, korzystając z sukcesów lewego skrzydła, jazda polska zajęła pozycję do głównego ataku w dolinie rzeczki Alsbach. Pod wodzą Jabłonowskiego atakowały po prawej

cztery chorągwie husarskie, ok. 20 pancernych i kilkanaście lekkich. W środku – pułk królewski (10 rot husarskich i 10 pancernych) pod komendą starosty horodelskiego Prusinowskiego oraz regiment arkebuzerii Jerzego Gorzyńskiego. Sieniawski ruszył na czele sześciu chorągwi husarskich, 16 pancernych i kilkunastu lekkich. Za jazdą posuwały się piechota i dragonia.

Najpierw rotę husarii Zbierchowskiego i Potockich rozpoznały teren dla przełamującej szarży polskiej jazdy ciężkiej. Król osobiście poprowadził do boju chorągiew husarską królewicza Aleksandra.

Siła uderzenia jednej z największych szarż w historii wojen zmioła sipajów Abazy Sari Husejną paszy i husaria dotarła do namiotów tureckich. Hetman Jabłonowski rozbił odwody wysłane przez Kara Mustafę i również wtargnął do obozu wroga. Nawet doborowe oddziały gwardii sułtańskiej nie wytrzymały natarcia Sieniawskiego i wezyr ratował się ucieczką, która ogarnęła jego cały obóz. Około godz. 18 Jan III Sobieski mógł się napawać triumfem w namiotach Kara Mustafy. W liście do papieża strawał sławne powiedzenie Juliusza Cezara, pisząc: „Venimus, vidimus, Deus vicit” (Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył!). Do listu dołączył chorągiew Proroka.

Jeszcze w 1683 r. okazało się, jak straszną bronią może nadal być husaria. Zginęło ok. 10 tys. Turków, a 5 tys. dostało się do niewoli. Sprzymierzeni stracili ok. 1,5 tys. zabitych i 2,5 tys. rannych. Prawie połowę z nich stanowili Polacy.

Często się zapomina o dwóch bitwach pod Parkanami, które siły Sobieskiego stoczyły miesiąc później w drodze na Ostrzyhom. 7 października Turcy zaskoczyli naszych, którzy salwowali się ucieczką. Za to dwa dni później Jan III start 36-tysięczną armię wroga, umiejętnie kierując jej uderzenie na wojska niemieckie w centrum i kontratakując jazdą Jabłonowskiego z lewego skrzydła. Kiedy związał tym siły tureckie, zadał im

uderzenie szarżą Hieronima Augustyna Lubomirskiego (syna Jerzego Sebastiana) z prawego skrzydła, odcinając je zarazem od drogi odwrotu przez dopływ Dunaju. Panika, ucieczka, rzeź i całkowite już zniszczenie najezdniczej armii Turków, a nade wszystko rychłe wyzwolenie Węgier – oto skutki wiktorii pod Parkanami.

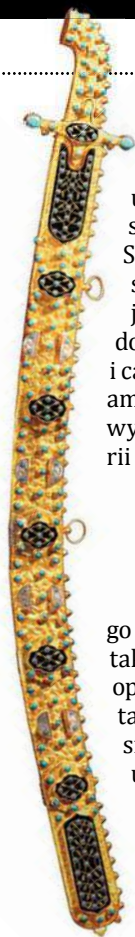
Wojna i miłość

Zdaniem prof. Mirosława Nagielskiego „swą wielkość pokazał na polu walki tak jako strateg (Wiedeń), jak w sferze operacyjnej w walkach z lotną ordą tatarską. Dzięki jego reformom odrodziła się ciężkozbrojna husaria [...]. M.in. uzbroił także piechotę w piki i berdyże oraz wzmocnił siłę ogniową dragonii [...]. Właśnie w dobie zmagania z Turcją i Chanatem Krymskim Sobieski wzniósł na wyżyny staropolską sztukę wojenną [...]”.

Ale... „od rozejmu z Rosją w Andruszowie (1667) przez 30 lat Rzeczpospolita walczy wyłącznie z nimi. Efekt jest taki, że podczas wojny północnej (1700–1721) nasza armia okazuje się anachronicz-

na w zetknięciu z wojskami Szwecji czy Rosji. To kres staropolskiej sztuki wojennej, która święciła tak wielkie triumfy jeszcze w poprzednim stuleciu. Wielkość wodza, jakim był Jan Sobieski, spowodowała zaś, że w jego cieniu nie wyrósł żaden godny następcą”.

Na zakończenie dodajmy, że nie tylko w boju, lecz także w miłości był to rycerz znamienity; romantyczny, czuły... i figlarny. Przejawia się to w listach do kobiety jego życia – ukochanej od 1655, a poślubionej w lipcu 1665 r. Marii Kazimierzy de la Grande d'Arquien, dwórki królowej Ludwika Marii, primo voto Zamoyskiej. Tak oto dziękował swej Marysińce „pode Lwowem, 11 sierpnia 1675 po zachodzie słońca”, podczas uganiania się za pohańcami, za haftowany upominek: „Pracy najśliczniejszych paluszków z duszy żałuję, które około tej pracowały roboty; a czegoż one nie dokażą, moja śliczna panno! Świadoma jest dobrze ich moc, kiedy ze swego borgne, by też był le plus pauvre, uczynią, co chcą – takie



Szabla turecka z Jasnej Góry. Wotum Żółkiewskiego, które paulini chcieli ofiarować Janowi III, gdy siedł pod Wiedeń
FOT. KLASZTOR OO. PAULINÓW, JASNA GÓRA

Janczar uzbrojony w muszkiet skałkowy, szablę i kindżał
RYS. MAREK SZYSZKO





Husarz w kirysie, z koncerzem tureckim w ręku i z szablą u boku

RYŚ. MAREK SZYSZKO

to są les charmes w tych moich jedynych paluszkach, które za tak trudną i ciężką robotę milion razy całuję”.

Historycy wojskowości uważają Jana Sobieskiego za jednego z najznakomitszych wodzów polskich, nieustępującego Tarnowskiemu, Żółkiewskiemu, Chodkiewiczowi czy Koniecpolskiemu. Czyny naszego bohatera z pewnością lokują go w owym pocście chwały. I, niestety, poczet ten zamykają na stulecie przynajmniej, a może i dwa. Znaczący staropolskiej epistolografii umieszczają z kolei Jana III na samym czele autorów listów miłosnych. Zgódźmy się, że na obu polach z najlepszymi szedł w zawody.

A staropolskie listy miłosne godne są upowszechnienia, tyle w nich wdzięku, pomysłowości i prawdziwej wrażliwości. Władysław Łoziński przytacza („Życie polskie w dawnych wiekach”) zwrot, który powtarzali chętnie najwięksi nawet magnaci, pisząc do swych żon, „w których, poza Bogiem, największego mają przyjaciela”. Przyjacieliu mój... – kto dziś potrafi tak zwrócić się do żony? Pałac w Wilanowie opisuje się zaś jako sielską rezydencję wojennego męża, który swymi zwycięstwami zapewnił ojczyźnie pokój, a teraz sam pragnie spokoju i miłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Narodowe czytanie sprzed 2450 lat



Maciej Rosaluk

Reprezentanci pewnego ugrupowania wzywają obecnie w Polsce do głosowania na „partie demokratyczne”, tworzące „koalicję demokratyczną”. Do poparcia „bloku demokratycznego” przeciwników „siłom faszystowskim” nakłaniali Polaków akurat ich polityczni przodkowie już w latach 40. ubiegłego stulecia, gdy komunistyczni figuranci Sowietów bez skrupułów mordowali członków polskich organizacji niepodległościowych, wiernych prawdziwemu Rządowi RP. W efekcie przemocy z zewnątrz i terroru wewnątrz kraju powstał ustrój tzw. demokracji ludowej. Pomijając nawet to, że nazwa stanowi „masło maślane” – w grece sama „demokracja” oznacza „władzę ludu” – to tzw. demoludy, czyli satelici Związku Sowieckiego, z demokracją parlamentarną typu zachodniego nic nie miały wspólnego. Zawziętość, z którą spadkobiercy „demokracji ludowej” namawiają dziś rodaków do obalenia stronnictwa legalnie sprawującego rządu, bezwstydnie nazywanego przy tym „faszystowskim”, przypomina mi pewne historyczne świadectwo:

„[...] mordowali wszystkich współobywateli, którzy wydawali się im przeciwnikami politycznymi, pod pozorem, że dążyli oni do obalenia ustroju demokratycznego; zginęło także trochę ludzi wskutek porachunków osobistych [...]. Popełniano wszelkiego rodzaju okropności, jakie zwykle dzieją się w takich wypadkach. [...] ci, którzy w różnych miastach dążyli do przewrotu, łatwo mogli sprowadzić obcą pomoc w celu pogńębienia przeciwników politycznych i wzmocnienia swego własnego stanowiska. Wiele dotkliwych klęsk spadło [...] z powodu walk partyjnych, które zdarzają się i zawsze zdarzać będą, jak długo natura ludzka pozostanie niezmienna [...]. Źródłem tego wszystkiego była żądza panowania, dążąca do zdobycia bogactw i zaspokojenia ambicji, a stąd wybuchały rywalizacje, wkraczały w grę namiętności. Przywódcy polityczni jednej i drugiej partii posługiwali się pięknymi hasłami [...], ale w rzeczywistości mówiąc o sprawie ogólnej, walczyli między sobą o swe prywatne interesy. Używając wszelkich metod w walce o pierwszeństwo, odważali się nawet na największe okropności, a w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny [...]. Czy to przy pomocy niesprawiedliwych wyroków sądowych, czy też przemocą gotowi byli zaspokajać swe namiętności. Żadna partia nie szanowała świętości, a dobre imię zyskiwali ci, którzy za pomocą pięknych słów osiągnęli coś niegodnego [...]”.

Proszę się nie bać. To jeszcze nie sprawozdanie z Polski, lecz tylko purynek relacji Tukidydesa o rzezi na Korkyrze podczas wojny peloponeskiej (431–404 r. p.n.e.). Jego zdaniem ustrój demokratyczny w wydaniu ateńskim sam przez się nie sprawdzał się – a w każdym razie nie zawsze się sprawdzał. W obliczu poważnych wyzwań dziejowych, przed którymi stawiane są państwa i społeczeństwa, konieczny jest jeszcze Perykles, tak jak za czasów Salamyiny (480 r. p.n.e.) konieczny okazał się Temistokles. Peryklesa zabrała na samym początku wojny zaraza, która spadła na Ateny dokładnie 2450 lat temu, ale Temistoklesa wygnali z ojczyzny rodacy. Stało się to po 10 latach od momentu, gdy uratował przed Persami ich wzorcowe, rodzące się wtedy demokratyczne miasto-państwo. © ©

Belgijskie sztucery dla cara



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Choć wojna krymska obnażyła słabość i zacofanie carskiej armii, to nie znaczy to, że w Rosji nie dostrzegano szybkiego rozwoju techniki wojennej

W chwili wybuchu konfliktu (1853) zasadniczym uzbrojeniem rosyjskiej piechoty były gładkolufowe, przerobione ze skałkowych karabiny kapiszonowe wz. 1844 kal. 17,8 mm (rosyjskie 7 linii) oraz nowo produkowane wz. 1845 i 1852 kal. 18,3 mm (7,1 linii). Jedyną formacją etatowo wyposażoną w broń gwintowaną były bataliony strzelców. W 1854 r. istniało dziewięć takich batalionów – przydzielano je, po jednym,

brunswickiego, przyjętego na uzbrojenie angielskich strzelców w latach 30., i charakteryzował się oryginalnym dwubruzdowym gwintem i dostosowaną do niego ołowianą kulą z półokrągłą obwódką odpowiadającą bruzdom w lufie. Broń miała kal. 7 linii; stosowano do niej masywny kordelasowy bagniet. Przed wybuchem konfliktu Rosjanie dysponowali ok. 25 tys. sztuk. W 1848 r. poddano broń modernizacji polegającej na zmianie celownika: zamiast dotychczasowego prostego klapkowego wprowadzono nowy, tzw. heski, pomysł

sztucera. Miał dwubruzdowy gwint, skalowany heski celownik i strzelał kulą Kulikowskiego. Sztucer Ernrota był odmiennej konstrukcji; przebudowany z kapiszonowego karabinu piechoty dostosowany został do systemu Thouvenina – broń strzelała zwykłą kulą, która opierając się na trzpieniu w komorze, wpasowywana była w gwint uderzeniami stempla. Od połowy lat 40. gwintowane sztucery wprowadzano sukcesywnie na uzbrojenie kolejnych pododdziałów. Równoległe śledzono rozwój broni palnej w krajach Europy Zachodniej i prowadzono doświadczenia z nowymi typami amunicji. W styczniu 1854 r., a więc na długo, zanim sprzymierzeni wylądowali na Półwyspie Krymskim, Rosjanie zaadoptowali nową broń gwintowaną dostosowaną do belgijskiego pocisku ekspansywnego systemu Petersa-Timmerhansa (kal. 6,9 linii). Te ostrołukowo zakończone pociski posiadały głębokie denne zagłębienie ze stożkiem zwróconym ku podstawie. Karabiny wz. 1854 miały zastąpić dotychczas używane sztucery i karabiny gwintowane, które wobec wynalazku kpt. Minié uznano, słusznie zresztą, za przestarzałe. Nie planowano wprowadzać ich w całość piechocie – były przeznaczone dla tyralierów z batalionów liniowych. Dopiero po wojnie, która dla Rosjan była traumatycznym doświadczeniem – zarówno Anglicy, jak i Francuzi plasowali się strzelecko o kilka poziomów wyżej od carskich żołdatów nie tylko pod względem wyposażenia, lecz także wyszkolenia – zdecydowano się na standaryzację uzbrojenia. W 1856 r. opracowano nowy 6-liniowy (15,24 mm) karabin wz. 1856 strzelający amunicją Minié z metalową miseczką w dennym zagłębieniu i celownikiem skalowanym do 1,2 tys. kroków. W wyniku żywiołowych dyskusji postanowiono o przebrojeniu w tę broń całej piechoty. ©©

do korpusów piechoty. W piechocie liniowej oraz lekkiej (jegrzy) gwintówkami dysponowali tylko nieliczni tyralierzy, tzw. zastrzelszcziki tworzący plutony sztucerników. Do połowy lat 50. używali oni przede wszystkim littichskich sztuczerów (na zdjęciu) przyjętych na uzbrojenie w 1843 r. Była to pierwsza regulaminowa rosyjska broń z zamkiem kapiszonowym. Produkowany w belgijskim Liège (niem. Lüttich) sztucer stanowił kopię tzw. karabinu

inż. Junga z wytwórni broni w Iżewsku, z nastawami od 200 do 1,2 tys. kroków. Zmieniła się także amunicja – zamiast okrągłej kuli z obwódką zastosowano stożkowy pocisk z „uszami” pomysłu Kulikowskiego. Poza bronią produkowaną w Belgii używano również rodzimych gwintówek, czyli sztuczerów Hartunga i karabinów Ernrota. Ten pierwszy, opracowany przez oficera Korpusu Gwardii i instruktora strzeleckiego Hartunga, stanowił rosyjską wersję littichskiego



T-37

W skład imponującego arsenału pancernego, który Armia Czerwona zgromadziła w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej, wchodziło wiele lekkich czołgów. Były wśród nich pływające T-37. Podobnie jak w przypadku wielu innych pojazdów także T-37 wywodził się z projektu zagranicznego – punkt wyjścia stanowiła brytyjska pływająca tankietka opracowana w prywatnym koncernie Vickersa przez znany duet konstruktorski: Johna V. Cardena



i Viviana Lloyd. Rosjanie kupili na początku lat 30. kilka egzemplarzy, ale do produkcji seryjnej (ruszyła w 1933 r. w moskiewskiej Fabryce nr 37) skierowali pojazdy zmodernizowane w rodzimych biurach konstrukcyjnych. Szacuje się, że do zakończenia produkcji w 1936 r. powstało ok. 2,6 tys. tych czołgów w kilku wariantach. Część z nich skierowano do batalionów czołgów wchodzących w skład brygad piechoty. Rolą tych niewielkich, ważących nieco powyżej 3 ton, dwuosobowych pojazdów było rozpoznanie. Gaźnikowy silnik (sowiecka kopia ford) zapewniał prędkość 35 km/h na drodze i ok. 7 km/h w wodzie. Uzbrojenie stanowił jeden karabin maszynowy; grubość pancerza nie przekraczała 9 mm. Na zdjęciu jeden z dwóch zachowanych na świecie T-37 prezentowany w szwedzkim muzeum broni pancernej w Axvall. Został zdobyty przez Finów w czasie wojny zimowej (1939–1940), a następnie подарowany szwedzkim ochotnikom. Jest to czołg w wersji dowódczej wyposażony w radiostację. ©©

Pancernik „Yamato”



Zwodowano go w sierpniu 1940 r. w japońskiej stoczni Kure. Okręt miał przyćmić wszystko, co do tej pory pływało. Do zamontowania uzbrojenia artylerii głównej trzeba było zbudować specjalny transportowiec. Okręt miał 256 m długości, 39 m szerokości, wyporność bojowa wynosiła przeszło 70 tys. ton. Napęd stanowiło 12 kotłów parowych, 4 turbiny, 4 śruby. Pozwalało to na osiągnięcie 26 węzłów; przy zapasie 6,3 ton paliwa okręt miał zasięg 7,2 tys. mil morskich. Pancernik był imponujący; przednie płyty wieży artylerii głównej sięgały 650 mm grubości, burty – 409 mm. W 1945 r. uzbrojenie okrętu składało się z 9 dział 460 mm (prawie 1,5-tonowy pocisk dolatywał na odległość 40 km), 6 dział 155 mm, 24 127 mm i ok. 150 armat plot. 25 mm. „Yamato” oraz bliźniaczy „Musashi” były największymi pancernikami w historii. Jednak ich budowa okazała się krokiem nieprzemyślanym. Artyleria główna „Yamato” użyta została tylko raz. Oba kolosy zatopione zostały przez US Air Force podczas walk o Okinawę. ©©

Douglas SBD-3 Dauntless

Ten amerykański pokładowy bombowiec nurkujący powstał w drugiej połowie lat 30. XX w. W 1939 r. przyjęto go do uzbrojenia amerykańskiej US Navy. Pierwsze zamówienie opiewało na blisko 150 maszyn w dwóch wersjach – SBD-1 i SBD-2 (różny zasięg i uzbrojenie), przeznaczonych dla US Navy i Korpusu Piechoty Morskiej. W 1941 r. do jednostek trafiać zaczęła kolejna – SBD-3. Był to dwumiejscowy dolnopłat w większości metalowej konstrukcji, wyposażony w gwiazdowy silnik Wright o mocy 1 tys. KM i o chowanym podwoziu. Maksymalna prędkość wynosiła

407 km/h na wysokości 4875 m, a zasięg sięgał 2160 km przy pełnym obciążeniu. Zastosowano samouszczelniające się zbiorniki paliwa i opancerzenie kabiny. Uzbrojenie stanowiły dwa półcalowe browningi umieszczone nieruchomo w kadłubie i zsynchronizowane z obrotami śmigła oraz ruchomy zdwojony kaem 7,62 mm strzelca-radiotelegrafisty. Udźwig bomb wynosił kilkaset kilogramów i był zbliżony do innych bombowców nurkujących epoki. Bomba o masie 227 kg znajdowała się pod kadłubem na specjalnym wyrzutniku odpychającym ją poza zasięg śmigła, dwie lżejsze (45 kg)



mocowano pod skrzydłami. Samolot wyposażono w hamulce aerodynamiczne, które miały charakterystyczną postać perforowanych pasów blachy. Solidnie zaprojektowany i niezwykle odporny na ciosy, znakomicie spisywał się w locie nurkowym i miał nie najgorsze właściwości aerodynamiczne. Zdobył nieśmiertelną sławę pod Midway. ©©

Broń krótka / Wynalazek Samuela Colta i ciąg dalszy

Kirk Douglas i John Wayne z rewolwerami w filmie „The War Wagon” (1967 r.)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pojedynek rewolweru z pistoletem



Tymoteusz Pawłowski

/ Rewolwery to broń, która podbiła Dzikie Zachód i ukształtowała Stany Zjednoczone Ameryki. Ich gwiazda lśniła kilkadziesiąt lat i zaczęła zachodzić już pod koniec XIX w. Pistolety samopowtarzalne okazały się po prostu lepsze

Zasada działania broni palnej jest bardzo prosta. Do zamkniętej z jednej strony rury ładuje się proch i kulę, następnie podpala się proch, a powstałe w ten sposób gazy wypychają kulę w stronę celu. W ten sposób strzelało się przez pierwsze 500 lat istnienia broni palnej. Poważniejsze zmiany nastąpiły w XIX w. i od tego czasu używa się nieco innej terminolo-

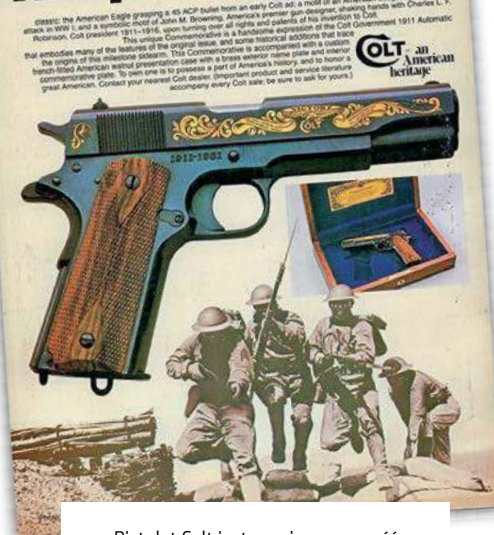
gii: zamiast „proch” mówimy „ładunek miotający”, a zamiast „kula” – „pocisk”.

Najważniejsza zmiana – i chronologicznie pierwsza – dotyczyła sposobu podpalania ładunku prochowego. Jeszcze w początkach XIX w. używano zamka skałkowego: krzeszał on iskrę, która zapalała niewielki ładunek prochu, i dopiero ten płomień dostawał się do ładunku miotającego. W latach 30. XIX w. pojawił się kapiszon, który

zastąpił skałkę, krzesiwo i zlikwidował konieczność sypania prochu do panewki. Następne ćwierć wieku zajęło wyprodukowanie sprawnego naboju scalonego: pocisk, proch i kapiszon – od teraz nazywany spłonką – połączono metalową łuską. Dało to rusznikarzom zupełnie nowe możliwości i zrewolucjonizowało światowy arsenał.

Najszybciej zmieniły się pistolety. Do tej pory po oddaniu strzału konieczne było ponowne ładowanie, trwające z reguły ponad minutę. Pistolety wielostrzałowe co prawda istniały, ale jedynie jako ciekawostka – były drogie, zawodne i ciężkie, miały bowiem kilka łuf. Pewnym rozwiązaniem było ucięcie komory nabojoyej – czyli fragmentu lufy, w którym mieściły się proch i kula – i wstawienie w jej miejscu kilku takich komór. Oddanie kolejnego strzału wymagało zastąpienia opróżnionej komory nabojoyej w pełni załadowaną. Jeśli komory te umieszczono wokół siebie,

Colt never left the Army's side.



Pistolet Colt jest uważany za część amerykańskiego dziedzictwa FOT. DOMENA PUBLICZNA

niczym w bębnie, to otrzymywano pistolet obrotowy – „revolving pistol” – w Polsce zwany rewolwerem.

Rewolwery pojawiły się w latach 30. XIX w. po obu stronach Atlantyku, ale uznano je za pozbawioną praktycznego znaczenia nowinkę. Samuel Colt – amerykański „wynalazca” rewolweru – zaprzestał nawet ich produkcji ze względu na minimalny popyt. Dopiero gdy w 1848 r. Stany Zjednoczone rozpoczęły wojnę z Meksykiem i US Army potrzebowała każdej lufy, Samuel Colt ponownie otworzył biznes i rewolwery stały się popularne.

Krótki złoty wiek

W czasie wojny 1848 r. i gorączki złota w 1849 r. obywatele USA masowo ruszyli na zachód. Jednak to nie bandyci i rewolwerowcy stanowili największe niebezpieczeństwo – w XIX-wiecznym Nowym Jorku w ciągu roku popełniano więcej morderstw niż na całym Dzikim Zachodzie – lecz dzikie zwierzęta. Doświadczony myśliwy mógł obronić się przed pumą czy niedźwiedziem jednostrzałową strzelbą myśliwską, ale niedoświadczony przybysz ze wschodu wolał mieć rewolwer z bębnem załadowanym sześcioma nabojami.

Przez długi czas – praktycznie aż do lat 70. XIX w. – karabiny były jednostrzałowe. System rewolwerowy się w nich nie sprawdzał. Zdarzało się bowiem, że odpalały wszystkie naboje naraz. Dla strzelca rewolwerowego oznaczało to rozerwanie bębna i chwilową głuchotę. Dla strzelca karabinowego taka awaria oznaczała utratę lewej dłoni, którą podpierał lufę. Karabiny rewolwerowe jednak istniały, np. w powstaniu styczniowym używała ich „dywizja” Edmunda Taczanowskiego.

Początek końca rewolwerów nastąpił w 1884 r. we Francji, gdzie Paul Vieille opracował nowy ładunek miotający, zwany prochem bezdymnym. Dymu faktycznie było nieco mniej, przede wszystkim jednak nowy proch dawał wyraźnie mniej stałych zanieczyszczeń. Do tego momentu zanieczyszczenia osadzały się na elementach broni i utrudniały współpracę mechanizmów. Teraz możliwe stało się skonstruowanie broni automatycznej zasilanej z pojemnych magazynków.

W początkach XX w. pojawiły się pistolety automatyczne: małe, płaskie – bo zasilane z magazynków wkładanych do rękojeści – a przede wszystkim bardzo wygodne. Największy wpływ na kształt nowoczesnych pistoletów wywarł John Moses Browning – Amerykanin działający po obu stronach Atlantyku. W historii Europy zapisał się bardzo szybko: z pistoletu jego konstrukcji FN M1910 zastrzelono w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda. Równie zasłużony jest dla Ameryki Colt M1911 – również jego dzieła – który do dziś jest najpopularniejszym amerykańskim pistoletem.

W Europie rewolwery nigdy nie były popularne. Cywile rzadko ich używali, a w początkach XX w. niemal wszystkie armie wymieniły stare czarnoprochowe rewolwery na pistolety systemu Browninga (taka jest również geneza polskiego visa). W Stanach Zjednoczonych było zupełnie inaczej – w rękach prywatnych było całe mnóstwo rewolwerów, a jedynym popularnym pistoletem był Colt M1911 przyjęty przez Armię (ale nie przez marynarkę i lotnictwo).

Upadek

Najważniejszymi zaletami rewolwerów są ich prostota i niezawodność. Żeby oddać strzał, wystarczy załadować bębenek i nacisnąć spust. W razie niewypału naciska się spust drugi raz, bębenek obraca się i mamy ponowną szansę oddać strzał. Aby strzelić z pistoletu, należy załadować nabojami magazynek, magazynek włożyć do

broni, wprowadzić nabój do komory, odbezpieczyć i nacisnąć spust. W razie niewypału wszystkie te czynności należy powtórzyć. Pistolety – szczególnie te pośpiesznie produkowane w czasie wojny i korzystające z zalegającej w składach kilkudziesięcioletniej amunicji – miały również tendencję do zacinania się. W Ameryce popularne były więc rewolwery, tym bardziej że produkowały je firmy amerykańskie, a pistolety były „obce”; sprowadzano je z Europy albo z Ameryki Południowej.

Zmiana nastąpiła w latach 80.

XX w. Nieco wcześniej US Army ogłosiła konkurs na nową broń krótką, mającą zastąpić zasłużone M1911. Europejskie firmy postarały się i opracowały nowoczesne pistolety oraz nowoczesną amunicję. Konkurs wygrała włoska Beretta 92, ale sukces rynkowy osiągnęli nawet przegrani – ich pistolety były dużo lepsze od rewolwerów i chętnie kupowane przez policjantów oraz cywili.

Pistolety od zawsze były wygodniejsze w noszeniu. Teraz stały się równie niezawodne, uproszczono ich działanie, pozbywając się większości – a czasem nawet wszystkich – bezpieczników. Przede wszystkim jednak pistolety miały pojemne magazynki, mieszczące z reguły 15 naboje. W porównaniu z sześcioma nabojami w przeciętnym rewolwerze różnica była wyraźna. Poradzono sobie również z „obcością” – niemal każda licząca się europejska albo południowoamerykańska firma otworzyła linie produkcyjne w USA.

Rewolwery mają swoje zalety – są minimalnie celniejsze i minimalnie bardziej niezawodne – ale ich czas powoli dobiega końca. Na strzelnicach w Europie widuje się je dość rzadko także dlatego, że – produkowane głównie za oceanem – są droższe od pistoletów o cło i podatek VAT. W Ameryce są wciąż popularne, decydują o tym przede wszystkim względy sentymentalne, a także legislacyjne. Wśród 50 amerykańskich stanów są bowiem i takie, w których prawa do posiadania broni są bardziej surowe niż w Polsce, a niektórych jej typów – np. pistoletów z pojemnymi magazynkami – nie można w ogóle kupić. Wówczas rewolwer jest całkiem dobrym wyborem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

ROZKAZ O SFORMOWANIU BRYGADY KARPACKEJ WYDAŁ 12 KWIETNIA 1940 ROKU GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI. NAZYWANO JĄ WÓWZIAS TĘZ BRYGADĄ SYRYJSKĄ - OD MIEJSCA STACJONOWANIA, NA TERYTORIUM SYRII, KONTROLOWANYM PRZEZ FRANCUZÓW. JEDNAK PO KAPITULACJI FRANCJI, BRYGADA OTRZYMAŁA ROZKAZ ABY EWAKUOWAĆ SIĘ NA OBSZAR PALESTYNY, KONTROLOWANY PRZEZ Brytyjczyków. STAMTĄD W PAŹDZIERNIKU 1940 ROKU PRZETRANSPORTOWANO JĄ DO EGIPTU. 12 STYCZNIA 1941 ROKU NADANO JEDNOSTCE NOWĄ NAZWĘ - SAMODZIELNEJ BRYGADY STRZELCÓW KARPACKICH. LICZYŁA WÓWZIAS OKOŁO 6300 ŻOŁNIERZY. WIĘKSZOŚĆ Z NICH REKRUTOWAŁA SIĘ SPOŚRÓD TYCH, KTÓRZY ZOSTALI W 1939 ROKU INTERNOWANI W RUMUNII I NA WĘGRZECH, MIELI ZATEM DOŚWIADCZENIE BOJOWE Z OKRESU KAMPANII WRZEŚNIOWEJ.



PIERWSZYM POWAŻNYM ZADANIEM SAMODZIELNEJ BRYGADY STRZELCÓW KARPACKICH MIAŁO BYĆ WSPARCIE ALIANTÓW W TOBRUKU. OBLEGANE PRZEZ WŁOCHÓW I NIEMCÓW MIASTO ZOSTAŁO ODCIĘTE, A PODEJMOWANE PRZEZ Brytyjczyków PRÓBY ODBŁOKOWANIA KOŃCZYŁY SIĘ DUŻYMI STRATAMI. TO WŁAŚNIE W OKOLICACH TOBRUKU NIEMCY PO RAZ PIERWSZY UŻYLI PRZECIWOLOTNICZYCH DZIAŁ 88 MM W WALCE Z CZOŁGAMI.



SAMODZIELNA BRYGADA STRZELCÓW KARPACKICH ZOSTAŁA PRZETRANSPORTOWANA DO TOBRUKU POD OŚLONĄ NOCY W SIERPNIU 1941 ROKU. ŻOŁNIERZE SCHODZILI PO DRABINKACH ZE STATKU PROSTO NA BARKI, ZABIERAJĄC ZE SOBĄ CAŁE WYPOSAŻENIE I BRŃ.



TOBRUK - MIASTO W GRUZACH, PORT Z ZATOPIONYMI WRAKAMI OKRĘTÓW I STATKÓW, MIASTO BEZ ŻYWEJ DUSZY, OTOCZONE PŁOWĄ PUSTYNIĄ, I DOKOŁA TUŻ-TUŻ NIEMPRZYJACIEL. I... ŚMIERĆ. TO JEDNA STRONA, DRUGA TO MORZE.

TOBRUK BYŁ OTOCZONY TRZEMA LINIAMI OBRONY. WZDŁUŻ ZEWNĘTRZNEJ - NA CAŁEJ JEJ DŁUGOŚCI CIĄGNĘŁY SIĘ POZYCJE NIEMIECKIE I WŁOSKIE ODGRÓDZONE POLAMI MINOWYMI. POLSCY ŻOŁNIERZE NOCĄ PRZEDZIERALI SIĘ TAM ABY POJMAĆ JEŃCÓW I DOKONYWAĆ AKCJI SABOTAZOWYCH.

DNIA 15 WRZEŚNIA NA PATROLU PODCHOR. BOCHENSKI I STRZ. JAKUBAS, ZABIERAJĄC ZE SOBĄ POTRZEBNY MATERIAŁ, PODPALILI I SPALILI W ODLEGŁOŚCI 150 METRÓW OD NIEMPRZYJACIELA, MIMO KRZYKOWEGO OGŃA CKM, MOŹDZIERZY I DZIAŁEK, NIEMPRZYJACIELSKĄ WIEŻĘ, OBSERWACYJNĄ. PODCHOR. BOCHENSKI WYKAZAŁ DUŻE OPANOWANIE I ODWAGĘ, BIERZE UDZIAŁ W KAŻDYM PATROLU. ODZNACZA SIĘ, NIEBÝWAŁĄ ODWAGĄ I POGARĄ, ŚMIERCI.



3 PAŹDZIERNIKA 1941 ROKU ŻOŁNIERZE SAMODZIELNEJ BRYGADY STRZELCÓW KARPACKICH ZOSTALI SKIEROWANI NA NAJDEWUŻSZY ODCINEK OBRONY, ZAJMOWANY WŁOCHAMI PRZEZ AUSTRALISKĄ 26. BRYGADĘ PIECHOTY. TO WŁAŚNIE Z TYCH POZYCJI W GRUDNIU 1941 ROKU RUSZYŁE ATAK, W WYNIKU KTÓREGO UDAŁO SIĘ ODBIĆ WZGÓRZE MEDAUAR.



W KOMIKSIE WYKORZYSTANO FRAGMENTY WSPOMNIENÍ BOGDANA ZNOWSKIEGO ORAZ ROZKAZÓW DZIENNYCH BRYGADY.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

O bohatera trwania i życia

Wiele już lat rozmyślałam o modelu polskiego patriotyzmu. I coraz bardziej w ukształtowanym w wyniku zrywów insurekcyjnych i romantyzmu literackiego naszym patriotyzmie dostrzegam dysfunkcje skazujące nas na kolejne klęski. Przebieg drugiej wojny światowej, a zwłaszcza polityka naszego rządu w latach 1939–1944, operacje „Wachlarz”, „Ostra Brama”, „Burza”, lekcja Wołunia i Godziny „W” w Warszawie, utrata połowy terytorium, zagłada biologiczna narodu, migracje i emigracje Polaków są jedynie potwierdzeniem mego pesymizmu. W ostatnich dniach zdałam sobie dopiero sprawę z tego, że nasza największa dziejowa katastrofa związana z drugą wojną światową jest w dodatku ogłoszona w kalendarzu polskiego państwa pod datą 8 maja jako Narodowy Dzień Zwycięstwa! Zamiast, jeśli już, Narodowego Święta Klęski i Zniewolenia.

Ja wiem, że – jak pisał Józef Mackiewicz – „ optymizm nie zastąpi nam Polski”. Między obowiązującym u nas patriotycznym optymizmem, który jest tylko chwilowym uniesieniem i frazesem, a pesymizmem, może często nazbyt defetystycznym, powinna być jednak jakaś przestrzeń refleksji nad naszym losem. Nad narodowymi wadami i cechami, nad skłonnością do warcholstwa i chaosu, wreszcie nad duchem straceńczym, który każe nam często powtarzać brednie za marszałkiem konfederacji barskiej Józefem Pułaskim o tym, że „musimy umrzeć, aby ojczyzna żyła, bo kiedy my żyjemy, ona umiera”.

Wydaje mi się, że choć romantyczny model patriotyzmu zaczął triumfować u nas w wieku XIX i stał się obowiązujący zwłaszcza po 1926 r., to napotkał poważny

opór. Galicyjscy ultramontanie i stańczycy, międzywojenni konserwatyści, monarchiści i endecy, a nawet wielu „spożytywizowanych” pracą państwową piśmudczyków nie pozwolili romantykom zawłaszczyć do końca polskiej duszy. Druga wojna światowa i pół wieku komunizmu zniszczyły wszystko, stąd czuję się często tak, jakby wraz z upadkiem Polski padł ostatni bastion pozytywizmu. I tylko przykład Jerzego Giedroycia i jego Instytutu Literackiego zaburza ów pesymizm i każe wierzyć w to, że pozytywizm oraz praca organiczna przetrwały i przetrwają.

W „Divini redemptoris” Pius XI pisał, że „komunizm pozbawia człowieka wolności, tej duchowej podstawy wszelkich

**„Często słyszymy:
piękną i zaszczytną
rzeczą jest umrzeć za
ojczyznę. Jednakże
trudniej jest niekiedy
żyć dla ojczyzny...”**

norm życiowych. Zabiera osobowości człowieka całą jej godność i wszelkie moralne oparcie, z którego pomocą mógłby się przeciwstawić naporowi ślepych namiętności. Ponieważ osobowość człowieka wedle zapatrywań komunizmu jest tylko jakby kółkiem, wtłoczonym w tryby maszyny, dlatego nie przyznaje się jej żadnych praw przyrodzonych, a przyznaje się społeczności”.

Przywołałem te słowa papieża, by zastanowić się, na ile komunizm wyrugował z nas ducha twórczego indywidualizmu na rzecz materialistycznego egoizmu połączonego ze skłonnością do uznania sądów większości w sprawach życia zbiorowego. Z perspektywy moich

dylematów z kolei lepiej rozumiem dziś słowa kard. Stefana Wyszyńskiego, który nieustannie powtarzał, że dla zachowania wolności osobistej i narodowej konieczne jest podjęcie pracy nad sobą i kształcenie własnego charakteru. Mówił tak nawet w czasie narodowego uniesienia (w 1981 r.), kiedy jakby większość Polaków uznała, że wolność została zdobyta i już nigdy nie zostanie utracona:

„Obrona suwerenności Ojczyzny jest dla nas nakazem moralnym. Nadto mamy wolę świadczenia wszystkimi dobrami naszego własnego życia i kultury osobistej, aby i po nas została częśćka wszechpiona w uprawę gleby ojczyźnej, której oddamy ostatecznie i nasze ciało, ażeby ziemia wywdzięczyła się nam kiedyś w dniu zmartwychwstania. Gdy mamy taką świadomość, wtedy kierujemy się dobrem Narodu. Możemy myśleć i mówić o dobru własnym – niewątpliwie, ale umiemy podporządkować je dobru wspólnemu. Jak często słyszymy zdanie: »Piękną i zaszczytną rzeczą jest umrzeć za ojczyznę«. Jednakże trudniej jest niekiedy żyć dla Ojczyzny. Można w odruchu bohaterskim oddać swoje życie na polu walki, ale to trwa krótko. Większym nieraz bohaterstwem jest żyć, trwać, wytrzymać całe lata [...]. Potrzeba nam potężnej woli organizowania wszystkich sił rodzimych, ojczyźnych, by się nie oglądać na prawo i lewo, by nie poddawać się pokusie nowej Targowicy, skądkolwiek by ona miała przyjść. Jesteśmy u siebie, w swojej Ojczyźnie, gospodarzami olbrzymimi dobrami, które Naród posiada; mamy do nich zaufanie, chcemy, aby procentowały na naszej ziemi. Oto jest sumienie narodowe”.

No właśnie, „większym nieraz bohaterstwem jest żyć, trwać, wytrzymać całe lata”... Tylko czy ktoś ten nakaz prymasa Polski zrozumie? ©©

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
ROGER MOORHOUSE „POLSKA 1939. PIERWSI PRZECIW HITLEROWI”**

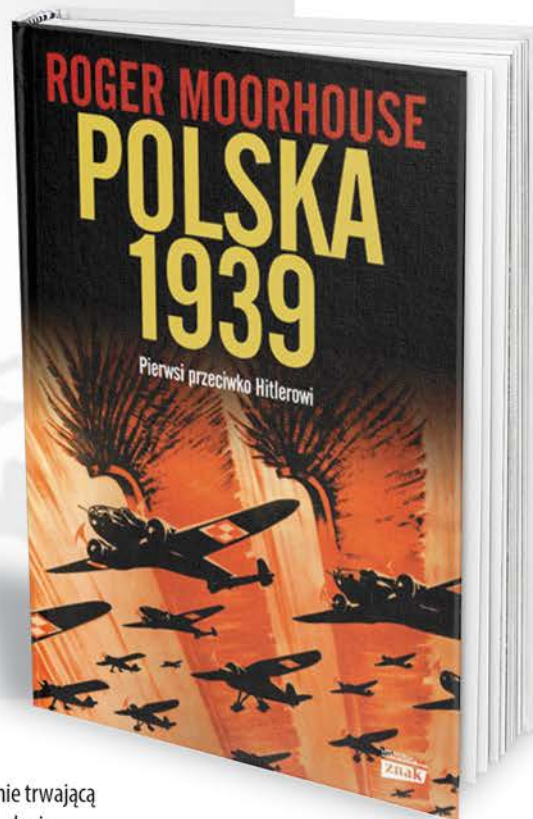
**JEST ROK 1939. DRUGA RZECZPOSPOLITA ISTNIEJE NA MAPIE ŚWIATA OD ZALEDWIE
DWÓCH DEKAD. LUDZIE, KTÓRZY WYWALCZYLI DLA NIEJ NIEPODLEGŁOŚĆ, PATRZĄ
Z NIEPOKOJEM, JAK ZA GRANICAMI KRAJU ROSNĄ W SIŁĘ ZNANE
IM OD WIEKÓW WROGIE POTĘGI.**

Polska ma silną i bitną armię. Ma sojuszników, którzy w razie hitlerowskiej napaści przyjdą jej z pomocą. Naczelny wódz odgraża się, że wrogowi nie oddamy nawet guzika. Pokolenie wolnej Polski właśnie wchodzi w dorosłość. Nie zamierza zginać karku przed żądaniami Hitlera.

Nadchodzi wrzesień, czas próby.
I choć niemiecka przewaga okaże się miażdżąca, Anglia i Francja nie zrobią nic, by pomóc swojemu sojusznikowi, a Sowieci 17 września wbiją nam nóż w plecy, będziemy walczyć. Osamotnieni, w beznadziejnym boju na dwa fronty. Tej wojny nie wygramy, lecz ocalimy to, co najcenniejsze – nasz honor.

83 zł

oszczędność 89 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 6250e52749